ZAGROŻENIE DLA SPÓJNOŚCI PAŃSTWA

Śląsk idzie drogą Katalonii? – Semka o szatańskim pomyśle unijczyków

Jak Kościół katolicki wprowadzał Polskę do Unii Europejskiej

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 20/578 13–19 MAJA 2024
CENA 11,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

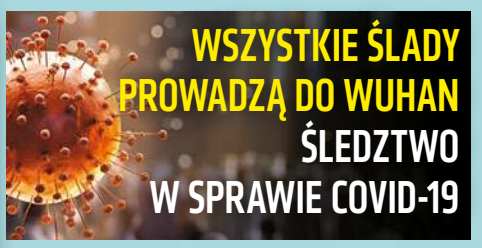

Ziemkiewicz o polskiej nadgorliwości w samobiczowaniu

Czy polski rząd wyśle Ukraińców na wojnę

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829
9 772299 850000 20 >
Nakład: 52 000 egzemplarzy

100 lat

STULECIE UTWORZENIA
BANKU POLSKIEGO SA
I WPROWADZENIA
ZŁOTEGO DO OBIEGU

NBP INFORMUJE

„

**NARODOWY BANK POLSKI
NIEZALEŻNY OD RZĄDU I PARLAMENTU
ORAZ STABILNA WŁASNA WALUTA
SĄ FINANSOWĄ PODSTAWĄ
ROZWOJU GOSPODARCZEGO POLSKI
I WZROSTU DOBROBYTU JEJ OBYWATELI.**

„

Prof. Adam Glapiński
Prezes Narodowego Banku Polskiego

NARODOWY BANK POLSKI
NBP

Dbamy o wartość polskiego pieniądza

eprasa.pl bcaf610a37

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Nowy rozdział dla Polski

Porządek panuje w Warszawie – te słowa, wypowiedziane przez ministra spraw zagranicznych Francji, gen. Horacego Sebastianiego, w związku z pytaniami ówczesnych francuskich posłów dotyczącymi sytuacji w Polsce po upadku powstania listopadowego w 1831 r., mogłyby spokojnie znaleźć się dziś na ustach eurokratów. Tak, po przejęciu władzy przez ekipę Donalda Tuska w Warszawie zapanował porządek. A za jego wprowadzenie należy się – jak by mogło być inaczej – nagroda.

Dlatego Komisja Europejska zapowiedziała koniec badania tzw. procedury naruszeniowej, czyli badania, czy w Polsce jest naruszona praworządność w oparciu o art. 7 Traktatu o UE. To, że cała procedura była funta kłaków warta i służyła wyłącznie do szantażowania PiS i odsunięcia go od władzy, było rzeczą oczywistą od samego początku. Komisja też tego nie ukrywa.

„Dziś wyznaczamy nowy rozdział dla Polski. Po ponad sześciu latach jesteśmy przekonani, że procedura z art. 7 może zostać zakończona. Gratuluję premierowi Donaldowi Tuskowi. To wynik silnej pracy i głęboko zakrojonych reform" – mówiła o pracy polskiego premiera szefowa KE, Ursula von der Leyen. Doprawdy, ręce same składają się do oklasków. Tym pochwałom towarzyszył właściwy komunikat: „Polska uruchomiła wiele działań legislacyjnych i nielegislacyjnych, aby rozwiać obawy dotyczące niezależności wymiaru sprawiedliwości, uznała prymat prawa UE i zobowiązała się do wykonania wszystkich wyroków TSUE i ETPC dotyczących praworządności, w tym niezależności sądów".

Inaczej niż przed niemal 200 laty porządek został przywrócony nie przez moskiewskie bagnety, ale unijne srebrniki, co tylko pokazuje słuszność twierdzenia Karola Marksa, skądinąd jednego z duchowych ojców Unii Europejskiej, według którego „Hegel powiada gdzieś, że wszystkie historyczne fakty i postacie powtarzają się, rzec można, dwukrotnie. Zapomniał dodać: za pierwszym razem jako tragedia, za drugim jako farsa". Tak, słowa farsa, groteska mają tu wiele zastosowań.

Po pierwsze, jest czymś groteskowym nazywać przywracaniem praworządności działania obecnego rządu – bezprawne przejęcie mediów publicznych, przechwycenie prokuratury, lekceważenie Trybunału Konstytucyjnego, groźby wobec prezesa NBP i zapowiedź zemsty na opozycji. Zresztą co się tyczy groteskowości oświadczeń, Komisja ma poważnego konkurenta w postaci różnych pseudoniezależnych organizacji, jak choćby Reporterzy bez Granic, którzy to próby stłumienia różnorodności słowa i przejęcie kontroli nad mediami przez obecny rząd nazywają odzyskiwaniem wolności.

Po drugie, nie mniej absurdalne jest ogłoszenie przez Komisję Europejską zakończenia procedury, która to nie jest jasno opisana przez prawo. Rzadki to przypadek stosowania nieistniejących przepisów w imię ochrony legalizmu. Unijni urzędnicy mogą jednak tak działać, bo chroni ich zachodni, liberalny system medialny. Dla zewnętrznego widza uciecha.

Wreszcie po trzecie, czymś groteskowym jest ostentacyjność, z którą mamy do czynienia: praca wykonana, zapłata przyznana. Komisji Europejskiej nie chciało się nawet poczekać do końca kampanii wyborczej do Parlamentu Europejskiego. A po co? Przecież o to chodzi, żeby wskazać palcem, na kogo należy oddać dziś głos, jeśli nie chce się mieć kłopotów. Polacy, głosujcie na Tuska – woła Komisja – on się sprawdził!

Oczywiście cały ten kabaret nie byłby możliwy, gdyby nie udział w przedstawieniu tych, którzy grają rolę ofiar. Doprawdy, bez nich zabawy by nie było. Od 2020 r., kiedy to pojawił się pomysł mechanizmu „pieniądze za praworządność", nie potrafili pojąć, że został on wymyślony po to, by się ich pozbyć, i dlatego się pod nim podpisali (a ściślej: zrobił to pan premier za zgodą pana prezesa). Uczestnicząc następnie w negocjacjach na temat „kamieni milowych" i KPO (nazwany przez Mateusza Morawieckiego nowym planem Marshalla), przypominali do złudzenia karpie, które pragnęły przyspieszyć wieczerzę wigilijną. Zresztą kabaret (farsa?, groteska?) nie chce się zakończyć, bo dokładnie ci sami ludzie, którzy dali się Brukseli wodzić za nos i wystrychnąć na dudka, obiecują obecnie, gdy już stracili władzę, że teraz to dopiero będą bronić polskiej suwerenności.

Naprawdę, byłoby się z czego śmiać. Naprawdę, można by usiąść wygodnie w fotelu z popcornem lub orzeszkami w ręku i oglądać do woli. Biorąc pod uwagę osobliwy fakt, że oni to wszystko mówią na poważnie (Tusk udaje, że jest kimś innym niż wykonawcą brukselskich rozporządzeń, a Morawiecki, że będzie walczył z Brukselą), zabawa byłaby przednia, gdyby nie brak happy endu.

Można się bowiem spodziewać, że cała ta gra doprowadzi nas do wprowadzenia w życie tego, co od początku Bruksela zaplanowała: ostatecznego odebrania Polsce prawa weta, wprowadzenia nad Wisłę kolejnych elementów globalistycznej ideologii i pozbawienia nas resztek podmiotowości państwowej. To ci dopiero będzie porządek! ©℗

eprasa.pl bcaf610a37

TEMAT TYGODNIA

16 ŁUKASZ WARZECHA
CZY RZĄD POLSKI WYŚLE UKRAIŃCÓW NA FRONT
Wojna pełna porażek

19 MACIEJ PIECZYŃSKI
UCHODŹCY CZY ZDRAJCY?

KRAJ

22 PIOTR SEMKA
KATALOŃSKIE WZORCE – ŚLĄZAKOWSKA DETERMINACJA
Śląsk patrzy na Hiszpanię

25 ROZMOWA Z JACKIEM SARYUSZEM-WOLSKIM
UPROWADZENIE EUROPY

28 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
POLSKIE SAMOBICZOWANIE

30 ŁUKASZ ZBORALSKI
PR NA KOMENDĘ

32 ZUZANNA DĄBROWSKA
UPADŁA GWIAZDA

KULTURA

34 WIESŁAW CHEŁMINIAK
STĄD DO STAROŻYTNOŚCI
„Mitologia" Jana Parandowskiego i inne mitologie

37 PIOTR GOCIEK
OBCY W OBCYM KRAJU

NIE PRZEGAP

40 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

46 JERZY KARWELIS
REKLAMA W SŁUŻBIE IDEOLOGICZNEGO BIZNESU
Komu nie wolno płacić

50 PAWEŁ CHMIELEWSKI
JAN PAWEŁ II I ZŁUDZENIE UNII

54 JAKUB WOZINSKI
WSZYSTKIE ŚLADY PROWADZĄ DO WUHAN

HISTORIA

58 ROZMOWA Z JANUSZEM WRÓBLEM
SKOŚNE OCZY LOSU
Polacy w Chinach

ŚWIAT

62 JACEK PRZYBYLSKI
AMERYKA WALCZY Z „OBLĘŻENIEM"
Największe studenckie protesty w USA od roku 1968

65 KRYSTIAN KRATIUK
CO DALEJ Z DOMAMI POLSKIMI W JEROZOLIMIE?

68 JAN BOGATKO
WIOSNA, TRAWKA DLA WSZYSTKICH!

EKONOMIA

72 ROZMOWA Z DR. JAKUBEM JAKÓBOWSKIM
ZALANI CHIŃSKIMI „ELEKTRYKAMI"
Światowi giganci nie docenili Chińczyków

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (12), ŻEBROWSKI, KOPER (61), PRZYBYLSKI (70), GABRYEL, WARZECHA (75), KOMUDA (77), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (80), KRATIUK (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl bcaf610a37

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Cosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Wojciech Grzędziński/AA/Abaca/PAP, Krzysztof Szewczyk/Forum**

WYDAWCA: **Orle Pióro SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, Orle Pióro SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW
POLSKA WYDAWCA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro SA:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

FIRMA RODZINNA

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829 Nakład: 52 000 egzemplarzy
NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Skąd wzięła się Ukraina?

Jacek Komuda („Ukraina w ruinie", „Do Rzeczy" nr 16/2024) pisze, że Ukraina pojawiła się podczas wojny polsko-szwedzkiej w wyniku traktatu rozbiorowego w Radnot podpisanego 6 grudnia 1656 r. przez przedstawicieli Karola X Gustawa i Jerzego II Rakoczego. Traktat ten zmierzał do podziału ziem Rzeczypospolitej między Szwecję, Brandenburgię, Siedmiogród, Bohdana Chmielnickiego i Bogusława Radziwiłła. Stanowił zapowiedź rozbiorów Polski, do których doszło 120 lat później.

Chociaż Fryderyk Wilhelm, Radziwiłł i Chmielnicki nie byli sygnatariuszami tego układu, to ich interesy zostały w nim uwzględnione. Decyzja o przekazaniu terytoriów Chmielnickiemu odłożona została wprawdzie na później, ale przyjąć należy, że wówczas po raz pierwszy pojawiła się niezależna Ukraina. Nazwa ta zapisana została oficjalnie w 1590 r. w tytule konstytucji sejmowej według projektu Jana Zamoyskiego (porządek ze strony Niżowców i Ukrainy) i odnosiła się wtedy do dwóch województw: kijowskiego i bracławskiego. Znajdziemy ją również w tzw. Latopisie kijowskim (staroruska kronika) z XV w., gdzie kronikarz, opisując wydarzenia z lat 1111–1200, wspomina rok 1187 i śmierć księcia perejasławskiego Włodzimierza, bohatera walk z Połowcami. Czytamy, że „Ukraina wielce rozpaczała" za nim. Dowiadujemy się tam, że chodzi o ludność zamieszkałą między Bohem a Dniestrem. Na mapie Wilhelma le Vasseur de Beuplana z 1651 r. „Ukraina" i „Dzikie Pola" położone są między granicami „Moskowii" i „Transylwanii". Ukraina znajduje się między Bohem a Dnieprem, ale nie obejmuje Rusi Czerwonej.

Paul R. Magocsi („Pod osłoną gór. Dzieje Rusi Karpackiej i Karpatorusinów", Rzeszów 2022) pisze o stepach Ukrainy i Krymu jako o obszarze zdominowanym przez niemal 500 lat przez północnoirańskich Scytów, gdzie przeważali liczebnie słowiańscy rolnicy (s. 45). Wynika z tego, że obecna na Ukrainie irańska mniejszość zasymilowana została przez słowiańską większość. Termin „Ukraina" według Jarosława Hrycaka („Ukraina. Wyrwać się z przeszłości", Kraków 2023) jest wędrowny, „nieprzyszpilony" do jednego, wybranego terytorium (s. 32).

Warto o tym pamiętać, jeżeli prawdą jest to, co pisze Łukasz Warzecha, że historycy ukraińscy mają być zaproszeni do polskich szkół, by wziąć na siebie obowiązek nauki historii i języka ukraińskiego ukraińskich dzieci („Ukraiński »komponent«", „Do Rzeczy" nr 16/2024). Okazuje się, że Polska zamierza zmienić zasady dotyczące imigrantów. Polegały one wcześniej na tym, że dzieci z tej grupy powinny się uczyć języka i historii kraju przyjmującego.

Zbigniew Machelski, profesor zwyczajny

Wyjaśnienie

W moim tekście o Jadwidze Staniszkis („Królowa Jadwiga", „Do Rzeczy" nr 17–18/2024) znalazły się, niestety, trzy nieścisłości. Pani Jadwiga po epizodzie gdańskim wyjechała do Poznania i stamtąd dopiero po latach wróciła do Warszawy. Znajomość Jadwigi Staniszkis z Ireneuszem Iredyńskim to okres lat 70., a nie 60., jak podałem. I wreszcie – córka pani Jadwigi nosi imię Joanna, a nie Anna, jak podałem. Za błędy przepraszam.

Piotr Semka

eprasa.pl bcaf610a37

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

W kółko to samo

Od pierwszych dni po wybuchu afery z Tomaszem Szmydtem PO uznała, że warto wykorzystać ją w kampanii do europarlamentu. Założenie było proste. Ujawnienie się zdrajcy w Mińsku potwierdza tezę, że PiS to partia proputinowska. PiS odgryzał się wypominaniem: a to, że Szmydt przeszedł do obozu przeciwników reformy sądownictwa jako „skruszony", a to, że sędzia był częstym gościem TVN.

Puentą tej kampanii było sejmowe wystąpienie Donalda Tuska w czwartek 9 maja. „Ponad 30 lat temu z tej mównicy, weteran polskiej polityki Leszek Moczulski rozczytał akronim PZPR jako »Płatni Zdrajcy Pachołki Rosji«. Skrót partii Zjednoczonej Prawicy mógłby być dokładnie tak samo rozczytany. Gdyby dzisiaj był tutaj pan Moczulski, toby patrzył w tę stronę i mówił: »Płatni Zdrajcy Pachołki Rosji«" – mówił z trybuny sejmowej. Padły przy tym bardzo mocne oskarżenia.

Złośliwi komentatorzy stwierdzili, że gdyby choćby jedna trzecia z tego, co głosił Tusk, była prawdą, to służby powinny już rozpocząć akcję aresztowania polityków największej partii opozycji. Tyle że, niestety, jest to polska odmiana komedii dell'arte, spektaklu, w którym padają gromkie słowa na użytek walki politycznej, a wszystko to sprowadza do groteski niezwykle realny problem infiltracji polskiego aparatu państwowego przez Moskwę i Mińsk. Przed instrumentalnym używaniem afery Szmydta przestrzegali Tuska nawet publicyści, których trudno utożsamiać z opozycją. Michał Szudrzyński apelował: „Nie róbmy Putinowi prezentu. Jeżeli po ujawnieniu się na Białorusi sędziego Szmydta pojawia się hasło delegalizacji PiS, mam wrażenie, że działamy według scenariusza pisanego na Kremlu".

Tomasz Szmydt jak każdy agent działał elastycznie. Najpierw odegrał rolę zwolennika zmian w sądownictwie i korzystał z awansów ekipy Ziobry, a potem, gdy już uznano, że wypełnił swoje zadanie, polecono mu zmienić front i przejść do obozu rzekomych obrońców demokracji. Używanie sprawy zaprzańca niczym pałki do walenia przeciwników po głowie to wobec dramatyzmu sytuacji w naszym regionie czysta nieodpowiedzialność.

Dowiadujemy się dziś, że sędziowie nie są weryfikowani przed uzyskaniem dostępu do tajnych informacji. Jak zawsze, gdy dana kasta wywalcza sobie status zwolnienia od wszelkiej kontroli, takie sytuacje wykorzystują inni, na czele z obcymi wywiadami. Potrzebny jest dziś consensus między rządem a opozycją w sprawie wspólnego planu uszczelnienia polskiej administracji przed wschodnią agenturą. Potrzebujemy namysłu, jak poprawić standardy bezpieczeństwa. Ale jak to czynić w sytuacji, gdy nowa ekipa bardziej troszczy się o usuwanie ze służb specjalnych ludzi, których uważa za przedstawicieli poprzedniej ekipy? Jeżeli nowa odsłona polsko-polskiej wojny jest obserwowana z Mińska, to postsowieccy bezpieczniacy mogą sobie pogratulować. W tak komfortowej sytuacji mogą spokojnie werbować kolejnych agentów. ©℗

FOT. ADOBE STOCK, DORZECZY.PL

REKORDOWE WYNIKI DORZECZY.PL

W zestawieniu najpopularniejszych serwisów informacyjnych polskich tygodników w kwietniu 2024 r. DoRzeczy.pl zajęło pierwsze miejsce. Nasz portal odwiedziło 4,56 mln użytkowników, co przełożyło się na 40,69 mln odsłon (w porównaniu z 35,7 mln odsłon w marcu). – Cieszymy się z tych wyników i dziękujemy każdemu, kto odwiedza nasz serwis. Czytelnicy znajdą u nas różne punkty widzenia i to się na pewno nie zmieni – mówi szef portalu DoRzeczy.pl Karol Gac.
Drugie miejsce zajął portal tysol.pl. Serwis „Tygodnika Solidarność" odwiedziło 3,67 mln użytkowników, którzy wygenerowali jednak 11,7 mln odsłon. Ostatnie miejsce na podium przypadło serwisowi wprost.pl, który odwiedziło 3,6 mln osób, co przełożyło się na 15,7 mln odsłon. ©℗

eprasa.pl bcaf610a37

ALIOR BANK

wypłata dywidendy

PO RAZ PIERWSZY PODZIELIMY SIĘ ZYSKAMI Z AKCJONARIUSZAMI

Bank dobrych wiadomości:

- rekordowe wyniki za 2023 r.,
- wzrost kursu akcji o 152,7% w okresie 1.04.2023 – 31.03.2024,
- najwyższy rating S&P w historii Alior Banku,
- w 2024 r. wypłacamy dywidendę.

Dziękujemy Wam za zaufanie.

eprasa.pl bcaf610a37

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Powrót Rasputina

W naszym miesięczniku historycznym pisałem swego czasu, jeszcze przed wyborami, które zamieniły miejscami PiS z PO, o „efekcie Rasputina". I zapowiadałem, że jeśli PO wróci do władzy, to zapewne ten efekt powtórzy. Właśnie się dowiedziałem, że nowa władza wszczęła procedurę usuwania pomnika smoleńskiego z placu Piłsudskiego. Tego, pod którym prowokator położył obelżywy wobec śp. Prezydenta „wieniec", którego usunięcie ma być powodem pozbawienia Jarosława Kaczyńskiego immunitetu poselskiego.

Co ma Smoleńsk do Rasputina? Otóż przywoływałem sytuację w Rosji po obaleniu cara, kiedy to słaby rząd socjalisty Kiereńskiego i jego koalicjantów stanął przed wielkimi oczekiwaniami, których nie był w stanie nie tylko zaspokoić, lecz także nawet ogarnąć. Głód, doprowadzenie wojny do zwycięstwa, bunty społeczne. Nie potrafiąc nic zrobić w żadnej z tych spraw, rząd tymczasowy zajmował się rozliczeniami z caratem. To wtedy właśnie prace specjalnej komisji wykreowały nieżyjącego już Rasputina na demona, seksualnego potwora i kochanka carycy.

Ludziom Kiereńskiego wydawało się, że cała Rosja niczym innym nie żyje, jak tylko żądzą wyjaśnienia obyczajowego skandalu. I brnęli w przesłuchania i obdukcje (niechcący odkrywając, że Rasputin był w ogóle impotentem, a rzekoma organizatorka jego legendarnych orgii dziewicą mimo poważnego wieku), i im bardziej nic innego nie wychodziło, tym usilniej opowiadali o zgniliźnie carskiego dworu. Aż przyszli bolszewicy. I mimo że była ich tylko garstka, przy totalnej obojętności społeczeństwa i większości wojska przejęli władzę i wszystkich łowców Rasputina rozstrzelali – straż, która miała rządu bronić, rozeszła się do domów, w Piotrogrodzie nikt nawet nie zamknął kawiarni ani nie odwołał spektakli teatralnych.

Ludzie, którzy zmieniają władzę, zwykle oczekują po niej czegoś więcej niż niekończącego się rozliczania władzy poprzedniej. Kiereński wyraźnie tego nie rozumiał. A Tusk? Mam wrażenie, że też nie… ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Jak Saul z Maverickiem

Kiedyś w czasie dyskusji na „Śniadaniu w Trójce" Artur Zawisza nawiązał do swoich ostatnich lektur, na co gwałtownie zareagował Jacek Kurski. – Ty czytasz książki? Po co? Przecież w tym czasie można kilka, a nawet kilkanaście filmów obejrzeć.

Artur reprezentował w debacie Prawo i Sprawiedliwość, Jacek – Ligę Polskich Rodzin. Inne czasy, choć już nasz XXI w. W swojej książce „Wybór" Donald Tusk opowiadał, jak jego ocenę rosyjskiej penetracji Zachodu pomógł mu zrozumieć Saul Berenson, dyrektor CIA. W tym miejscu trzeba zrobić wyjaśnienie dla zdezorientowanych historyków: dyrektora Berensona na czele Agencji nie postawił żaden z amerykańskich prezydentów, tylko producenci serialu „Homeland". Poprzednik Donalda Tuska, premier Morawiecki, opowiadał mniej więcej w tym samym czasie, jak jego strategię ukraińską inspiruje jeden z dowódców amerykańskich sił powietrznych, komandor Pete Mitchell. Tak, tak – Pete Mitchell „Maverick" z „Top Gun", grany przez Toma Cruisa.

Trzydzieści lat temu zapytałem jednego z moich liberalnych znajomych, na czym w istocie polegają różnice między Unią Demokratyczną a Kongresem Liberalno-Demokratycznym Donalda Tuska. Znajomy odpowiedział, że dla prof. Geremka różnica z KLD jest głównie natury kulturowej, nie politycznej. „Oni nie czytają książek, po prostu". Z Bronisławem Geremkiem dzieliło mnie politycznie prawie wszystko, ale jego opinii o kulturze KLD bym nie lekceważył.

Dobro wspólne bowiem to kategoria, którą właśnie od-czytujemy; dzięki filozofii – z natury ludzkiej, dzięki historii – z kultury narodowej, no i jest jeszcze socjologia, dająca ogląd bieżącego życia narodu. Tak to wygląda z perspektywy klasycznej polityki. W nowoczesnej demokracji medialnej wszystko to zasłania spektakl. Tak sugestywny, że nawet jego uczestnikom zaczyna się mieszać z serialami, które oglądają. ©℗

eprasa.pl bcaf610a37

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIECZEŃ RZYMSKA

Uwiąd młodzieńczy demokracji

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

Gdy piszę ten tekst, Międzynarodowy Salon Książki w Turynie jeszcze się nie rozpoczął, a gdy państwo będą go czytać, impreza będzie się kończyć. Stąd jestem w stanie opisać jedynie krajobraz przed bitwą, a nie po niej. Jednak to, co się dzieje tuż przed inauguracją, świetnie oddaje gęstniejącą, porażającą atmosferę terroru, która za sprawą zideologizowanych zamordystów towarzyszy teraz społecznemu życiu Italii.

Kolektywy studenckie i uczniowskie, wspierane przez wykładowców, islamiści, anarchiści i zadymiarze wszelkiej maści grożą atakiem na Salon, jeśli w imprezie zgodnie z planem wezmą udział pisarz Eshkol Nevo i publicystka oraz pisarka Fiamma Nirenstein, która ma zaprezentować swoją książkę „7 października 2023. Izrael płonie". Jak napisano w liście z pogróżkami, „Syjoniści delegują tych »intelektualistów«, by zmyli krew rozlaną w Palestynie". Islamiści grożą przemocą, jeśli dojdzie do spotkania z Salmanem Rushdiem (dwa lata temu wybili mu oko). Awangardzie postępowych artystów i miłośników kultury wadzi, że Salon ma otworzyć minister kultury Genaro Sangiuliano, a uczniom i studentom – udział w uroczystości ministra edukacji. Z kolei wszyscy postępowcy jak jeden mąż zagotowali się i zapowiadają protesty na wieść, że swoją książkę „Pod wiatr" ma w Turynie podpisywać wicepremier Matteo Salvini. Żądają również odwołania spotkania z generałem Roberto Vannacim, który popełnił mocno prawicowy utwór „Świat na odwrót".

Jak się okazuje, tego rodzaju terroryzm przynosi efekty. Rektor Państwowego Uniwersytetu w Mediolanie otrzymał pogróżki w związku z mającą się odbyć w wielkiej auli konferencją „Izrael – jedyne dymokratyczne państwo na Bliskim Wschodzie". Zestrachał się i imprezę odwołał, sugerując, żeby odbyła się wyłącznie „on-line". Studenci, wyjaśniając motywy zapowiadanych protestów („współudział w ludobójstwie Palestyńczyków"), z rozbrajającą szczerością napisali w odezwie: „Musimy zadać śmiertelny cios syjonizmowi i państwom zachodnim, które go wspierają". ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl bcaf610a37

ZUZANNA DĄBROWSKA

GWIAZDOBZDUR

ŻYCIE W CIENIU GWIAZD

Państwo Andziaks i Luka, internetowi influencerzy, którzy są znani przede wszystkim z tego, że są znani, oraz ze swojego imponującego bogactwa, nacisnęli na odcisk sąsiadom. Pod koniec ubiegłego roku małżonkowie przeprowadzili się do wypasionej willi, a cały proces był szczegółowo relacjonowany w sieci. Teraz w nowym domu świętowali hucznie czwarte urodziny córki Charlotte. Było na bogato – dekoracje, animatorki, wymyślne przekąski, sławni goście. W ogrodzie stanęła wielka dmuchana zjeżdżalnia. Nie wszyscy jednak bawili się tak dobrze, jak mała solenizantka i jej bliscy. Na jednej z otwartych grup facebookowych dla mieszkających w okolicy pojawiła się skarga na Andziaks i Lukę. Sąsiedzi zarzucają celebrytom, że ci często blokują chodnik i ścieżkę rowerową, co było szczególnie widoczne w dniu imprezy. „Ścieżka rowerowa i chodnik przed posesją nie służą do parkowania samochodów. Jest to naruszeniem prawa i brakiem poszanowania wspólnej własności. Na tym odcinku ulicy jako jedyni parkujecie Państwo pojazdy na chodniku i ścieżce rowerowej – i nie jest to pierwszy raz" – czytamy na Facebooku. Do dyskusji włączyło się wielu internautów. Jeden z nich, twierdzący, że również mieszka w pobliżu, przekonywał, że dwukrotnie zwracał uwagę właścicielom willi w tej samej sprawie. Niektórzy próbowali bronić influencerów, jednak większość wyrażała oburzenie okazywanym przez nich brakiem szacunku dla sąsiadów. Trudno, takie koszty życia w cieniu gwiazd.

FOT. MATEUSZ JAGIELSKI/EAST NEWS

WINA KLĄTWY

À propos gwiazd, a raczej ich tańca. Za nami finał „Tańca z gwiazdami". Po trofeum sięgnęła aktorka Anita Sokołowska. Drugie miejsce przypadło wokalistce Roksanie Węgiel, a na najniższym stopniu podium stanęła influencerka modowa Maffashion. Zgodnie z przewidywaniami widzów walka o Kryształową Kulę rozstrzygnęła się między Sokołowską a Węgiel, które niemal od początku były uznawane za faworytki. Czy Roxie czuje niedosyt? Tuż po zakończeniu transmisji z wielkiego finału udzieliła wielu wywiadów i podzieliła się emocjami. – Nie mam niedosytu. My się nie nastawialiśmy na wygraną w tym programie. Zresztą dziś czytałam coś o „klątwie wokalistek" [...]. Tutaj w programie praktycznie mało która wokalistka wygrywa – stwierdziła autoironicznie Węgiel. – Uważam, że Anita jest świetna, zostawiła na parkiecie kawał serca, dali czadu z Jackiem, ludzie ich pokochali – dodała, chwaląc zwycięską parę tancerzy. Można z klasą? Można.

MÓZG NIE DZIAŁA

Celebryci próbujący sił w polityce to nic zaskakującego. Wykorzystanie rozpoznawalności kusi, szczególnie gdy stawką jest niemała pensja europosła. Z list Konfederacji o miejsce w PE postanowiła ubiegać się Aleksandra Kiepura, uczestniczka pierwszej edycji randkowego show „Hotel Paradise". Złośliwi już zaczęli wyciągać kompromaty z przeszłości. W przypadku Kiepury są to wypowiedzi dotyczące używek. Chodzi o wywiad z 2022 r. – Ja nie jestem jakąś idealistką. Też liczy się dla mnie, wiadomo, kasa, władza, to są napędowe... Rozpoznawalność równa się władza. Jakby nie będę udawać, że to mną nie kieruje – mówiła w programie „Marcin Zawada Podcast". Przyznała, że kontakt z używkami miała po raz pierwszy w wieku zaledwie 13 lat. Uciekła nawet z domu i „mieszkała z ziomkami na melinie". Później nastąpiła wielka przemiana. – Jeśli chodzi o rozwój, to edukacja mogłaby się zakończyć po studiach dla większości ludzi [...]. Jestem singielką, nie mam dzieci, zwierząt, co ja mam robić? No uczyć się. Nie imprezuję, nie piję alkoholu, czasem biorę narkotyki, rzadko – wyznała. Jednocześnie Kiepura poinformowała, że „jej mózg może nie działać do końca poprawnie". – Przez ilość środków. Możliwe, że mój mózg nie działa do końca poprawnie – wyznała bez ogródek. – Nie ma się co wstydzić, w końcu tyle się tego w siebie władowało. To nie były ilości jeden blunt na dwa miesiące, nie. To było np. pół roku, dzień w dzień jarania zioła, mając 14 lat. Mogło to odcisnąć piętno na moim mózgu – dodała wtedy rozbrajająco szczerze. Szczerość nie zawsze popłaca?

ODCZEPCIE SIĘ!

Sprawa nabrała medialnego rozgłosu, przez co uczestniczka „Hotelu Paradise" została zmuszona do wydania oświadczenia. Podkreśliła, że wywiad pochodzi sprzed dwóch lat, a więc cytowanie tamtych wypowiedzi w kontekście wyborów do PE jest nadużyciem. „Nie jestem już ani singielką, ani nie mam już 26 lat" – zauważa. Aleksandra Kiepura zapewnia, że nie wstydzi się swojej historii. „Chciałabym, aby moja walka o samą siebie, o moje życie, była pomocna dla innych kobiet, które będą chciały pokonać swoje słabości, wyrwać się z pułapek, w które wpadły w młodości" – twierdzi kandydatka Konfederacji. „Wchodząc do polityki, wiedziałam, że stawiam wiele na szali i że mnóstwo moich błędów, a nawet moich słów będzie wykorzystywanych przeciwko mnie. Nie boję się tego" – deklaruje i zapowiada, że nie pozwoli wykluczyć się z walki o mandat. Będzie ciekawie. ©℗

eprasa.pl bcaf610a37

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, trwają matury i musimy powiedzieć, że przeanalizowawszy tematy z języka polskiego, dostrzegamy ten wiatr zmian, który przechodzi przez szkołę w tym kraju. Nareszcie!

Otósh w końcu po tylu latach nie było żadnych bogoojczyźnianych patriotyzmów, esejów o przywództwie Jarosława Kaczyńskiego w odniesieniu do postaci pana Tadeusza z „Ogniem i mieczem", żadnych „Quo vadis" i innych dzieł rzymskich poetów, żadnych pozytywistycznych nudziarstw, antyniemieckiej „Bogurodzicy". Okazuje się, iż można inaczej, i jesteśmy z tego niezwykle zadowoleni.

A co było? To, co nam się podoba, a więc bunt i jego konsekwencje dla człowieka. Wreszcie w szkole pojawił się nurt, który pokazuje osobodzieciom, iż można nie poddawać się sztywnym normom narzucanym przez anachroniczny patriarchalizm, ale iż można się przeciwko niemu buntować.

To, co nam się nie do końca podoba, to ten dopisek o konsekwencjach dla człowieka. Rozumiemy, iż wszystkiego od razu nie da się zrobić. Ale może też kolejnym krokiem do wykonania powinno być to, że przestaniemy dzieci straszyć konsekwencjami tego wszystkiego, co robią?

Może kolejnym razem, kiedy pojawi się temat buntu, będzie on brzmiał: „Bunt i korzyści dla psychiki" lub „Bunt jako jedyna realna postawa wobec patriarchalizmu"? Wiecie, aby tak pozytywnie nastawiać młodzież do buntowania się, bez zbędnego lęku czy zastanawiania się, co pani w szkole powie.

No, ale matura z polskiego to przeszłość, przeszłość to, jak wiadomo, historia, a historia to coś, o czym się nie rozmawia albo czego można się wstydzić. Dlatego chcemy porozmawiać o przyszłości i zapytać, czy zarezerwowaliście już sobie, kochani, jakieś fajne miejsce na wakacje.

O ile of kors macie w tym roku wakacje, zakładamy, że w przypadkach wielu z was korpo może uznać, iż w miesiącach letnich jesteście niezbędni do zrealizowania planu sprzedażowego lub przekopiowania jednej tabelki w Excelu do innej tabelki w Excelu, bez czego prawdopodobnie doświadczylibyśmy globalnego kolapsu.

No ale ci z was, którzy nie będą musieli sprawiać, iż świat się nadal będzie kręcił, pewnie będą chcieli gdzieś wyjechać, prawda? Mamy więc dla was kilka przypominajek, abyście w rwetesie przygotowań nie zapomnieli o podstawowych faktach.

Po pierwsze, wybierajcie takie lokalizacje, do których dociera ekologiczny transport publiczny, w miarę możliwości nie latajcie samolotem. Tyle się słyszy o różnych polskich „Malediwach", do których można dojechać pociągiem albo rowerem. Te prawdziwe Malediwy zostawcie dla tych, którym jeżdżenie pociągiem nie przystoi lub którzy traktują taką myśl jako żart, np. lewicowym europosłom xD.

Po drugie – ograniczajcie zużycie wody, dlatego polecamy pobyty nad akwenami, gdzie można się wykąpać, zagotować z nich wodę itd. Przy okazji będziecie zero waste.

Po trzecie – każda podróż pozostawia ślad węglowy. Skoro więc przez sam fakt istnienia nie jesteśmy już neutralni dla klimatu, to na serio rozważmy wakacyjny pobyt w mieszkaniu, of kors bez konsumpcji energii elektrycznej.

Sami więc widzicie, iż obostrzeń nie ma dużo. Poza tym nie są jeszcze oficjalne, ale coś nam mówi, że warto się zacząć do nich przyzwyczajać xD. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Drogie rzeczy

Jacek, ty masz doświadczenie, byłeś już w europarlamencie. Jak to zrobić, żeby czasem... No wiesz, wziąć dietę, ale niekoniecznie...

Jasne, Aśka, wiem: zgarnąć dietę i znikać z tego burdelu.

No, nie chciałam...

Spoko. Wiesz, ja podpisywałem listę, siadałem przy drzwiach i potem chyłkiem, po 15 minutach – myk.

Ale to nie jest jakoś głupio?

A kogo to obchodzi? Może do kibelka idziesz.

Jakoś nie wiem...

To popatrz tutaj: najnowsza technologia, prosto z Chin.

O ja cię... Który to jesteś ty prawdziwy?

Ten tutaj. Zostawiasz taki dinks i on wyświetla przez zadany czas twój hologram. Tylko wiesz, to drogie rzeczy są. Ale spokojnie, opłaci się. ©℗ ***Łukasz Warzecha***

OD RZECZY

„Zachód czy Wschód? Europa czy Rosja? KO czy PiS? To są wybory, przed którymi staje dziś Polska".

DONALD TUSK, *premier, na portalu X, przed wyborami do Parlamentu Europejskiego*

eprasa.pl bcaf610a37

No i po majówce! Tegoroczną sponsorowały literki „P” i „O”, niczym w „Ulicy Sezamkowej”. Tyle że zamiast ulicy był plac, a zamiast Sezamkowej – Piłsudskiego. To tam miało miejsce słynne wystąpienie ministra Marcina Kierwińskiego, który w jego trakcie był/nie był (niepotrzebne skreślić) niedysponowany. Kto literki „P” i „O” chce skojarzyć z nazwą pewnej partii politycznej, ten jest w mylnym błędzie. Chodziło nam o pogłos.

Pogłos to straszna rzecz. A jeszcze gorsza jego siostra – pogłoska. A już najgorsza jest zdrada ze strony byłego partyjnego kolegi. Gdyż im bardziej Marcin Kierwiński groził wszystkim sugerującym, że był/nie był (niepotrzebne skreślić) niedysponowany, tym bardziej Jacek Protasiewicz publicznie utrzymywał, że „był napruty jak messerschmitt” (Kierwa, nie Protas). Skandal! Czekamy niecierpliwie, aż Kierwa pozwie Protasa. To będzie proces stulecia.

Jako że na dowód swej niewinności Kierwa przedstawił wyniki badania alkomatem (0,0 promila) wykonane przez aspirant Ewę Burnett. Co skłoniło niektórych (obrzydliwcy!) do rozpowszechniania żarciku w pełni zrozumiałego tylko dla tych, którzy w PRL czytali zeszytowe kryminały. Oto treść żartu: „Ewa wzywa 0,7”. Głupi żart. Jakby co, to byłoby/nie byłoby (niepotrzebne skreślić) w tym przypadku: „0,7 wzywa Ewę”.

dwaj panowie g

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Minister Kierwiński utrzymuje, że dziwny ton jego wypowiedzi podczas strażackiego święta wywołany był przez pogłos. Nie był to zwykły pogłos, gdyż wedle „GazWybu” chodziło o Delayed Auditory Feedback (opinia ekspertki z zakresu percepcji i produkcji języka naturalnego prof. Joanny Rączaszek-Leonardi z Uniwersytetu Warszawskiego). My też znamy to zjawisko, w końcu nawykliśmy do publicznych wystąpień. Na przykład jak się powie kiepski dowcip, to reakcja sali (czyli auditory feedback) jest zwykle opóźniona (delayed). A czasem żadna.

W całej chryi najzabawniejsze jest to, że dawno nie mieliśmy tak mocnego dowodu, że żyjemy w bantustanie skrzyżowanym z republiką bananową. I nie ma to nic wspólnego z tym, czy Kierwa był/nie był (niepotrzebne skreślić) niedysponowany. Proszę pomyśleć: w chwili, gdy współzałożyciel KLD i PO Jacek Protasiewicz publicznie opowiada o tym, że posiedzenia rządu Tuska były sesjami pijaństwa, a PeŁo zwykła używać do rozwiązywania problemów „seryjnych samobójców”, media interesują się głównie tym, co ma do powiedzenia Kierwiński o szkalujących go szakalach. Nic dziwnego, że dziennikarze są już w rankingach zaufania tuż przed albo tuż za politykami.

Szakale to jeszcze nic, pojawiły się już w PeŁo teorie, że to wszystko z Kierwą to PiS-owski spisek. Agenci Kaczyńskiego celowo ustawili nagłośnienie tak, by minister Kierwiński robił/nie robił (niepotrzebne skreślić) wrażenie dysponowanego/niedysponowanego (niepotrzebne skreślić). Cóż, trzeba będzie zrobić o tym film, głęboko prawdziwy i humanistyczny, jak „Zielona granica”. Mamy nawet tytuł. Pamiętacie film o polskich ksenofobach prześladujących Żydów? „Pokłosie”? No to ten o PiS prześladującym Kierwę będzie nosił tytuł „Pogłosie”.

Skoro już o filmach. Z oburzeniem przyjmujemy brutalny atak byłego ministra podpułkownika kultury Sienkiewicza na ważną postać polskiego ruchu LGBT, czyli byłego szefa PISF Radosława Śmigulskiego (wszak sam się chwalił, że nikt nigdy w historii Polski nie sfinansował tylu gejowskich filmów co on). Atak dotyczy rzekomej rozrzutności podczas płacenia za różne rzeczy służbową kartą kredytową. Na przykład w night clubie Toy Room w Mumbaju.

Otóż sprawdziliśmy opinie klientów Toy Roomu i nie są one dobre. Karaluchy, kiepskie jedzenie, drogie drinki i bardzo nieuprzejma obsługa. Śmigul tam cierpiał dla Polski, a nie marnotrawił. No, chyba że zamówił jedzenie. To wtedy marnie trawił. A poza tym Toy Room to lokal przy pięciogwiazdkowym hotelu Grand

eprasa.pl bcaf610a37

Hyatt, więc Śmigul miał blisko. Nie chcielibyście chyba, żeby ważny polski urzędnik musiał gdzieś chodzić nocą po Mumbaju, szukając night clubu? To nie jest bezpieczne.

Na liście wydatków jest też klub Raspoutine w Los Angeles. Tu sprawa była łatwa, jako ludzie bywali w środowisku filmowym znamy parę osób, które tam zaglądają. No i znów: Bart Sienkiewicz wali kulą w płot! Opinie naszych znajomych są zgodne: klub niezły, ale daleko mu do paryskiego oryginału. Czyli i tu Śmigul cierpiał. No i jednak oszczędzał! Nie chcielibyście chyba, żeby ważny polski urzędnik musiał z Los Angeles lecieć wieczorem specjalnie do Paryża na chwilę wytchnienia w Raspoutine.

Wracając do majówkowych rozrywek. Podczas przyjęcia w ogrodach prezydenckich Andrzeja Sebastiana niejaki ambasador USA w naszej przytomności dopadł szefa Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, słynnego wąsacza Macieja Świrskiego. „I am USA ambassador I'd like to ask You about concession for TVN Style" – tak brzmiała jego pierwsza kwestia. Świrski pozostał niewzruszony.

O co chodzi dokładniej? Otóż Świrski całkiem świadomie zwleka z tą koncesją. Traktuje ją jako gwarancję nietykalności. Jak wiadomo, Platforma zamierza posunąć Świrskiego pod pozorem łamania konstytucji. Posunięcie Świrskiego oznaczałoby, że koncesji dla TVN Style nie miałby kto podpisać.

Skoro już o sprawach ambasadorskich. Zmiany, zmiany, zmiany i oto pani Mościcka-Dendys wbrew naszym wcześniejszym doniesieniom nie pojedzie jednak do Berlina na ambasadora. Jak się okazało, jest jedną z nielicznych kompetentnych osób w kierownictwie MSZ, a przez to jest niezastąpiona. Radek zamiast niej zamierza posłać jakiegoś mastodonta urodzonego jeszcze w latach 50. Ze słynnego notesu Geremka.

Wróciło tanie państwo. Otóż nowy prezes Krajowego Zasobu Nieruchomości i jego zastępca tak się zachwycili gabinetami po poprzednich, że postanowili w nich zamieszkać. Do gabinetów wniesiono łóżka, dzięki czemu prezesi nie muszą szukać mieszkań na mieście, bo mają najlepszą możliwą miejscówkę w Warszawie: przy samym Nowym Świecie. Pochwalamy tę oszczędność. Home working przyczynia się do zmniejszenia śladu węglowego. I zwiększenia zasobności portfeli prezesów.

W PiS tymczasem ludzie zawistni są mało przychylnie nastawieni do home workingu. Szczególnie u tych osób, które kandydują do europarlamentu poza miejscem zamieszkania. I zamiast deptać deptaki lokalne, prowadzą kampanię w mediach centralnych. Dziwnym trafem ta krytyka dotyczy dwóch panów K. Więcej nic nie powiemy. Prócz tego, że jeden z panów K. już kiedyś do europarlamentu się nie dostał. ©℗

REKLAMA

eprasa.pl bcaf610a37

PREZYDENT XI JINPING Z WIZYTĄ W EUROPIE

Chiński prezydent po pięciu latach powrócił z dyplomatyczną ofensywą na Stary Kontynent. Chiny i Unia Europejska są dla siebie wzajemnie największymi partnerami handlowymi.

We Francji spotkał się prezydentem tego kraju Emmanuelem Macronem i przewodniczącą Komisji Europejskiej Ursulą von der Leyen. – Liczymy, że Chiny wykorzystają cały swój wpływ na Rosję, aby zakończyć agresywną wojnę Rosji przeciwko Ukrainie – mówiła niemiecka przewodnicząca KE.

Prezydent Xi Jinping odwiedził również kandydującą do członkostwa w Unii Europejskiej Serbię (dokładnie w 25. rocznicę zniszczenia chińskiej ambasady w Belgradzie przez amerykańskie bombowce podczas interwencji NATO) oraz Węgry.

We wszystkich odwiedzonych europejskich krajach celem wizyty prezydenta były nie tylko zażegnanie ewentualnych napięć politycznych i ocieplenie wizerunku Chin, lecz także rozwój relacji gospodarczych. Francja jest drugą pod względem wielkości gospodarką UE. Węgry z kolei starają się wykorzystać szansę na to, by stać się dla Chin bramą do Europy. – Chiny wspierają Węgry, aby szybciej się rozwijały i odgrywały większą rolę w Unii Europejskiej. Nasze kraje mają podobne stanowisko w wielu ważnych kwestiach regionalnych i międzynarodowych – mówił w Budapeszcie przywódca Państwa Środka. Oba kraje podpisały więc w ubiegłym tygodniu kilkanaście porozumień dotyczących pogłębienia współpracy gospodarczej, w tym zwiększenia wzajemnego ruchu turystycznego. Ogłoszono także oficjalnie, że właśnie na Węgrzech powstanie pierwsza europejska fabryka BYD, czyli największego obecnie producenta aut elektrycznych na świecie. – Węgrzy przegrali XX w., chcemy wygrać wiek XXI, a do tego potrzebujemy partnerów i najnowocześniejszych technologii" – mówił premier Viktor Orbán, podkreślając, że Węgry postrzegają Chiny jako filar wielobiegunowego świata.

Podczas poprzedniej wizyty w Europie – w 2019 r. – prezydent Xi Jinping odwiedził Francję, Włochy oraz Monako. ***(jap)*** ©℗

FOT. VIVIEN CHER BENKO/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl.bcaf610a37

eprasa.pl bcaf610a37

Czy rząd Polski wyśle Ukraińców na front

Łukasz Warzecha

Przez ponad dwa lata Polska robiła znacznie więcej, niż było konieczne, aby wspomagać Ukrainę w wojnie. Dzisiaj widać, że wszystko to spaliło na panewce. Ponieśliśmy koszty naszego ponadnormatywnego zaangażowania, a skończyliśmy z narastającą wzajemną niechęcią i deklaracjami polowania na uciekających przed wojną Ukraińców

Trochę nudno rozpoczynać kolejny tekst na temat wojny na Ukrainie od tego samego. Lecz cóż, napiszę raz jeszcze: miałem rację.

Coraz jaśniejsze się staje, że Rosji nie da się „pokonać", a jedynym dostępnym dla Ukrainy i Zachodu wariantem jest ograniczenie strat. Ukraina okazuje się słabsza od Rosji, a pomoc Zachodu, który i tak daje z siebie niemal wszystko, nie jest wystarczająca, żeby – jak to sobie niektórzy roili – „rzucić Rosję na kolana". Sankcje mają, mówiąc najdelikatniej, mocno ograniczone działanie, a rosyjskie wojska bardzo powoli, ale systematycznie posuwają się do przodu. „Słabnie ukraińska obrona" – informuje Ośrodek Studiów Wschodnich w kolejnym raporcie z kolejnego dnia wojny. Coraz jaśniejsze się staje, że błędem było niewykorzystanie szansy na negocjacje, która pojawiła się – wedle znanych informacji – w 2022 r., ale została storpedowana przy znaczącym udziale Zachodu. Sam Władimir Putin wskazywał tu na rolę Borisa Johnsona, co nie zostało jednak zweryfikowane w niezależnych źródłach.

Jednocześnie Francja nie rezygnuje z pohukiwań o wysłaniu na Ukrainę żołnierzy krajów NATO (ale nie pod flagą sojuszu, co jest istotnym czynnikiem). W ubiegłym tygodniu wiele zamieszania narobiła informacja opublikowana przez jednego z analityków, jakoby Francja wysłała już na Ukrainę ok. 100 żołnierzy Legii Cudzoziemskiej (Legia to specyficzna formacja, która formalnie pozostaje poza strukturami NATO i jest złożona z najemników). Zdementowało ją rychło francuskie ministerstwo obrony, ale – jak trafnie zauważają specjaliści od wojskowości – nawet gdyby Francuzi (a raczej: francuskie wojsko, bo Legia Cudzoziemska to właśnie żołnierze bez francuskiego obywatelstwa) faktycznie na Ukrainie już byli, Paryż i tak by się do tego nie przyznał.

KOLEJNA UKRAIŃSKA MOBILIZACJA

Ta sytuacja stała się tłem dla kolejnej wersji ukraińskiej ustawy mobilizacyjnej – tym razem wprowadzanej w atmos-

eprasa.pl bcaf610a37

FOT. DIEGO HERRERA CARCEDO/ANADOLU/GETTY IMAGES

ferze wzburzenia i skandalu. Ustawa uchwalona 11 kwietnia, a podpisana przez pana prezydenta Zełenskiego pięć dni później zakłada, że w ciągu 60 dni wszyscy mężczyźni w wielu od 18 do 60 lat (teoretycznie poborowi podlegają, po wcześniejszych zmianach, mężczyźni w wieku od 25 lat; wcześniej było to 27 lat) muszą zaktualizować swoje dane w państwowym systemie, w tym dotyczące miejsca zamieszkania. Ma to znaczenie dla powoływania do wojska, ponieważ ukraińskie prawo wciąż nie przewiduje doręczania kart powołania drogą elektroniczną – muszą one trafić do obywateli w formie papierowej. Stąd też polowania na ludzi na ulicach, które w ukraińskich miastach urządzają funkcjonariusze komórek poborowych. Sankcje za niewywiązanie się z obowiązku weryfikacji danych są dwie: zakaz korzystania z prywatnego pojazdu w przypadku osób mieszkających na Ukrainie oraz brak możliwości korzystania z usług konsularnych w przypadku mieszkających za granicą.

Największe wzburzenie wśród Ukraińców wywołało jednak to, że z nowych przepisów wykreślono na żądanie głównodowodzącego gen. Ołeksandra Syrskiego przepisy dotyczące demobilizacji. Tymczasem na Ukrainie coraz większym problemem jest skrajne wyniszczenie fizyczne, a nawet bardziej psychiczne ludzi, którzy poszli na front często wiele miesięcy czy nawet ponad dwa lata temu, podpisując wówczas kontrakt. Wielu z nich walczy nadal. Niektórych trzeba było wycofać z pierwszej linii z powodu koszmarnego stanu psychicznego. Ogromna część ukraińskich żołnierzy cierpi na PTSD, czyli zespół stresu pourazowego, podczas gdy opieka psychologiczna dla byłych czy wciąż walczących żołnierzy praktycznie nie istnieje. Jeśli ktoś odsyłany jest z frontu, to nierzadko w takim stanie psychicznym, że nie nadaje się do normalnego życia wśród ludzi. To główny powód, dla którego na Ukrainie lawinowo narasta zjawisko przemocy domowej. Wielokrotnie odbywały się także demonstracje przeciwko przeciąganiu obecności żołnierzy na froncie.

Ukraiński rząd 23 kwietnia zdecydował o zawieszeniu świadczenia usług konsularnych dla mężczyzn w wieku od 18 do 60 lat. W placówkach dyplomatycznych Ukrainy w Polsce zaczęło w następstwie tego dochodzić do awantur. Interesanci pojawiali się w związku z otrzymaną informacją o możliwości odbioru nowego paszportu, a na miejscu dowiadywali się najpierw, że nie jest to możliwe z powodu awarii systemu. Dopiero później urzędnicy przyznawali, że jest to skutek nowych regulacji mobilizacyjnych. Duża część interesantów nie przyjmowała tych informacji ze spokojem. Komentarze na forach dla Ukraińców mówiły o łamaniu konstytucji kraju czy szukaniu mięsa armatniego. „Tak, wszyscy po prostu zostawią wszystko w Polsce i wyjadą do kraju bezprawia. Szukajcie głupców!" – pisał jeden z ukraińskich studentów w reakcji na nowe regulacje.

Polskie media odnotowały wzburzenie Ukraińców, ale próżno było szukać na ten temat poważniejszej refleksji. Choćby takiej, że ogromna część spośród przebywających w Polsce ukraińskich mężczyzn uważa, iż za skorumpowany kraj, będący ich zdaniem głównie własnością oligarchów, nie warto walczyć. A powinno to dać nam do myślenia także w kontekście ewentualnej reakcji Polaków na sytuację podbramkową.

Zamiast takiej refleksji pojawiło się jednak zaskakujące oświadczenie ministra obrony, Władysława Kosiniaka-Kamysza. Następnego dnia po wejściu w życie ukraińskich regulacji wicepremier powiedział: „Wiem, co budzi pytania, a czasem nawet frustrację u Polaków, w polskich domach. To sytuacja, gdy widzą młodych Ukraińców w wieku poborowym w galeriach czy hotelach w momencie, gdy jest pilna potrzeba, by do armii ukraińskiej zgłosili się nowi rekruci". Dodał: „[…] obywatele Ukrainy mają obowiązki wobec państwa. My już dawno sugerowaliśmy, że jesteśmy też w stanie pomóc stronie ukraińskiej w tym, żeby ci, którzy są objęci obowiązkiem służby wojskowej, udali się na Ukrainę".

WĄTPLIWE KORZYŚCI

Było to stwierdzenie zadziwiające pod wieloma względami. Po pierwsze – już choćby dlatego, że nie bardzo wiadomo, jak taka pomoc miałaby w praktyce wyglądać, a także jakie miałyby być jej podstawy prawne. W obliczu obecnych przepisów nie ma bowiem możliwości, aby Polska urządzała jakieś polowania na Ukraińców, którzy przebywają w Polsce, a podlegają ukraińskim regulacjom mobilizacyjnym. Po drugie – wicepremier odniósł się w swojej wypowiedzi do kwestii, która faktycznie wywołuje wśród polskich obywateli pewne poruszenie, ale nie największe. Zdecydowanie większy sprzeciw powoduje finansowa strona polskiego wsparcia dla przebywających w Polsce Ukraińców. Po trzecie – deklaracja gotowości współpracy z Ukrainą w odsyłaniu do tego kraju mężczyzn w wieku poborowym pozostaje w sprzeczności z głoszoną od 24 lutego 2022 r. narracją, dotyczącą spodziewanych korzyści z obecności Ukraińców w Polsce. Z tym że te korzyści są bardzo wątpliwe w świetle liczb.

Mówiono nam, że Polska na ukraińskich uchodźcach skorzysta. Że zasilą polski rynek pracy tam, gdzie istnieją w nim braki, a polski budżet dzięki nim zwiększy swoje przychody. Okazuje się tymczasem, że Ukraińcy przede wszystkim niekoniecznie chcą pozostawać w Polsce. W tej chwili w naszym kraju

eprasa.pl bcaf610a37

jest ich niespełna milion, wiele osób wyjechało bowiem dalej na Zachód. Ubiegłoroczne, jedyne tego typu badanie wśród przebywających w Polsce Ukraińców, przeprowadzone przez zespół pod kierownictwem dr. Roberta Staniszewskiego z Uniwersytetu Warszawskiego, pokazało, że o pozostaniu w Polsce na stałe myśli zaledwie 10,3 proc. respondentów, a 16,5 proc. zamierza pozostać w naszym kraju przez jakiś czas po zakończeniu wojny. Przy czym termin „zakończenie wojny" wiele osób może rozumieć odmiennie: jedni jako jej trwałe rozstrzygnięcie, inni jako zakończenie ofensywnych działań zbrojnych, jeszcze inni – jako zamrożenie konfliktu.

Nie jest też prawdziwy mit o wielkich korzyściach, które Ukraińcy mają wnosić do polskiego budżetu. Swego czasu w mediach krążyły całkowicie fantastyczne liczby dotyczące wpływów podatkowych od obywateli Ukrainy mieszkających w Polsce (nie tylko uchodźców, ponieważ tych nie da się na poziomie statystyki wpływów oddzielić od Ukraińców, którzy byli w Polsce przed 24 lutego). W odpowiedzi na zadane przeze mnie pytanie Ministerstwo Finansów przesłało informację dotyczącą wpływów z PIT i VAT od obywateli Ukrainy w latach 2022 i 2023. W tym pierwszym roku było to odpowiednio 801,5 mln zł oraz 260,5 mln zł. W kolejnym roku – 997,5 mln zł oraz 492,5 mln zł. Szacowany wpływ VAT z tytułu konsumpcji w roku 2023 – przy założeniu, że Ukraińcy skonsumują cały swój dochód, co oczywiście jest mało prawdopodobne, oraz przy uśrednieniu efektywnej stawki podatku do 16,65 proc. – to 3,6 mld zł.

Jak widać, wartości te dalece odbiegają od wielomiliardowych sum podawanych czasami w mediach i nijak nie równoważą kosztów, które ponosi Polska w związku z finansowaniem pobytu Ukraińców w Polsce – w tym opieki medycznej czy zapewnienia miejsca w szkołach dla ukraińskich dzieci.

W przypadku nadziei związanych z pozostaniem w Polsce Ukraińców, także tych imigrujących do nas przed wybuchem wojny na Ukrainie, mamy do czynienia z kolejną sprzecznością, niechętnie dostrzeganą. Gdyby przyjąć, że ta imigracja z Ukrainy jest w naszym interesie (trzeba się zgodzić, że na pewno jest mniej problematyczna niż imigracja z kręgów całkowicie nam kulturowo obcych), to nie jest ona w interesie samej Ukrainy, którą podobno chcemy na wszelkie sposoby wspierać. Wojna oznacza bowiem, że ten kraj zaczyna cierpieć na dramatyczny deficyt demograficzny. W kontekście mobilizacji zaś władze w Kijowie stają przed diabelskim dylematem: W jakim wieku ludzi powoływać przede wszystkim? Granice są zakreślone bardzo szeroko (25–60 lat), ale każdy wybór jest zły. Na froncie z pewnością przydatniejsi są sprawni fizycznie, młodsi mężczyźni, jednak to oznacza, że stracone zostanie pokolenie, które jest potrzebne, aby podtrzymać ukraińską demografię. Z drugiej strony powoływanie przede wszystkim mężczyzn w dojrzałym wieku oznacza, że będą mniej fizycznie odporni, a także że wiele rodzin pozostanie bez ojca i żywiciela, co również będzie mieć fatalne skutki.

Nie jest prawdziwy mit o wielkich korzyściach, które Ukraińcy mają wnosić do polskiego budżetu

Na tle mglistych zapowiedzi Władysława Kosiniaka-Kamysza bardzo stanowczo zabrzmiały słowa regionalnych władz Niemiec, które mają w tej sprawie kompetencje przed rządem federalnym. Senat Berlina oznajmił mianowicie, że nie tylko nie będzie żadnego odsyłania Ukraińców do ich ojczyzny, lecz także więcej: na terenie kraju nadal będą mogli przebywać ci, którym skończyła się już ważność dokumentów. Czyli ci, którym ukraiński konsulat odmówi usługi w związku z rządowym rozporządzeniem. Stanowisko regionalnych władz stolicy Niemiec prawdopodobnie będzie podobne w innych regionach niemieckiego państwa.

BEZ CIEPŁYCH UCZUĆ

Jest w tym gorzka ironia. Nie trzeba sięgać pamięcią daleko, żeby przypomnieć sobie euforię niektórych w naszym kraju, orzekających, że po wydarzeniach z początku wojny Niemcy nie mają już na Ukrainie czego szukać i są wśród Ukraińców ostatecznie spaleni. Badania opinii społecznej na Ukrainie przynoszą dzisiaj radykalnie odmienny obraz. Przeprowadzony w kwietniu przez Centrum im. Razumkowa sondaż pokazał, że na Ukrainie nastąpił znaczny spadek sympatii do Polski. Na czele listy najbardziej lubianych krajów są Kanada – 93 proc. (kraj z bardzo aktywną i dużą diasporą ukraińską), Łotwa – także 93 proc., Wielka Brytania, Litwa, Francja – po 92 proc., Estonia – 91 proc., Niemcy zaś zebrały aż 90 proc. opinii pozytywnych. Polska natomiast odnotowała jedynie 58 proc. wskazań i jest to radykalnie mniej niż w badaniu jeszcze z lutego, gdy takich opinii było 79 proc. Przyczyny należy, rzecz jasna, upatrywać w konflikcie interesów dotyczącym przede wszystkim importu ukraińskich produktów do Polski.

O wzajemnych ciepłych uczuciach nie sposób już mówić. Widać to również po polskiej stronie. W kwietniowym sondażu Openfield na przyjmowanie uchodźców z Ukrainy zgadzało się tylko 52 proc. badanych – o 20 punktów mniej niż na początku wojny. 41 proc. deklaruje, że nie zamierza w żaden sposób pomagać Ukraińcom – w 2022 r. było to jedynie 17 proc. Jedynie jedna piąta badanych wierzy dzisiaj, że Ukraina może wojnę wygrać.

Oświadczenia takie jak polskiego ministra obrony – nawet jeśli później jego słowa zostały rozmyte i zaznaczano, że inicjatywa należy w tej sprawie do Kijowa – nie poprawiają oczywiście nastawienia Ukraińców do Polaków. Bilans jest zatem dla nas absurdalny. Przez ponad dwa lata Polska robiła znacznie więcej, niż było konieczne, aby wspomagać Ukrainę w wojnie na tyle, na ile leżało to w naszym interesie. Przez wiele miesięcy pielęgnowana była narracja o wielkiej i dozgonnej przyjaźni między państwami i narodami. Na tej bazie jako dogmat obu stron politycznego sporu wykuto twierdzenie o poparciu Polski dla przystąpienia Ukrainy do NATO i UE. Tymczasem nie jest to bynajmniej kwestia oczywista. Niemcy w ukraińskim układzie odniesienia miały zostać trwale wyparte przez Warszawę. Dzisiaj widać, że wszystko to spaliło na panewce. Ponieśliśmy koszty naszego ponadnormatywnego zaangażowania, a skończyliśmy z narastającą wzajemną niechęcią i deklaracjami polowania na uciekających przed wojną Ukraińców.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl bcaf610a37

Uchodźcy czy zdrajcy?

Maciej Pieczyński

Próba przymusowej mobilizacji Ukraińców, którzy uciekli z kraju, to rozpaczliwy ruch Kijowa, który raczej pogłębi podziały społeczne, niż wzmocni szeregi armii. Ekipa Zełenskiego próbuje odwrócić uwagę od własnych niepowodzeń i skierować gniew na „uchylantów"

Jak wiadomo, w połowie kwietnia Kijów zaprzestał świadczenia mężczyznom w wieku poborowym usług konsularnych za granicą. Następnie ta praktyka została usankcjonowana prawnie w zapisach nowej ustawy mobilizacyjnej.

W rezultacie, żeby wyrobić sobie nowy paszport, Ukraińcy płci męskiej między 18. a 60. rokiem życia będą musieli wrócić do kraju. A wtedy automatycznie zostaną zmobilizowani. To nowy, dość restrykcyjny i kontrowersyjny pomysł ukraińskich władz na uzupełnienie topniejących szeregów sił zbrojnych. Raczej mało skuteczny. Ukraiński paszport zagraniczny wydawany jest na 10 lat. Nowe prawo może teoretycznie odnieść natychmiastowy skutek wyłącznie w przypadku tych emigrantów (czy też uchodźców), którym ważność dokumentu kończy się w tym roku. Załóżmy, że ktoś nielegalnie wyjechał z kraju po 24 lutego 2022 r., żeby uniknąć pójścia w kamasze, jego paszport zaś będzie ważny jeszcze przez kilka lat. Taki ktoś albo wróci na Ukrainę za te kilka lat (kiedy już być może mobilizacja nikomu i tak nie będzie potrzebna), albo upływający czas spożytkuje np. na zdobycie obywatelstwa kraju, do którego uciekł. Poza tym, nawet jeśli komuś kończy się ważność, może próbować wyrobić sobie tzw. szary paszport, czyli tymczasowy dokument, wydawany przez niektóre kraje europejskie cudzoziemcom nieposiadającym ważnego paszportu kraju, którego są obywatelami. Ta możliwość dotyczy generalnie bezpaństwowców. Korzystają z niej jednak również ukraińscy uchodźcy, którzy obywatelami Ukrainy są, ale skończyła się ważność ich dokumentów.

Trudno zatem oczekiwać, że efektem restrykcji będzie masowy napływ poborowych z zagranicy. Celem Kijowa najpewniej było więc przede wszystkim znalezienie kozła ofiarnego w postaci zagranicznych „uchylantów" [tak na Ukrainie nazywa się tych, którzy uchylają się od służby wojskowej – przyp. red.]. Ekipa Zełenskiego zawsze na ich niechęć do walki będzie mogła zrzucić winę za niepowodzenia na froncie. I skierować przeciwko nim gniew ludu rozczarowanego działaniami władz. Według badań 60 proc. Ukraińców popiera restrykcje wobec uchylantów za granicą. To psychologicznie zrozumiałe. Frustracja związana z wojną sprawia, że obywatelom, którzy zostali w kraju, łatwo jest nienawidzić tych, którzy „uciekli". Jednak liczne są też głosy krytyki pod adresem władzy. I to nie tylko ze strony mieszkających za granicą Ukraińców, lecz także ze strony wielu ukraińskich komentatorów, którzy biorą ich w obronę.

Ekspert do spraw rynku pracy Serhij Marczenko twierdzi, że trudności mobilizacyjne spowodowane są niezdolnością państwa do kontrolowania swoich własnych służb. Ucieczka mężczyzn w wieku poborowym przed wysłaniem na front nie byłaby możliwa, gdyby nie skorumpowana Straż Graniczna. „Pogranicznicy pracują nie na państwo, tylko na siebie. A SBU czy inne resorty siłowe nie mają wystarczających sił, chęci, umiejętności wpłynięcia na pograniczników, aby wykonywali oni prawo ukraińskie" – pisze Marczenko na swoim profilu facebookowym.

Politolog i publicysta Wiktor Szlinczak, prezes Instytutu Polityki Światowej, krytykuje władze w Kijowie za to, że zamiast łączyć, dzielą naród ukraiński, co z kolei utrudnia zwycięstwo w wojnie z Rosją. Rosnąca polaryzacja jest sporym problemem dla kraju walczącego z agresorem. Szlinczak zwraca uwagę na liczne linie podziałów w społeczeństwie. Ci, którzy wpłacają pieniądze na armię, krytykują tych, którzy pieniędzy nie wpłacają. Ci, którzy wyjechali z kraju, są odsądzani od czci i wiary przez tych, którzy zostali. Ci, którzy walczą na froncie, nieufnie odnoszą się do tych, którzy funkcjonują na tyłach.

Często tego rodzaju konflikty podgrzewane są sztucznie przez władze, zgodnie ze starą zasadą „dziel i rządź". Ekipa Zełenskiego potrzebuje wskazywać wroga i kanalizować negatywne emocje, aby w ten sposób odwracać gniewną uwagę społeczeństwa od własnych błędów. A ponadto winę za owe błędy zrzucać na innych. Według Szlinczaka wojna nie jest dobrym czasem na ściganie uchylantów. Żadne nowe prawo nie zmusi ich do powrotu. Zamiast demonstracyjnie wygrażać im pięścią państwa, Kijów powinien raczej skupić się na efektywnym zjednoczeniu wokół walki z agresorem tych, którzy w kraju pozostali. Politolog przypomina, że udało się to osiągnąć na samym początku inwazji. „Czy na-

eprasa.pl bcaf610a37

prawdę trzeba ponownego oblężenia Kijowa, aby naród się zjednoczył?" – pyta retorycznie.

Nowe prawo mobilizacyjne krytykuje również znany publicysta i ekspert do spraw bankowości Serhij Fursa. Jest przekonany, że odmowa wydawania paszportów Ukraińcom za granicą nie zwiększy liczebności Sił Zbrojnych Ukrainy. „Tego typu działania nie zmuszą do powrotu żadnego mężczyzny, który wybrał przebywanie poza krajem podczas wojny" – pisze Fursa na portalu opozycyjnej (związanej z Petrem Poroszenką) telewizji Espreso. Publicysta trzeźwo zauważa, że dla kogoś, kto nie chce ginąć na wojnie, problem z wyrobieniem nowego dokumentu będzie niczym w porównaniu z perspektywą pójścia na front. Tym bardziej że wielu Ukraińców przebywa za granicą legalnie. Kijów nie chce wprowadzać niepopularnych zmian, które naprawdę zwiększyłyby liczbę poborowych. Zamiast tego sięga po drobną zemstę i populizm. Drobną zemstę na tych, którzy wyjechali z kraju, więc nie zaprotestują przeciwko odebraniu im paszportów. Populizm, bo na Ukrainie jednak silna jest niechęć do uchylantów. „Państwo mści się na tych, którzy wyjechali, żeby zadowolić tych, którzy zostali. Gra na ciemnych stronach natury ludzkiej. Próbuje zdobyć tanią popularność na bolesnym dla społeczeństwa temacie" – pisze Fursa.

Ekspert zwraca też uwagę na to, że Ukraina zmaga się z ogromnymi problemami demograficznymi. Powinna więc emigrantów i uchodźców zachęcać do powrotu do kraju, a nie zniechęcać szantażem. „To prawda, że ci mężczyźni potrzebni są na Ukrainie. To prawda, że zdecydowali się wyjechać z kraju na czas wojny. Ale tutaj nie ma sprzeczności. Ukraina potrzebuje wszystkich swoich obywateli. A nie wszyscy obywatele Ukrainy są bohaterami. Podobnie jest w każdym kraju. Ukraina potrzebuje nie tylko bohaterów. Ukrainie potrzebni są ludzie, którzy będą płacić podatki, żeby było z czego wypłacać emerytury. Ukrainie potrzebne są kobiety, które będą rodzić dzieci. A do tego potrzebni są również mężczyźni […]. Ukrainie potrzebni są mężczyźni, nawet jeśli uważamy ich wybory za niemoralne" – przekonuje Fursa.

Zauważa też, że do wojska nie garną się nie tylko Ukraińcy za granicą, lecz także ci w kraju, którym z jakichś powodów nie udało się wyjechać. Być może w niektórych przypadkach lepiej byłoby, żeby ktoś uchylił się od służby, niż żeby później zdezerterował na linii frontu. Wreszcie – zapewne wielu przebywających za granicą Ukraińców nie tyle nie chce pomagać swojej ojczyźnie, ile boi się walczyć z bronią w ręku. Tacy ludzie często pomagają w inny sposób, choćby wspierając finansowo Siły Zbrojne Ukrainy. Zarabiając w euro czy złotówkach, mają ku temu większe możliwości niż ich rodacy nad Dnieprem ledwo wiążący koniec z końcem. Zrozumiałe, że politycy będą się po wojnie wykłócać, kto więcej zrobił dla kraju. Tego typu licytacja nie powinna jednak być domeną zwykłych Ukraińców.

BALAST DLA SIŁ ZBROJNYCH?

„Pozbawieni motywacji do walki uchylanci będą balastem dla Sił Zbrojnych Ukrainy" – twierdzi politolog Serhij Hajdaj w rozmowie z Radiem NV. Zwraca uwagę na to, że zawieszenie usług konsularnych jest naruszeniem prawa międzynarodowego. To zaś oznacza, że Ukrainiec, który wyjechał z kraju i został pozbawiony możliwości otrzymania paszportu w konsulacie własnego państwa, może zostać uznany za uchodźcę. Ale nie za uchodźcę, który ucieka przed wojną, tylko za uchodźcę, który ucieka przed własną władzą – czyli za ofiarę prześladowań politycznych we własnym kraju. W ten sposób Ukraina naraża się na pogorszenie reputacji w oczach społeczności międzynarodowej. „Dziś toczy się wojna. Wojna z agresorem, z państwem totalitarnym, z państwem, w którym panuje reżim faszystowski, z państwem, które chce nas zniszczyć. Ale prości obywatele [innych państw, tych, do których Ukraińcy uciekają – przyp. red.] zaczną porównywać [Ukrainę z Rosją – przyp. red.]. Czy na Ukrainie są wybory? Nie ma. Czy są wybory u agresora? Są. Nieważne jakie, ważne, że formalnie zostały przeprowadzone. I nawet analitycy przyznają, że większość Rosjan popiera Putina" – zauważa Hajdaj.

Zaznacza też, że nawet Rosja nie zamyka swoich granic dla mężczyzn w wieku poborowym, nawet Rosja nie prowadzi przymusowej mobilizacji. Tymczasem mobilizacja na Ukrainie jest nie tylko przymusowa (co jeszcze można zrozumieć – w końcu kraj walczy o życie), lecz także niesprawiedliwa. Ze służby w wojsku zwolnieni są bowiem przedstawiciele władzy, pracownicy aparatu państwowego, resortów siłowych, prokuratorzy, sędziowie, celnicy. Czyli ci, którzy żyją na koszt podatników. 11 kwietnia starszy porucznik Wiaczesław Dubyna, uczestnik działań wojennych, ranny na froncie, napisał petycję do Zełenskiego z prośbą, aby objąć mobilizacją właśnie pracowników budżetówki. Zgodnie z prawem jeśli w ciągu trzech miesięcy od publikacji na stronie prezydenta pod petycją podpisze

Punkt rekrutacyjny ukraińskiej armii, Zaporoże, marzec 2024 r.
FOT. DMYTRO SMOLIENKO/UKRINFORM/EAST NEWS

Według badań 60 proc. Ukraińców popiera restrykcje wobec uchylantów za granicą

eprasa.pl bcaf610a37

się przynajmniej 25 tys. osób, to prezydent ma obowiązek ją rozpatrzeć. W tym konkretnym wypadku w ciągu miesiąca apel Dubyny podpisało ponad 28 tys. obywateli Ukrainy.

„OBROŃCY PRAWA DO NIEPRZESTRZEGANIA PRAWA"

W dyskusjach często pojawia się argument, zgodnie z którym nowe rozwiązania naruszają prawo obywateli do usług konsularnych. Nie wszyscy komentatorzy uważają jednak, że to prawo powinno być ważniejsze od obowiązku stawienia się w wojskowej komendzie uzupełnień. „Dlaczego nagle obywatele za granicą mieliby zostać z tego prawa zwolnieni?" – pyta dziennikarka Olha Łeń w tekście na portalu Espreso. Jej zdaniem „obrońcy prawa do nieprzestrzegania prawa", szczególnie ci spośród polityków, mogliby przecież obmyślić jakiś sprawny sposób rejestracji poborowych za granicą. A jednak takie pomysły się nie pojawiają. Dlaczego? Odpowiedź, zdaniem dziennikarki, jest oczywista. Otóż tak naprawdę politycy, którzy krytykują nowy sposób mobilizacji, stają w obronie uchylantów, licząc na ich głosy w kolejnych wyborach. Ta polityczna kalkulacja jest jednak błędna, ponieważ nie po to uchylanci uciekli z kraju, żeby potem wrócić i brać udział w jego życiu politycznym. Jak twierdzi Olha Łeń, bezpodstawne są obawy, jakoby restrykcje wobec diaspory miały wywołać jakiś ogromny kryzys demograficzny. „To manipulacja. Kto powiedział, że duża gęstość zaludnienia jest dobra dla kraju?" – pisze.

To jednak raczej odosobniony głos. Media nad Dnieprem raczej krytykują nowy, restrykcyjny sposób mobilizacji. Argument o nieskuteczności wydaje się potwierdzać. Ani uchodźcy nie chcą masowo wracać, ani rządy krajów przyjmujących nie mają raczej zamiaru deportować Ukraińców. Dla Polski to może być poważny dylemat. Z jednej strony Ukraińcy stali się istotną częścią rynku pracy nad Wisłą, z drugiej strony w niedalekiej przyszłości ich potencjalne ambicje polityczne mogą stanowić zagrożenie. W interesie Warszawy nie jest tworzenie silnej i wpływowej „partii ukraińskiej" w Polsce. Jednak trudno sobie wyobrazić ekstradycje milionów uchylantów na Ukrainę.

Nawet jeśli Ukraińcy na Ukrainie ostro krytykują ściąganie swoich rodaków na siłę z zagranicy, to cóż dopiero mają powiedzieć owi rodacy za granicą? „Nie chcę umrzeć na froncie za państwo, które niczego mi nie obiecuje" – tego typu głosy pojawiają się często w wypowiedziach ukraińskich uchodźców. Zarówno na forach internetowych, jak i w wypowiedziach dla polskich czy innych zagranicznych mediów. „Poroszenko załatwił Ukraińcom bezwiz [prawo wjazdu do Unii Europejskiej – przyp. red.], a Zełenski ograniczył prawa Ukraińców za granicą. Trzeba zapamiętać" – pisze na jednym z forów użytkownik o nazwie Jarosław Charakternyk.

Na tym samym forum Anton Pavlovich proponuje Ukraińcom przebywającym za granicą konkretne kroki. Po pierwsze: jak najszybciej zalegalizować pobyt w kraju przyjmującym. A najlepiej starania o przyjęcie obywatelstwa. Po drugie: pozbyć się wszelkiego majątku na Ukrainie, aby nie został on w przyszłości skonfiskowany. Po trzecie: zlikwidować ukraińskie konta bankowe – z tego samego powodu. „Zrobiłem to wszystko już w styczniu, jak tylko zaczęto mówić o nowej mobilizacji" – odpowiada Anton Pavliv.

Olena Babakova, ukraińska dziennikarka mieszkająca od lat w Polsce, w tekście dla Wirtualnej Polski pisze: „Przez lata Kijów nie mógł znaleźć pomysłu na komunikację z diasporą i skuteczne wykorzystanie jej potencjału. Pozbawienie ukraińskich mężczyzn prawa do otrzymania paszportów poza granicami kraju nie doprowadzi do zwiększenia liczby żołnierzy na froncie, ale pogłębi nieufność pomiędzy „tymi, którzy tu" i „tymi, którzy tam". I zapewne ma rację, stawiając tezę, że władze Ukrainy nie rozumieją swojej diaspory. Również przed wojną Kijów z reguły pogardzał Ukraińcami żyjącymi za granicą. Uważał ich za zdrajców, którzy ośmielili się wyjechać z kraju. Najpełniejszym wyrazem pogardy Kijowa dla własnej diaspory są słynne już słowa Zełenskiego, który swoim rodakom pozostawił wybór: albo jesteście uchodźcami, albo obywatelami. Wielu z nich zapewne wybierze to pierwsze.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl bcaf610a37

Europoseł Łukasz Kohut (w środku), senator Maciej Kopiec (czwarty z lewej) i przedstawiciele Górnego Śląska na galerii sejmowej FOT. MARCIN OBARA/PAP

Katalońskie wzorce – ślązakowska determinacja

Piotr Semka

Kwestia językowa – choć ważna – jest tylko preludium do uzyskania przywilejów związanych ze statusem mniejszości etnicznej i narzucenia swoich narracji historycznych na terenie Górnego Śląska. Gra nie idzie o sprawę języka, ale o groźbę długotrwałego procesu oddzielania Śląska od władzy centralnej w Warszawie

Na posiedzeniu Senatu 8 maja br. większość koalicyjna przegłosowała nowelizację ustawy uznającą język śląski za język regionalny. Nie było to zaskoczeniem, bo już wcześniej większość senatorów Koalicji Obywatelskiej, Trzeciej Drogi i Lewicy deklarowała, że poprze ustawę. Teraz nowo uchwalone prawo trafi na biurko Andrzeja Dudy.

Do dyskusji nad językiem śląskim włączył się Donald Tusk. W czasie obrad Europejskiego Kongresu Gospodarczego zaapelował do polskiej głowy państwa, mówiąc: – Jeśli mówimy dzisiaj o tym, że musimy istotę Europy uchronić, to mówimy właśnie o takich sprawach jak nasza kultura, np. rzadkie języki. Mam nadzieję, że usłyszy to pan prezydent. Nie trzeba się bać Śląska, nie trzeba się bać Wspólnoty, nie trzeba się bać języka śląskiego".

BŁĄD PREZYDENTA?

Lider Platformy Obywatelskiej wystosował swój apel, mimo że już parę dni wcześniej wiele mediów podało informację, którą potwierdzali pracownicy Kancelarii Prezydenta RP, że Andrzej Duda ustawy uznającej godkę śląską za język regionalny nie podpisze. Prezydent być może dokonał takiego kontrolowanego wycieku, chcąc zmrozić plany wielkiej kampanii, o której zaczęli mówić zwolennicy śląskiej autonomii. Mówiono o potrzebie wyjazdu do Warszawy na spotkanie z prezydentem grupy śląskich pisarzy, artystów i ludzi sztuki, m.in. ze

eprasa.pl bcaf610a37

Szczepanem Twardochem na czele, którzy mieli zachęcać głowę państwa do złożenia podpisu pod ustawą. W planie było też staranie się o spotkanie prezydenta z przedstawicielami samorządów śląskich miast, którzy mieli zachęcać Andrzeja Dudę do niewetowania nowego prawa.

Prezydent jednak – jak się zdaje – popełnił błąd. Trzeba było albo ogłosić swoją negatywną decyzję i rzeczowo ją uargumentować, albo zachować milczenie bez żadnych przecieków. Dlaczego? Wynika to z taktyki, którą uwielbiają stosować liderzy ruchu autonomii Śląska i sprzyjające mu lobby intelektualne, którzy sprzeciw wobec uznania godki za język regionalny starają się przedstawiać jako irracjonalny lęk i brak wiedzy o Śląsku.

Jeszcze inne stanowisko zajmuje część przedstawicieli śląskiej opinii publicznej, która stara się sprowadzić cały spór jedynie do kwestii języka. Taką postawę przyjęli dwaj przedstawiciele Klubu Jagiellońskiego – Zbigniew Przybyłka i Marcin Kędzierski – którzy postawili tezę, że uznanie godki śląskiej za język regionalny zakończy obawy o separatyzm śląski.

To jednak dość naiwne założenie, biorąc pod uwagę, że czołowe postacie ruchu ślązakowskiego nie kryją, iż zależy im na dotacjach z budżetu nie tylko na nauczanie w szkołach godki, lecz także na szerszą akcję tożsamościową. Jak niedawno pisał na Twitterze Szczepan Twardoch: „Oczywiście, że o to nam chodzi, o pieniądze z budżetu, przecież nikt tego nie ukrywa. Gesty nie interesują mnie w ogóle. Płacimy podatki jak wszyscy obywatele […] i chcemy, aby z naszych podatków finansowana była również nasza kultura, nauka naszego języka, nasze instytuty, nie tylko te zajmujące się spuścizną Dmowskiego i Piłsudskiego. I uwaga, to się wydarza właśnie teraz, niedługo zostanie przegłosowana ustawa nadająca językowi śląskiemu status regionalnego, następnie zaś będziemy do skutku lobbować za ustawą nadającą Ślązakom status mniejszości etnicznej. Celem tych działań nie jest jakiś symboliczny gest, tylko właśnie pieniądze".

Wypowiedź Twardocha pokazuje, że środowisko ślązakowskie bardzo konkretnie planuje już, jak zagospodarować ewentualne dotacje z budżetu państwa i urzędów marszałkowskich województw śląskiego i opolskiego na zbudowanie całej gamy instytucji skupionych nie tylko na zadaniu nauki języka, jego wcześniejszej kodyfikacji i połączeniu tego z promowaniem w szkołach, lecz także np. na kulturze wizji historii, którą lansuje RAŚ.

Zwolennicy śląskiej autonomii ogłaszają, że jeżeli prezydent istotnie zawetuje ustawę, to przeczekają prezydenturę Andrzeja Dudy i mają nadzieję, że jego następca ustawę przyjmie. Pewność siebie autonomistów wynika z tego, że ich agendę żądań i postulatów przejmuje niemal w całości koalicja pod wodzą Donalda Tuska. Jeden z przedstawicieli intelektualnego zaplecza RAŚ, dr Tomasz Słupik, politolog z Uniwersytetu Śląskiego, sformułował pojęcie tzw. paradoksu Gorzelika (od nazwiska długoletniego przewodniczącego RAŚ – Jerzego Gorzelika) i tak opisywał ten paradoks na niedawno otwartym spotkaniu dyskusyjnym w katowickim oddziale Klubu Jagiellońskiego: – Polega on na tym, że RAŚ właściwie zrealizował prawie wszystkie swoje postulaty z wyjątkiem regionalizacji, decentralizacji czy autonomii. Język za chwilę będzie, grupa etniczna będzie.

Pewność siebie autonomistów wynika z tego, że ich agendę żądań i postulatów przejmuje niemal w całości koalicja pod wodzą Donalda Tuska

Słupik wyraził przekonanie, że niezależnie od postawy Andrzeja Dudy zmiany te prędzej czy później i tak muszą nastąpić. – Nieważne, czy będzie to dziś czy za dwa lata. Te postulaty 25 lat temu brzmiały egzotycznie, sam zresztą należałem do adwokatów tej sprawy, począwszy od połowy lat 90. Uważani byliśmy przez większość społeczeństwa za niegroźnych wariatów. Dziś jest to absolutnie w centrum, w mainstreamie. Słupik dodał, że dzisiaj w dyskursie publicznym posługujemy się językiem regionalistów: – Nikt nie mówi, że są to radykałowie, ludzie niepoważni, że formułują jakąś ideologię […]. Dzisiaj jest to nadal mówione, ale to skurczyło się z ponadpartyjnego porozumienia wszystkich sił „warszawskich" do twardej prawicy, czyli PiS i Konfederacji.

I znów Słupik miał realne powody do satysfakcji. Jeszcze w latach 2010–2015 prezydent Bronisław Komorowski zdecydowanie wypowiadał się przeciwko uznawaniu godki śląskiej za osobny język i dystansował się od żądań autonomii. W sierpniu 2012 r. ówczesny marszałek województwa śląskiego, Adam Matusiewicz z PO, skrytykował założenia wystawy stałej w Muzeum Śląskim jako zbyt proniemieckiej, co potem doprowadziło do odejścia z funkcji dyrektora muzeum ulubieńca RAŚ Leszka Jodlińskiego. W tym sensie ostatnia dekada doprowadziła do całkowitej zmiany. Zwolennik idei ślązakowskich Łukasz Kohut najpierw zrobił karierę w obozie Lewicy, a teraz ponownie kandyduje do europarlamentu z listy Koalicji Obywatelskiej. Także pochodząca z zagłębiowskiej Czeladzi Monika Rosa, jedna z liderek Platformy w województwie śląskim, odkryła w sobie pełne utożsamienie z hasłami RAŚ i była jedną z promotorek forsowania w Sejmie ustawy uznającej godkę za język regionalny. A ostatecznym sukcesem RAŚ było włączenie przez Donalda Tuska hasła uznania języka śląskiego do 100 zobowiązań rządu po wyborach.

KATALOŃSKIE SCENARIUSZE

W październiku 2017 r. lider RAŚ Jerzy Gorzelik oficjalnie poparł dążenia katalońskich separatystów do przeprowadzenia referendum mającego zadecydować o ewentualnym oderwaniu się Katalonii od Hiszpanii. Gdy władze w Madrycie podjęły działania na rzecz zablokowania niekonstytucyjnego referendum, w miastach katalońskich doszło do starć z policją. RAŚ zażądał wtedy od polskiego rządu powstrzymania „antydemokratycznych działań Madrytu". Ponadto wezwał Unię Europejską do „wypracowania mechanizmów unijnego rozwiązywania sporów między państwami a regionami lub mniejszościami". Jak mówił wtedy: „To absurd, by w takich sporach państwo było sędzią we własnej sprawie […]. Proponuję chociażby ministrowi Błaszczakowi, który lubi zajmować się paszportami, aby spojrzał na okładkę. Obok nazwy Rzeczpospolita Polska jest i druga – Unia Europejska. Unia nie jest podmiotem zewnętrznym".

Emocjonalne zaangażowanie Gorzelika po stronie Katalończyków nie jest niczym dziwnym. Można wręcz podejrzewać,

eprasa.pl bcaf610a37

że aktywiści RAŚ wiele się od ruchów katalońskich mogli nauczyć. Oba ugrupowania należą do Wolnego Sojuszu Europejskiego (European Free Alliance, w skrócie EFA), która jest europejską organizacją „narodów bez państw". Grupuje partie, które żądają albo autonomii, albo pełnej niepodległości dla swoich wspólnot. Wśród członków EFA jest np. Unia Ludu Alzackiego, Demokratyczna Unia Bretanii, Partia United Catalana czy baskijska Eusko Alakartasuna.

Co charakterystyczne, przedstawiciele EFA tworzą w Parlamencie Europejskim sojusz z blokiem partii Zielonych. Jest to zgodne z europejską tendencją i niezwykle bliskiego sojuszu europejskich partii lewicowych z partiami aspirującymi do reprezentowania grup uznających się za mniejszości narodowe. Teoretycznie lewicy powinno być daleko do wielu z tych ugrupowań, które wykazują cechy szowinizmu narodowego lub nawet ksenofobii. Tyle że lewica wspiera je w ramach szerszego celu walki z państwami narodowymi. W tej logice Unia Europejska i jej komisja powinny być protektorem poszczególnych grup europejskich dla osłabienia partykularyzmu poszczególnych rządów państw narodowych.

Czy w Polsce możliwy jest scenariusz kataloński? Ta dyskusja toczy się często bez dokładnej wiedzy, jak dalece posuwa się separatyzm Katalonii i jak bardzo sprzężony jest on z dominacją hiszpańskiej lewicy w polityce tego kraju. Małgorzata Wołczyk, publicystka zajmująca się sprawami hiszpańskimi, widzi wiele analogii między taktyką i praktyką polityczną śląskich autonomistów a liderami nacjonalizmu katalońskiego.

– Marsz przez instytucje katalońskich narodowców wyglądał następująco. Po pierwsze, elity (nie muszą być liczne) zainteresowane secesją wywodzą istnienie odrębnego narodu na podstawie używania języka narodowego. W drugiej fazie wszelkimi siłami forsuje się i narzuca język regionalny wszystkim mieszkańcom regionu w szkolnictwie, kulturze i mediach. Potem trwa cicha akcja wymiany personelu i kadr nauczycielskich w oparciu o wpływy w lokalnych samorządach. – mówi „Do Rzeczy" Małgorzata Wołczyk. – Wielu nauczycieli pełni de facto funkcje agitatorów, którzy narzucają nową historię regionu, która skupiona jest na wykazywaniu antagonizmu między Katalonią a politycznym centrum hiszpańskim w Madrycie. Lewica z kolei wspomaga separatystów, promując napływ emigrantów obcojęzycznych i zachęcając ich do uczenia się katalońskiego, a nie hiszpańskiego – to nie przypadek, że na terenie Katalonii jest dzisiaj najwięcej meczetów w porównaniu z innymi regionami Hiszpanii. Jednocześnie separatyści katalońscy doprowadzili do perfekcji promocję swoich racji w konflikcie z rządem w Madrycie, przedstawiając się jako mniejszość prześladowana i gnębiona – wyjaśnia.

Koalicja centrolewicowa w Polsce nie chce zauważać konsekwencji polityki autonomistów dla spójności państwa

Swoją użyteczność dla lewicy partie baskijskie i katalońskie wykazały po ostatnich wyborach, które nominalnie wygrała prawica. Jednak zdecydowane poparcie regionalistów hiszpańskich dla premiera Pedra Sáncheza pozwoliło mu powrócić do roli premiera. Jak wskazują politycy hiszpańskiej prawicy, tylko oni bronią jeszcze tradycyjnej idei Hiszpanii jako wspólnoty politycznej, która sięga wczesnego średniowiecza. Zarówno zwolennicy idei europejskiej, jak i współczesna lewica reagują alergicznie na tradycje jedności narodów żyjących pod władzą korony hiszpańskiej i nieprzypadkowo dążą do likwidacji monarchii. Ten sam cel mają też autonomiści baskijscy i katalońscy, którzy wiedzą, że po likwidacji instytucji króla Hiszpanii rozczłonkowanie kraju będzie o wiele bardziej naturalne. A najsilniejsi gracze w Unii Europejskiej, czyli Francuzi i Niemcy, też nie martwią się problemami Madrytu z Katalonią i Baskonią. Znacząco osłabia to pozycję Królestwa Hiszpanii w koncercie europejskich mocarstw. Wszyscy są więc zadowoleni z tego rozwoju wypadków oprócz hiszpańskich tradycjonalistów, dla których jedność hiszpańskiej wspólnoty politycznej jest nienegocjowalną wartością.

ŚLĄSK, BRUKSELA, BERLIN

Porównajmy to teraz z zacytowanymi już słowami dr. Tomasza Słupika o sukcesie regionalistów, którzy rozmontowali ponadpartyjne porozumienie wszystkich sił warszawskich w kwestii sprzeciwu wobec śląskich autonomistów i uzyskali zepchnięcie krytyki ruchu ślązakowskiego jedynie do obozu twardej prawicy, czyli PiS i Konfederacji. Z tego punktu widzenia RAŚ ma prawo trzymać kciuki za jak najdłuższe rządy Koalicji, Platformy, Trzeciej Drogi i Lewicy oraz trwałe marginalizowanie PiS i Konfederacji. W tym sensie ślązakowcy prowadzą politykę jak najbardziej zbieżną z taktyką Brukseli i rządów w Berlinie. I z tego też czerpią swoje nadzieje na forsowanie „ślązakowskiej rewolucji" od góry – drogą powolnego lansowania języka śląskiego, wprowadzania do szkół wiedzy o regionie, który będzie formułował europejską wizję przyszłości Śląska i wreszcie – trwałą dominację w lokalnych instytucjach kultury i mediach.

Na korzyść RAŚ działa też to, że media poza Śląskiem nie bardzo orientują się w niuansach śląskiej polityki i albo o cichej rewolucji autonomistów nie piszą w ogóle, albo robią to w tonacji naiwnego kupowania tez propagandowych elit ślązakowskich. Na tej zasadzie wiele osób nieznających sprawności i determinacji zwolenników RAŚ sprowadza całą sprawę do kwestii nauki i ratowania godki śląskiej. Tymczasem kwestia językowa – choć ważna – jest tylko preludium do uzyskania przywilejów związanych ze statusem mniejszości etnicznej i narzucenia swoich narracji historycznych na terenie Górnego Śląska.

Weto prezydenckie – jeśli nastąpi – zatrzyma ten proces aż przynajmniej na rok. To dobry czas, aby prawa strona tłumaczyła, że gra nie idzie o sprawę języka, ale o groźbę długotrwałego procesu oddzielania Śląska od władzy centralnej w Warszawie. Hiszpańska lewica w imię praktycznych korzyści w utrzymaniu swej władzy jest całkowicie obojętna na proces oddalania się Katalonii od państwa hiszpańskiego. Koalicja centrolewicowa w Polsce również nie chce zauważać konsekwencji polityki autonomistów dla spójności państwa. Te oba przypadki są zbyt podobne do siebie, by można było ten proces obserwować ze spokojem.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl bcaf610a37

Z Jackiem Saryuszem-Wolskim, deputowanym do Parlamentu Europejskiego od 2004 r., jednym z głównych negocjatorów przystąpienia Polski do Unii Europejskiej
rozmawia Ryszard Gromadzki

Uprowadzenie Europy

RYSZARD GROMADZKI: W toczącej się kampanii przed wyborami do Parlamentu Europejskiego ze strony polityków ugrupowań prawicowych słychać raz za razem, że te wybory mają ogromne znaczenie, bo rozstrzygną o tym, czy Polska będzie nadal suwerennym państwem czy tylko regionem państwa europejskiego. Te ostrzeżenia zdają się nie robić na wyborcach większego wrażenia, bo przynajmniej na razie nie widać w społeczeństwie jakiejś szczególnej patriotycznej mobilizacji. Niepodległość przestała być dla Polaków nadrzędną wartością?

JACEK SARYUSZ-WOLSKI: Te wybory rzeczywiście są wyjątkowe, dlatego że ich stawka jest wyjątkowo wysoka. Wśród ludzi nie ma świadomości tej stawki. Można się zastanawiać, dlaczego tak jest. Moim zdaniem głównym powodem tej sytuacji jest to, że Unia jest obecnie w momencie przepoczwarzania się ze wspólnoty państw w jedno superpaństwo. Mamy do czynienia z zamachem ustrojowym, rewolucyjną zmianą, która zachodzi w ciszy medialnej i społecznej. Jest przemilczana, a jest za progiem. Mówię o zmianach traktatowych, które są na stole Komisji Europejskiej w postaci raportu Parlamentu Europejskiego. W istocie mamy do czynienia z napisanym na nowo traktatem, który radykalnie zmienia charakter Unii, czyniąc ją podmiotem suwerennym, a tworzące ją państwa podmiotami niesuwerennymi. To skutek jakościowego i ilościowego skoku przesunięcia kompetencji z poziomu państw członkowskich na poziom Unii Europejskiej. Mówimy o likwidacji weta w 34 obszarach, a przecież weta to są dziedziny, w których państwa członkowskie według stanu na dzisiaj nie zdecydowały się przekazać swoich kompetencji na poziom Unii Europejskiej. Osiem nowych kompetencji, które miałyby stracić na rzecz Unii kraje członkowskie, takich jak polityka zagraniczna, bezpieczeństwo i obrona, polityka graniczna, infrastruktura graniczna, przemysł, edukacja, zdrowie, spowodowałoby, że w gestii krajów członkowskich pozostałoby bardzo niewiele uprawnień. To wszystko robione jest po cichu. Autorzy tych zmian nie odważyli się przedstawić ich w kampanii wyborczej obywatelom, żeby uzyskać mandat demokratyczny. Chcą je wyjąć z szuflady już po wyborach.

Skoro, jak pan mówi, ten ustrojowy zamach w Unii przeprowadzany jest po cichu, to kluczową sprawą jest nagłośnienie i uświadomienie wyborcom skutków zmian, które są projektowane. Przepraszam za patos, ale myślę, że to praca, którą w tej kampanii muszą wykonać wszyscy politycy, którym na sercu leży dobro Rzeczypospolitej.

Tak, dokładnie. Można powiedzieć, że waga tych zmian, ich konsekwencje to inny format rozbioru Polski. Czy państwo pozbawione kompetencji, żeby kształtować swoją politykę zagraniczną, politykę bezpieczeństwa, politykę obrony, obrony cywilnej, obrony granic czy infrastruktury granicznej, przemysłu, edukacji i zdrowia, nadal jest państwem? To jest przeniesienie tak ogromnej liczby kompetencji i odebranie ich państwom, że w zasadzie suwerenem staje się Unia Europejska, na co żadne społeczeństwo nie wyrażało zgody, w żadnej formie, nie mówiąc już o referendalnej. Ten zamach tlił się najpierw w postaci konferencji o przyszłości Europy, a później przez dwa lata pracy komisji konstytucyjnej, które urodziły ten raport, którego zresztą byłem sprawozdawcą. Finalnie wyszedłem z tego grona, będąc później kontrsprawozdawcą tego raportu. Do tego rejestru trzeba dodać jeszcze odebranie państwom możliwości prowadzenia samodzielnej polityki monetarnej. Przymusowe euro miałoby zastąpić złotego. To wszystko nazywa się superpaństwem, w którym bylibyśmy poddani hegemonii unijnego dyrektoriatu. Tak dokonałaby się realizacja zawłaszczania kompetencji państw, która już się dzieje. Polska padła jego ofiarą poprzez wkraczanie Unii w system sądownictwa czy system edukacji. Finał tego procesu nastąpi już w nowej kadencji Parlamentu Europejskiego. To przesądzi o kształcie instytucjonalnym Unii, bo ma być zwołany konwent, który będzie pisał nowy traktat Do konwentu mają być delegowani m.in. przedstawiciele europarlamentu i państw członkowskich. Zależnie od tego, jak się ułożą siły i w Parlamencie, i w konwencie, taki będzie kształt tej propozycji. Niezależnie od tego w tej chwili Unia Europejska stoi wobec kluczowych wyzwań, takich jak wojna u granic, presja migracyjna z południa czy zaciskający pętlę na unijnej gospodarce Zielony Ład. To są problemy, które dziś niepokoją czy bulwersują społeczeństwa europejskie. A przecież jest jeszcze kwestia zagrożenia bezpieczeństwa, które jest pochodną migracji. Dalej konieczność zwiększenia nakładów finansowych na uzbrojenie, czyli sprawy egzystencjalne, wojny i pokoju, zamach

eprasa.pl bcaf610a37

na wolności obywatelskie, który przyjmuje kształt różnego rodzaju regulacji ograniczających chociażby wolność słowa w Internecie. Postępuje ideologizacja polityki unijnej, w aspekcie wokeizmu i genderyzmu. To lista bardzo ciężkich gatunkowo tematów, z którymi boryka się Unia, które będą rozstrzygane w nowej kadencji Parlamentu Europejskiego. Bezsprzecznie „matką" tych wszystkich problemów jest ustrój unijny. Nie byłoby Zielonego Ładu czy paktu migracyjnego, gdyby nie gwałcono traktatów, ponieważ jedno i drugie wymagało jednomyślności. Złamano traktat po to, żeby obie te skrajne polityki wprowadzić w życie pomimo wielkiego oporu społecznego.

Kreśli pan ponury obraz Unii, która z dobrowolnej wspólnoty wolnych narodów na naszych oczach przekształca się w lewicową tyranię. Czy jest szansa na to, że po czerwcowych wyborach do Parlamentu Europejskiego ten proces, którego skutkiem będzie, mówiąc bez ogródek, nowy rozbiór Polski, zostanie zatrzymany?

Kurs przyjęty przez Unię, który jest groźny dla państw narodowych, może zostać zatrzymany w wyniku wyborów, jeśli jemu przeciwne siły konserwatywne, uzyskają znaczący przyrost głosów i mandatów. To się rysuje w postaci zapowiedzi wynikających z badań opinii publicznej. Wynika z nich, że nastąpi znaczące przesunięcie unijnej sceny politycznej na prawo, na korzyść sił konserwatywnych, a konkretnie frakcji Europejskich Konserwatystów Reformatorów oraz ugrupowania Tożsamość i Demokracja, które hipotetycznie mogłyby się połączyć i mieć więcej mandatów niż Europejska Partia Ludowa – a największa partia w parlamencie ma prawo wybrać przewodniczącego parlamentu, a także wskazać przewodniczącego Komisji Europejskiej. Może się tak stać, że dzisiejszy główny nurt – tworzony przez socjalistów, liberałów i ludowców – nie będzie w stanie stworzyć większości bez prawicy, która dałaby inwestyturę nowej Komisji Europejskiej. Bardzo dobry wynik europejskiej prawicy, konserwatystów przeciwnych zmianom realizowanym przez Unię, może je zatrzymać. Pytanie, czy siły te pod względem potencjału i liczebności – a w grę wchodzi tutaj także układ rządów krajów członkowskich – będą wystarczająco duże, żeby je zastopować. Mogą je zatrzymać, ale zależy to od tego, jaka będzie skala przyrostu poparcia dla nich w nadchodzących wyborach.

eprasa.pl bcaf610a37

– Albo w narastającej liczbie krajów powstanie nowa sytuacja polityczna, albo może to być początek końca Unii Europejskiej – ostrzega Jacek Saryusz-Wolski FOT. MARCIN OBARA/PAP

W jaki sposób ludzie, z którymi spotyka się pan podczas kampanii, reagują na przekaz dotyczący skutków obecnej polityki unijnej, który pan prezentuje? Przecież to uderzy wprost w ich wolność i własność.

Ludzie dostrzegają zagrożenia, choć to dostrzeganie w dużej mierze jest intuicyjne, a nie oparte na szczegółowej analizie sytuacji czy przemian ustrojowych. Trudno się dziwić, bo to przecież nie jest proste. Reagują sprzeciwem w sytuacji, w której dzieje się coś wokół nich, co ich bezpośrednio dotyka, na co nie wyrazili zgody, co traktują jako zagrożenie płynące z zewnątrz czy wprost z Unii Europejskiej. Na spotkaniach z rolnikami z Lubelszczyzny usłyszałem, że są przerażeni tym, iż nie będą mogli zasiać swoich areałów, a produkcja rolna przestaje się opłacać, co jest bezpośrednim skutkiem decyzji Unii o wpuszczeniu na rynek produktów rolnych z Ukrainy. Do tego dochodzą ceny paliw na obecnym poziomie – nie daje im to szans na rentowność. Ludzie obawiają się, że na ich ziemi mogą się pojawić niechciani przybysze, czyli migranci. To są racjonalne obawy, które kojarzone są z takim kierunkiem polityki unijnej, z którym oni się nie godzą. Wydaje mi się, że w warstwie faktów i odczuć, kondycji społecznej i gospodarczej obywateli naszego kraju ludzie właściwie identyfikują zagrożenie. Unia Europejska, z którą wiązali tyle nadziei, nagle, jak się okazuje, przynosi im zagrożenia. Tyle że nie potrafią przełożyć tych intuicji na przyjęcie narracji, że za polityką, którą odrzucają, stoi zmiana 100 artykułów traktatów europejskich.

Czerwcowe wybory do Parlamentu Europejskiego łączą się z 20. rocznicą obecności Polski w Unii. Pan, jako jeden z architektów przystąpienia Polski do Unii Europejskiej, dysponuje szczególną perspektywą. Jak w pana ocenie wypada rachunek tych 20 lat obecności Polski w Unii? To gorzki bilans?

Gorzki i pozytywny. Uważam nadal, że wejście do Unii było dobrą decyzją. Wiele to Polsce dało – w sensie gospodarczym, społecznym i geopolitycznym. Natomiast to nie jest ta Unia, do której wchodziliśmy. Unia 2004 i Unia 2024 to są dwie kompletnie różne unie. W dużym skrócie nazywam to uprowadzeniem Europy, tzn. Unię jako wspólnotę suwerennych państw zamieniono na raty według taktyki salami, kawałek po kawałku, na coś innego, na co nie było przyzwolenia, co nie ma demokratycznej legitymizacji. Tak jak w greckim micie Zeus uprowadził Europę, tak elity, nie pytając obywateli o zdanie, przemieniają Unię i chcą ją przemienić jeszcze bardziej na coś, na co ludzie się nie godzili. Nikt się nie godził na to, żeby odebrać im ich państwa i tożsamości narodowe, z którymi się identyfikują. Rachunek jest taki, że trzeba walczyć o przywrócenie status quo ante, czyli przywrócić Unię, a w istocie wspólnoty, bo zło zaczęło się od traktatu z Maastricht, w którym wspólnoty europejskie nazwano Unią Europejską i zaczęto realizować koncept z gruntu komunistyczno-marksistowski. Nieprzypadkowo w raporcie, o którym rozmawialiśmy wcześniej, przywołano manifest z Ventotene, żeby osłabić, a docelowo zlikwidować państwa narodowe i zbudować w ich miejsce coś, co będzie silne, imperialne i wcale niedemokratyczne, a wręcz autorytarne i oparte na logice siły. To wszystko wisi już w powietrzu. Ten fatalny kierunek jest jednak wciąż do odwrócenia. Wydaje się, że społeczeństwa europejskie się budzą, bo siły kwestionujące kierunek obrany przez Unię szybko rosną. Jednocześnie mamy do czynienia z pewną inercją. Reakcja społeczna na te nadużycia władzy i systemowe przeformatowanie jest spóźniona w czasie. Do świadomości ludzi dociera to powoli, co wynika też z oddziaływania mediów głównego nurtu, które tuszują i zakłamują rzeczywistość. Jest niebezpieczeństwo, że reakcja społeczna na zły kierunek obrotu spraw w Unii Europejskiej może być spóźniona. Mogą powstać fakty instytucjonalno-prawne, które będą trudne do odwrócenia. Sądzę, że wtedy reakcja negatywna może obrócić się przeciwko Unii. To znaczy, że Unia może sama się rozpaść w rezultacie narastających sprzeczności. Sama strefa euro poddana jest ogromnym presjom, ponieważ faworyzuje silnych i bogatych, a zubaża słabych i mniejszych. W efekcie społeczeństwa państw południa Unii tracą, a silni, czyli głównie Niemcy i Holandia, zyskują. Przy wielu blokadach politycznych i instytucjonalnych może to tworzyć grunt dla sił odśrodkowych. Nie wyciągnięto wniosków z pierwszego alarmującego faktu, którym był brexit. Albo w narastającej liczbie krajów powstanie nowa sytuacja polityczna, która doprowadzi do odwrócenia obecnego trendu, albo może to być początek końca Unii Europejskiej, co też byłoby złe. Uważam, że sama idea integracji suwerennych państw i narodów jest dobra i daje im lepsze perspektywy funkcjonowania w międzynarodowym, ale nie przyjaznym otoczeniu niż bycie samotnym.

To nie jest ta Unia Europejska, do której wchodziliśmy. Unia 2004 i Unia 2024 to są dwie kompletnie różne unie

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl bcaf610a37

Rafał A. Ziemkiewicz

Polskie samobiczowanie

Wpędziliśmy się w festiwal nieustannego samobiczowania, tym usilniejszego, im bardziej napędza ono z przeciwnej strony lawinę oskarżeń – bo skoro sami Polacy wciąż przepraszają, to najlepszy dowód, jak wielki jest bezmiar ich win. Krótkotrwałe zamieszanie wokół plamy na ścianie synagogi jest tylko kolejną figurą tego żałosnego tańca

Zdjęcie ambasadora USA w Polsce Marka Brzezinskiego (pierwszy z lewej), który niezwłocznie sfotografował się wraz z rabinem pod rzeczoną plamą, obiegło światowe media razem z informacjami o przeprosinach polskich najwyższych władz FOT. CZAREK SOKOŁOWSKI/AP/EAST NEWS

Historia domniemanego podpalenia warszawskiej synagogi Nożyków pokazuje, że ukute przez francuskiego filozofa określenie „masochizm społeczny" nigdzie nie oddaje rzeczywistości lepiej niż w Polsce. Nie wiemy, co się tak naprawdę stało, nie mamy żadnych konkretnych ustaleń, żadnego ujawnionego policyjnego protokołu, żadnej próby rekonstrukcji zdarzenia. Mamy tylko zdjęcie tajemniczej plamy na ścianie synagogi, oświadczenie rabina, że to ślad po koktajlu Mołotowa, i tyleż groteskową, co przerażającą aktywność najwyższych przedstawicieli Polski, z prezydentem i premierem na czele, gorliwie bijących się w zbiorową polską pierś, potępiających haniebny akt nienawiści i zapewniających, że „w Polsce nie ma miejsca na antysemityzm". Uzupełniony, last but not least, manifestacją solidarności z prześladowanymi polskimi Żydami ze strony ambasadora USA w Polsce, Marka Brzezinskiego, który niezwłocznie sfotografował się wraz z rabinem pod rzeczoną plamą. Ta fotografia obiegła światowe media razem z informacjami o przeprosinach polskich najwyższych władz i o zatrzymaniu podejrzanego.

Ostatnia informacja – o zatrzymaniu „w związku ze zdarzeniem" przez policję i ABW (?) 16-latka i umieszczeniu go na trzy miesiące w schronisku dla nieletnich – połączona z deklaracją, że przez wzgląd na wagę przestępstwa, o które jest podejrzewany (zagrożenie do 10 lat więzienia), będzie sądzony jak dorosły (dlaczego zatem owo schronisko, a nie „dorosły" areszt?), pojawiła się w mediach 2 maja. Od tego czasu sprawa istnieć w nich przestała. Czy postawiono zatrzymanemu zarzuty? Czy dokonano jakiejś ekspertyzy co do przyczyny powstania plamy? Czy wiadomo, z jakiego powodu nastolatek miałby rzucić koktajlem Mołotowa? Skąd go wziął? Z jakich środowisk się wywodzi? Czy są jacyś świadkowie zdarzenia, jakieś dowody? Czy coś wiadomo o okolicznościach? Zgodnie z enigmatycznym komunikatem ogień mieli ugasić znajdujący się na miejscu funkcjonariusze, tymczasem nieznany nawet z imienia i inicjału nazwiska nastolatek został zatrzymany dzień później we własnym domu i „był zaskoczony aresztowaniem".

PO CO DRĄŻYĆ?

Ponad tydzień po zdarzeniu, opisanym w sposób tak wyrywkowy i niespójny, nie wiemy nic więcej – i nikt o to nie pyta. Rytuał strofowania Polaków z jednej strony i ich kajania się z drugiej został odprawiony i wygląda na to, że dalej nikt nie czuje potrzeby, by drążyć sprawę. Jeśli wszystko okaże się humbugiem, jak – nie przymierzając – równie krótkotrwała sensacja z „aparaturą podsłuchową", którą ABW odnalazła w sali, gdzie miał obradować rząd (właśnie dlatego w normalnym kraju rząd nie pajacuje, urządzając „wyjazdowe posiedzenia"), a która okazała się starym okablowaniem zlikwidowanego przed laty nagłośnienia, nikt nie będzie do niej wracał, a ewentualne dementi do nikogo nie dotrze. Przekaz poszedł w świat: Polacy zaatakowali synagogę i musiała to być jakaś poważna sprawa, skoro natychmiast wziął Żydów w obronę ambasador USA, a prezydent, premier i liczni czołowi politycy przepraszali i odcinali się od sprawców. Poszedł, został policzony pomiędzy inne antypolskie przekazy i niewątpliwie

eprasa.pl bcaf610a37

wróci, gdy amerykańskie organizacje żydowskie uznają moment za sprzyjający posunięciu dalej sprawy swych roszczeń do pozostającego w Polsce „mienia bezspadkowego".

A przecież do wyjaśnienia pozostaje właściwie wszystko. Ślad na ścianie nie może być spalenizną wywołaną koktajlem Mołotowa – zwykła mieszanka zapalająca spłynęłaby w dół, a trudno podejrzewać, by nastolatek miał w butelce napalm lub inni wojskowy pirożel. Plama przypomina raczej farbę lub skutek działania jakiejś substancji żrącej. Jeśli był to pożar i został ugaszony, to gdzie ślad po środkach gaśniczych? A jeśli nie gaszono, jeśli koktajl wypalił się sam, zanim spłynął, to znaczy, że było go tyle co nic. Ktoś, kto planował podpalenie dużego budynku, przygotowałby się chyba jakoś lepiej? Po sprawie żydowskiego działacza z Krakowa, który narobił rabanu na cały świat, że polscy antysemici zerwali mu z drzwi mezuzę, a potem zapis miejskiej kamery pokazał, że w istocie zrobił to cichcem on sam, czy po podpaleniu, jak mówiła o tym na kelnerskich taśmach Elżbieta Bieńkowska, „przez Sienkiewicza i Sikorskiego" za ich poprzednich rządów śmietnika i budki pod rosyjską ambasadą nie powinno się z góry wykluczać możliwości celowej prowokacji. Czymkolwiek rzucono w synagogę, trzeba zbadać i taką ewentualność, że może nie chodziło wcale o jej podpalenie, a tylko o stworzenie wrażenia, że ktoś tego próbował.

Nawet przyjmując hipotezę, którą wszyscy relacjonujący i wypowiadający się o sprawie milcząco założyli jako pewnik – że jakiś nastolatek, zapewne pozostający pod wpływem jakiejś ekstremistycznej organizacji, chciał podpalić synagogę z nienawiści do Żydów – reakcję władz i mediów polskich należy uznać za absurdalnie przesadzoną. Gdyby Olaf Scholz albo Emmanuel Macron chcieli wyrażać ubolewanie po każdym odnotowanym w ich krajach przypadku antysemickiej przemocy, wedle policyjnych statystyk musieliby to robić codziennie po kilka razy. A nie zrobili nigdy. Burmistrz Londynu, nagabywany o potępienie aktów przemocy, uciął, że są one nieuniknionym elementem życia w wielkim mieście. Polska gorliwość w przepraszaniu nie ma precedensu ani porównania.

Za szczególną bezczelność uznać zaś trzeba nadymanie rangi domniemanej próby podpalenia przez ambasadora USA w chwili, gdy kampusy uniwersyteckie w jego kraju dosłownie płoną, zalewane falą lewicowej nienawiści, tym razem kierowanej już nie przeciwko „białym suprematystom", ale właśnie przeciwko Żydom – zwłaszcza po tym, jak propalestyńskie pokojowe manifestacje studentów spotkały się z represjami władz uczelnianych, po groźbach wycofania donacji ze strony wpływowych sponsorów żydowskiego pochodzenia.

PAŃSTWO I CHAMSTWO

Gorliwość w nadawaniu znaczenia incydentowi, wydarzeniu błahemu na tle tego, co dzieje się w świecie zachodnim, skwapliwość, z którą Polacy po raz kolejny rzucają się do przepraszania i odcinania, nie czekając nawet na rzetelne sprawdzenie, co się właściwie stało, sprawiają wrażenie, jakby komuś bardzo zależało na sprowokowaniu w Polsce prawdziwych nastrojów antysemickich. Nie można oczywiście wykluczyć takich motywacji ze strony rządu – Donald Tusk chętnie sięga po socjotechnikę kreowania wroga, nie tylko „putinowskiego pisowca", lecz także – jak to czynił za swych poprzednich rządów – „kibola" albo „prawicowego ekstremisty". Trudno jednak podejrzewać spisek – reakcja natychmiastowego kajania się za „polski antysemityzm" jest w naszych elitach politycznych nawykowa i, jak pokazało zachowanie pana prezydenta, jest to cecha nie tyle lewicowo-liberalnych salonów, ile polskiej inteligencji jako całości.

Ponad tydzień po zdarzeniu, opisanym w sposób tak wyrywkowy i niespójny, nie wiemy nic więcej – i nikt o to nie pyta

Paradoksalnie źródłem tej skwapliwości w samoponiżaniu jest poczucie wyższości – inteligenckiej wyższości „państwa" nad „chamstwem". Sprawą dla rozwikłania kompleksu polsko-żydowskiego fundamentalną, a powszechnie niezauważaną jest to, że historia stosunków polsko-żydowskich nie jest historią stosunków dwustronnych, ale historią wzajemnych relacji w trójkącie: dwór – arenda – chałupa. Żyd pełnił w dawnej Rzeczypospolitej rolę pośrednika, którego rękami pan dopuszczał się na chłopie wszystkich podłości, których zakazywała mu jego katolicka wiara (i których zakazywałaby jego z kolei wiara Żydowi, gdyby nie szło o „gojów"). Szlachcic mógł traktować „żydka" z góry, ale miał z niego pożytek – dla chłopa tymczasem Żyd był prześladowcą i wrogiem, o tyle gorszym, że mu, w przeciwieństwie do stojącego za nim szlachcica, nie imponował. W czasach rozbiorów i międzywojnia dla inteligencji, w którą z czasem zmieniła się szlachta, Żyd był więc Jankielem, podczas gdy emancypujące się chłopstwo widziało w nim lichwiarza, wyzyskiwacza i przeszkodę na drodze swego awansu społecznego.

POLSKI TANIEC

Stąd współcześnie, gdy antysemityzm stał się postawą hańbiącą, hasło „polskiego antysemityzmu" stało się nośnym elementem dyskursu wyższościowego lewicowo-liberalnej inteligencji nad „endeckim ciemnogrodem" i w takiej właśnie funkcji zakaził nim debatę publiczną III RP Michnik, grając na uwikłaniach i marcowych traumach swego środowiska. Gdziekolwiek pojawiała się jakaś prawica, natychmiast czujne autorytety „Wyborczej" miażdżyły ją przed całym światem oskarżeniem o antysemityzm – przed czym ta broniła się najgłupiej, jak można, starając się gorliwie udowodnić, że ona przecież też, równie jak michnikowszczyzna, potępia antysemityzm we wszystkich jego prawdziwych i zmyślonych przejawach. W ten sposób, wspólnym wysiłkiem Michnika i braci Kaczyńskich, wpędziliśmy się w ten festiwal nieustannego samobiczowania, tym usilniejszego, im bardziej napędza ono z przeciwnej strony lawinę oskarżeń – bo skoro sami Polacy wciąż przepraszają, to najlepszy dowód, jak wielki jest bezmiar ich win.

Krótkotrwałe zamieszanie wokół plamy na ścianie synagogi jest tylko kolejną figurą tego żałosnego tańca, w sumie niewymagającego już żadnych dodatkowych starań ze strony tych, którzy na nim zyskują. Gdy tylko pojawi się jakakolwiek informacja o wybitej szybie, skradzionej mezuzie czy śladzie spalenizny, Polacy sami już wiedzą, co mają robić.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl bcaf610a37

PR na komendę

Beata Szydło jako szef rządu otwierająca posterunek policji w Godzieszach Wielkich w 2016 r. FOT. TOMASZ WOJTASIK/PAP

Łukasz Zboralski

Zjednoczona Prawica tak odbudowała komisariaty w małych miejscowościach, że stoją puste, a bezpieczeństwo wcale się nie poprawiło. Ponad 100 mln zł wydano bez żadnych planów i analiz, czyli bez sensu

Jeszcze w 2007 r. w Polsce było 815 posterunków policji. Potem ich liczba gwałtownie się zmniejszała. Po centralizacji struktur służby część posterunków, m.in. ze względów ekonomicznych, zlikwidowano. Na koniec 2015 r. pozostała mniej niż połowa wcześniejszego stanu – tylko 397.

Odbudowę komisariatów w małych miejscowościach wzięła na sztandary Zjednoczona Prawica. W 2016 r. Mariusz Błaszczak jako szef MSWiA zapowiadał, że odtworzonych zostanie w sumie 150 jednostek policji.

Wtórował mu wiceminister Jarosław Zieliński: „Policja nie może, ponieważ przez pewien okres było mniej zdarzeń, wycofywać się z danego terenu. To jest wielki błąd. Policja na telefon – a taką koncepcję lansowano przez ostatnich osiem lat – to koncepcja błędna. My jej nie podzielamy" – deklarował.

– Chcemy obywatelom przywracać ich państwo. Chcemy, żeby każdy mógł czuć się bezpiecznie. Aby każdy miał świadomość tego, że ważne sprawy dla niego może załatwić u siebie: w gminie, w okolicy, że ma możliwość dojechania do większego miasta, do pracy, szkoły. A u siebie ma się czuć bezpiecznie – tłumaczyła w październiku 2016 r. na otwarciu posterunku w Godzieszach Wielkich ówczesna premier, Beata Szydło. I obwiniała poprzednie rządy: – Ta zła tendencja, która była przez naszych poprzedników rozpoczęta – zwijania państwa, tzn. likwidowania w takich małych miejscowościach instytucji państwowych: posterunków, urzędów, również połączeń komunikacyjnych, czyli wykluczanie tych społeczności – wreszcie ten proces został przez nas przerwany i zakończony.

Jak zapowiadano, tak uczyniono. Bo akurat rządowi PiS nie można było zarzucić tego, że obietnic nie dotrzymuje. Problem w tym, w jaki sposób tę obietnicę zrealizowano.

BEZ ŁADU I SKŁADU...

Najwyższa Izba Kontroli od 2016 r. aż do roku ubiegłego kontrolowała w tej sprawie MSWiA, Komendę Główną Policji, pięć komend wojewódzkich

eprasa.pl bcaf610a37

i 10 komend powiatowych lub miejskich. Wnioski są druzgoczące. Rząd Zjednoczonej Prawicy nie sporządził żadnej spójnej koncepcji tego, gdzie posterunki należy odtworzyć, a na decyzje wpływały oczekiwania samorządowców czy mieszkańców (nawet pojedyncze głosy!). Nie wypracowano żadnych kryteriów służących podejmowaniu decyzji o odtworzeniu posterunku. Nie sprawdzano nawet warunków bezpieczeństwa na danym obszarze, w związku z tym posterunki powstawały w miejscach, gdzie po ich likwidacji nie zanotowano żadnego pogorszenia się bezpieczeństwa mieszkańców. „Szczegółowe badanie próby 31 nowo otwartych posterunków, dla których sporządzono wymaganą dokumentację, wykazało, że w żadnym z tych przypadków zawarte w analizach parametry dotyczące bezpieczeństwa i efektywności pracy Policji nie wskazywały jednoznacznie na potrzebę utworzenia posterunku Policji" – czytamy w raporcie NIK.

Posterunki odtwarzano nawet tam, gdzie po likwidacji komisariatów odnotowana została… poprawa bezpieczeństwa. Czasem próbowali nawet oponować policjanci z terenu, którzy mieli świadomość daremności i marnotrawstwa. Nikt ich nie słuchał. „W dwóch przypadkach wnioski o utworzenie posterunku zostały zaakceptowane przez Kierownictwo KGP pomimo kilkukrotnie wyrażonej negatywnej opinii właściwych komendantów powiatowych. Jeden z nich wskazał nawet, że w przypadku wyodrębnienia ze struktur powiatowych etatów na posterunek mogą wystąpić trudności we właściwej dyslokacji służby, a w skrajnym przypadku może przyczynić się to do wzrostu zagrożenia bezpieczeństwa i porządku publicznego na terenie innych gmin powiatu" – piszą inspektorzy NIK.

Do połowy 2023 r. na odbudowę posterunków wydaliśmy co najmniej 107,5 mln zł. I nikt dziś nie wie, czy to miało jakikolwiek sens. Bo ani MSWiA, ani Komenda Główna Policji nie gromadziły żadnych danych i nie zlecały żadnych opracowań mogących sprawdzić skuteczność działania policjantów w zmienionych strukturach organizacyjnych. Nie ma więc żadnych dowodów, że odtwarzanie komisariatów w jakikolwiek sposób wpłynęło na stan bezpieczeństwa i porządku publicznego oraz na sprawność działania funkcjonariuszy.

Nadzór nad programem ograniczył się do odnotowywania danych o tym, ile nowych posterunków „przywrócono" i dat ich otwarcia. Przecinanie wstęg było na rękę posłom, ministrom, wiceministrom i samorządowcom. Analizowanie, czy w ogóle ma to sens, schodziło na dalszy plan. Ludzie byli zadowoleni, w lokalnej prasie były zdjęcia z otwarcia. Tymczasem w otwieranych komendach nie miał nawet kto pracować.

POLICJANCI CZASEM SĄ

Przepalanie publicznych pieniędzy widać było już kilka lat przed ukazaniem się raportu NIK. W 2021 r., gdy zbudowano od zera aż 140 nowych komisariatów, reporterzy TVN24.pl przejechali się po terenie, żeby sprawdzić, jak one funkcjonują. Okazało się, że prawie nie funkcjonują.

„Większość z nich przez większą część tygodnia pozostaje zamknięta. Zwykle bowiem zatrudnia po kilkoro policjantów, którzy najczęściej są w terenie. W 95 spośród 144 posterunków pewność, że w budynku zastanie się policjanta, mieszkańcy mogą mieć tylko przez kilka godzin w tygodniu. Najczęściej są to poniedziałki, w godzinach 10–14" – pisali dziennikarze TVN24.pl.

Odmalowanie budynku czy nawet zbudowanie go od podstaw i zawieszenie szyldu „Policja" było bowiem bardzo łatwe dla polityków. Inny problem – brak kandydatów do pracy w policji – pozostawili nierozwiązany.

Jak wynika z informacji KGP (stan na lipiec 2023 r.), służba odnotowuje znaczny wzrost wakatów i sięga on aż 10,4 proc. Braki kadrowe pogłębia dodatkowo nieobecność funkcjonariuszy, którzy przebywają na zwolnieniach lekarskich, urlopach rodzicielskich czy szkoleniach podstawowych i adaptacyjnych. I jest to już problem w kraju poważny.

Co mogło spowodować otworzenie większej liczby posterunków, gdy i tak już brakowało funkcjonariuszy? To, że budynki te będą świecić pustkami. „Prowadzona przez KGP od 2019 r. analiza zatrudnienia wykazała, że w jedenastu nowo utworzonych posterunkach wskaźnik wakatów wahał się od 40 do 67 proc.".

Wyniki kontroli NIK potwierdziły więc to, co wskazali już trzy lata temu dziennikarze. „Posterunki z niewielką obsadą kadrową nie są w stanie zapewnić całodniowej obsługi obywateli, zorganizować służby patrolowej w trybie zmianowym, a czasem nawet pojedynczego patrolu" – czytamy w raporcie. NIK podsumował to zresztą dosadniej: „W ocenie NIK tworzenie kolejnych posterunków wobec trudnej sytuacji kadrowej Policji przeczy założeniom procesu reaktywacji Posterunków Policji, tj. zwiększenia poczucia bezpieczeństwa w gminach dzięki lepszej dostępności funkcjonariuszy".

Rząd Zjednoczonej Prawicy nie podołał do końca nawet wyzwaniu budowlanemu. Inspektorzy zajrzeli do przywróconych posterunków. Okazało się, że w czterech z kontrolowanych komisariatów nie wyodrębniono pokoju do przyjęć interesantów. Przyjmowano ich w pomieszczeniu kierownika lub w drugim pomieszczeniu biurowym, z którego inny funkcjonariusz na ten czas musiał wychodzić. W trzech takich posterunkach pokoje przyjęć interesantów nie były wyposażone ani w przyciski antynapadowe, ani w monitoring, ani nawet… w telefon.

W Obrzycku (podlegającym Komendzie Policji Powiatowej w Szamotułach) komisariat przywrócono w budynku, który stał nieużywany od 30 lat. Duża część pomieszczeń na parterze nie była wykorzystywana, bo nie przeprowadzono remontu.

Trzy siedziby kontrolowane przez NIK nie posiadały nawet szatni z zapleczem sanitarnym, czym zdaniem inspektorów nie zapewniono wymaganego standardu.

Dochodziło także do tak kuriozalnych sytuacji, jak długotrwała awaria wideofonu, która uniemożliwiała interesantom kontakt z oficerem dyżurnym czy wezwanie pomocy poza jego godzinami pracy.

Program odtwarzania komisariatów – jak wiele polskich programów – został więc zrealizowany „dla ludzi", jednak „ludźmi", którym przyniósł korzyść, byli wyłącznie politycy podbijający swój PR dzięki przecinaniu wstęg.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl bcaf610a37

Upadła gwiazda

Zuzanna Dąbrowska

Media, które rozpromowały Dagmarę Kaźmierską, a później korzystały z jej popularności, dziś zachowują się niczym totemiczne małpki z Nikko. Udają, że nie widziały dowodów na jej mroczną przeszłość, nie słyszały ostrzegających przed Kaźmierską głosów i nie mają na jej temat nic do powiedzenia

FOT. ADAM JANKOWSKI/REPORTER

Za nami kolejna edycja show Polsatu „Taniec z gwiazdami". Równocześnie do kolejnych, budzących spore zainteresowanie widowni odcinków portal Goniec publikował trzyczęściowe śledztwo dziennikarskie na temat przeszłości Dagmary Kaźmierskiej, uczestniczki programu, która – rzekomo ze względów zdrowotnych, choć wielu twierdzi, że w oczekiwaniu na medialną burzę – zrezygnowała z udziału. – Robaczki, przychodzę do was z bardzo smutną wiadomością – przynajmniej dla mnie. Muszę zrezygnować z programu. Nie mogę już dla was tańczyć – nie mogę już was rozweselać swoim tupaniem kopytkiem – mówiła na instagramowym nagraniu, przybierając dobrze znaną jej fanom maskę zabawnej, nieco roztrzepanej, ale mimo wszystkich przywar posiadającej wielkie serce kobiety.

Kaźmierska nie pojawiła się na finale „TzG". O nieobecność „gwiazdy" pytano dyrektora programowego stacji Edwarda Miszczaka. – Dlaczego w finale nie było wszystkich par, które występowały w 14. edycji? No, nie było Dagmary Kaźmierskiej – zagaiła dziennikarka plotkarskiego serwisu. – Były zdrowe pary – odpowiedział Miszczak. Reporterka nie odpuszczała, co ewidentnie zdenerwowało dyrektora. – Anita pani nie wystarczyła [Sokołowska, zwyciężczyni show – przyp. red.]. Będzie pani naprawdę drążyć? Najważniejszy problem to jest nieobecność jednej pary? Jest chora. Odpoczywa gdzieś daleko od kraju. Cieszmy się tym finałem, bo był boski – stwierdził Edward Miszczak.

PROSTYTUCJA I ŚLUB W WIĘZIENIU

Szefowie stacji telewizyjnych dziś odcinają się od Kaźmierskiej. W 2009 r. kobieta została skazana prawomocnym wyrokiem na trzy lata pozbawienia wolności za działanie w zorganizowanej grupie przestępczej, stręczycielstwo, sutenerstwo i zmuszanie młodych kobiet do prostytucji. Kaźmierska swoją przestępczą karierę zaczynała od prowadzenia domu publicznego Tora w centrum Kłodzka. Następnie przeniosła się do mniejszego Szalejowa, gdzie od 2005 r. kierowała agencją towarzyską Heidi.

Choć dziś w budynku działa komis samochodowy, to mieszkańcy dobrze pamiętają, co działo się kilkanaście lat temu, i nie są zbyt chętni, aby o Kaźmierskiej i jej niemoralnym biznesie rozmawiać. – Po co mi to? Widziałem tych osiłków, którzy kręcili się w agencji – powiedział mediom jeden z mieszkańców. „Ludzie mówią, że związana była z człowiekiem, który miał porachunki w światku gangsterskim. Dlatego proszą o anonimowość" – opisuje „Super Express". – Nie dopuszczała sprzeciwu. Podobno dziewczyny zmuszała do prostytucji. Jej twarda ręka sprawiła, że w Szalejowie nie było

eprasa.pl bcaf610a37

afer, problemów z klientami – wspomina informator.

W rozmowach przewija się też postać byłego męża Kaźmierskiej jako tego, który miał swój wkład w owo „pilnowanie porządku”. Trafił do więzienia za zabójstwo dokonane w ramach gangsterskich porachunków. „Był w areszcie, kiedy wzięliśmy ślub. Naszym świadkiem był mój brat, a świadkową Elka »Czekolada«, moja serdeczna koleżanka, najstarsza prostytutka w mieście [...]. Powiedzieliśmy sobie »tak« w gabinecie dyrektora przed urzędnikiem stanu cywilnego. Żeby mógł tam przyjechać, potrzebna była zgoda prokuratora. Wznieśliśmy toast bezalkoholowym szampanem” – wspominała Dagmara w jednej z dwóch napisanych przez siebie książek autobiograficznych.

W więzieniu spędziła 14 miesięcy, a przeszłość postanowiła zmonetyzować. Obok książek sławę, a zatem pieniądze, przyniósł jej udział w show stacji TTV (TVN Warner Bros. Discovery) „Królowe życia”. Pokazywał on scenki z życia ekscentrycznych bogaczy. Od 2016 r. Kaźmierska była jedną z najbardziej rozpoznawalnych bohaterek. Szybko zyskiwała na popularności, czego efekty widać dziś. Jej profil na Instagramie obserwuje 1,2 mln osób, dostała niewielkie role w filmach gangsterskich (jeden z nich, „Pętla”, to film o sutenerskim biznesie na Podkarpaciu), a stacja TTV od 2018 r. emitowała program, w którym Kaźmierska była główną postacią – „Made in Maroko”. Jej popularność chciał wykorzystać na swój użytek także Polsat, który zanim zaprosił „królową życia” do „Tańca z gwiazdami”, stworzył nowy format randkowy „Dagmara szuka męża”.

Kariera patocelebrytki nabierała tempa, mimo że wiedza o jej kryminalnej przeszłości była powszechna. Dopiero szczegóły zeznań sądowych pokrzywdzonych przez nią byłych prostytutek sprawiły, że media musiały całkowicie odciąć się od Kaźmierskiej. Ujawniono, że jako sutener zleciła m.in. gwałt jednej z kobiet, która odmawiała pracy; miała sama dotkliwie pobić ciężarną, również niechcącą świadczyć swoich usług klientom, a także zbierała haracze tylko za to, by pozwolić pracownicom odejść. Jej „zakład” przypominał obóz pracy dla niewolnic, które nie miały prawa do odpoczynku, ponieważ nawet w dni wolne musiały być na każde zawołanie szefowej. „Dagmara Kaźmierska w swoim burdelu lubiła ład i porządek. Za nieposłuszeństwo karała. 24-letnią Marysię pobiła, a później kazała zgwałcić” – czytamy. Z dziennikarskiego śledztwa wyłania się obraz bezwzględnej, brutalnej i nieliczącej się z innymi osoby żądnej zysków. To obraz znacząco odmienny od tego, który serwowały przez lata komercyjne stacje i sama zainteresowana.

SPÓŹNIONA REAKCJA MEDIÓW

Szybko po publikacji pierwszej części materiału przez serwis Goniec media, które jeszcze do niedawna czerpały pełnymi garściami z popularności Dagmary, zaczęły podejmować zdecydowane ruchy. Co prawda, rzecznik prasowy Polsatu Tomasz Matwiejczuk nie chciał komentować ani ustaleń dziennikarzy, ani dalszej przyszłości Dagmary Kaźmierskiej w stacji, ale natychmiast zaczęto ją „wymazywać”. W dniu ukazania się pierwszej części śledztwa Polsat nieoczekiwanie zmienił ramówkę, usuwając z niej powtórki show „Dagmara szuka męża”. Ponadto cały sezon programu zniknął z platformy Polsat Box Go, a kolejnego nie będzie. Co więcej, po jednym z odcinków „Tańca z gwiazdami” – już po wybuchu afery – dziennikarze nie mogli zadawać uczestnikom pytań o Dagmarę Kaźmierską i aferę dotyczącą jej przeszłości. Według relacji mediów nad wszystkimi rozmowami czuwali pracownicy z działu PR, którzy pilnowali, aby nie padło żadne trudne pytanie.

Podobną strategię obrała stacja TTV, usuwając reality show „Królowe życia” z serwisu streamingowego Player. Zdecydowano też, że program, który stał się de facto wylęgarnią niezasługujących na uwagę szerokiej publiczności pomniejszych gwiazdeczek, nie będzie już emitowany. Z serwisu Wikipedia zniknął artykuł poświęcony Kaźmierskiej, szczegółowo opisujący wszystkie programy i stacje telewizyjne, w których się pojawiała.

CO NA DESER?

Co na to wszystko sama zainteresowana? Wciąż prężnie działa na Instagramie, masowo udostępniając wszelkie głosy wsparcia. Co miała zarobić, zarobiła i właściwie nie musi już się starać. Dzięki danej przez duże stacje popularności zdążyła zbudować „markę osobistą” (jakkolwiek absurdalnie to brzmi) oraz spore oddane grono fanów, którzy będą stać za swoją idolką murem – w każdej sytuacji. Dagmara wprost zaznacza, że ona przecież nigdy nie ukrywała swojej przeszłości, choć nie przyznaje się do stosowania przemocy.

„Kochani, nie odzywałam się do Was kilka ostatnich dni. Jestem tylko człowiekiem, potrzebowałam się zmierzyć z tym, co się wydarzyło. Jeszcze kilka dni temu byłam przedstawiana w mediach jako Królowa, a obecnie jako najgorszy zwyrodnialec, bestia zasługująca na wieczne potępienie za okropieństwa, które RZEKOMO miałam popełnić. Nigdy nie ukrywałam, że prowadziłam klub towarzyski. KLUB TOWARZYSKI – a nie miejsce do gnębienia kobiet!!!” – grzmiała w oświadczeniu wydanym kilka dni po publikacji pierwszej części dziennikarskiego śledztwa.

Wbrew temu, co twierdzi Miszczak, już wróciła do kraju i ewidentnie nie ma sobie nic do zarzucenia, co pokazuje, łamiąc przepisy (tym razem ruchu drogowego). „Celebrytka widziana była na warszawskiej Woli. Kaźmierska przyjechała swoim samochodem, który postawiła na zakazie. Zatrzymała się częściowo na trawniku, a częściowo na wjeździe na osiedle, na którym znajdowała się restauracja, do której się wybrała. Mimo że przed jej oczami znajdował się znak – zakaz parkowania, Dagmara bezczelnie wyłączyła silnik i wyszła z auta, a następnie weszła do lokalu, by zjeść... deser” – relacjonował „Super Express”.

Kaźmierska jest tylko jednym, choć najjaskrawszym przykładem promowania przez telewizje ludzi z kryminalną przeszłością. Przez lata emisji w „Tańcu z gwiazdami” wystąpiła całkiem spora grupa celebrytów z wyrokami. Tomasz Oświeciński, dziś popularny aktor, w 1999 r. został zatrzymany po zeznaniach gangstera o pseudonimie Żaba. Usłyszał zarzut działania w zorganizowanej grupie przestępczej, za co został skazany na dwa lata pozbawienia wolności. Detektywa Krzysztofa Rutkowskiego za wystawianie fikcyjnych faktur skazano na dwa i pół roku więzienia (po odwołaniu karę zmniejszono do półtora roku). Raper Popek był ścigany listem gończym za kradzież z włamaniem. Z kolei bokser Andrzej Gołota za pobicie został skazany na karę roku pozbawienia wolności.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl bcaf610a37

FOT. MACIEJ BOCIAŃSKI/MK

Stąd do starożytności

Wiesław Chełminiak

Mimo zaniku znajomości greki i łaciny nasza wyobraźnia wciąż jest ukształtowana przez antycznych autorów

Wystawa „»Mitologia« Jana Parandowskiego i inne mitologie" w stołecznym Muzeum Literatury uświetnia setną rocznicę wydania książki, na której – bez żadnej przesady – wychowały się pokolenia Polaków. Nie słychać, by uczniowie narzekali, że jest jak inne szkolne lektury – nudna i staroświecka. Napisał ją 29-latek, dla którego mitologia (zwłaszcza grecka) była „rozkosznym ogrodem". Ów zachwyt udziela się czytelnikowi.

Parandowski, przekonany, że tworzy głównie na użytek dziatwy i pedagogów starej daty, starannie dobierał słowa. Jako przeciwnik kastrowania klasyki od razu napisał uzupełnienie, zatytułowane „Eros na Olimpie". Ta książka oczywiście nie trafiła do szkolnych bibliotek.

Cenzurowanie dzieł udostępnianych gimnazjalistom było wówczas na porządku dziennym. Z poetyckiego przekładu „Odysei" Lucjana Siemieńskiego usunięto fragmenty traktujące o romansie Aresa i Afrodyty tudzież Odyseusza z Kirke i Kalypso.

Strażnicy moralności załamywali ręce nad bezecnymi czynami greckich bogów i herosów. Zły przykład szedł z samej góry. Zeus zdradzał żonę na prawo i lewo, a jego nieślubne potomstwo można liczyć w dziesiątkach. Mity, zawierające treści najtrudniejsze do pogodzenia z etyką chrześcijańską, wzbudzały odrazę, a także fascynację. Czerpały z nich natchnienie rzesze literatów, artystów oraz psychoanalityków, wmawiających pacjentom kompleks Edypa lub Elektry.

DUCH HOMERA

Hellenofil ze Lwowa byłby wdzięcznym obiektem badań dla doktora Freuda, gdyż ukrywał niektóre fakty ze swojej przeszłości. Twierdził np., że ojciec umarł, gdy on był jeszcze dzieckiem. Prawda wyglądała inaczej. Jan Bartoszewski, wykładowca teologii na Uniwersytecie Jana Kazimierza, jako grekokatolicki duchowny nie mógł ożenić się z Julią Parandowską. Mieszkali jednak razem aż do jego śmierci, która nastąpiła w roku 1920. Jan junior odziedziczył po ukraińskim rodzicu wyznanie tudzież zasobną bibliotekę.

Drugim tematem tabu było małżeństwo z publicystką Aurelią Wyleżyńską, którą po sześciu latach porzucił dla Ireny Helzel, studentki. Nigdy natomiast nie wyrzekł się miłości do Lwowa. Pisał o nim „moje miasto". We wdzięcznej pamięci zachował również nauczycieli, choć w VI kla-

eprasa.pl bcaf610a37

sie, zamiast wyjechać na wakacje, musiał wkuwać do egzaminu poprawkowego z greki. Potraktował to jako wyzwanie i już wkrótce mógł czytać Platona w oryginale.

Pierwsze własne teksty Parandowski opublikował jeszcze przed maturą. Rok przed śmiercią ojca światło dzienne ujrzał esej o bolszewizmie, w którym autor nie zostawił na Leninie i jego kamratach suchej nitki.

Gdy ukazało się pierwsze wydanie „Mitologii", Jan kończył studia, przerwane pierwszą wojną światową. Jednocześnie był kierownikiem literackim w wydawnictwie Alfreda Altenberga, który „prowadził interesy z czarującą niefrasobliwością". Panowie mieli ambitne plany, marzyła im się seria klasyków w nowych tłumaczeniach, ale nagła śmierć wydawcy położyła kres tym fantazjom.

Parandowski, lwowianin z urodzenia, obywatel Śródziemnomorza z wyboru, obcowanie z kulturą sprzed 25 wieków nazywał „cudowną przygodą" i „powrotem do źródeł". Przekonany, że starożytnych mędrców nie sposób przewyższyć ani nawet im dorównać, zapewne zgodziłby się z opinią, że twórczość literacka w zasadzie mogłaby się skończyć na komentarzach do „Iliady" i „Odysei". Wielbiciele ślepego poety twierdzą, że przejrzał on również na wskroś mechanizmy polityki. „Każdy podryg historii jest spełnieniem Homerowej intuicji" – głosi francuski podróżnik Sylvain Tesson.

Ściany gabinetu pana Jana były wytapetowane mapami antycznej Hellady i rzymskiego imperium. Irena zapewniała, że jej mąż zna każdy kamień na Forum Romanum. W podróż poślubną pojechali na Sycylię, pełną pamiątek z epoki Wielkiej Grecji. Pisarz zbierał starożytne artefakty, ale kolekcja przepadła w powstaniu warszawskim.

Największą obsesją Parandowskiego był Homer. Prześladował go sen, że odkrył grób epika na Chios. Napisał opowiadanie, w którym rozmawiał z jego cieniem. Nad biurkiem powiesił rysunek z profilem idola. Wytykał Siemieńskiemu kiepską znajomość greki, jednak wątpiąc we własny talent poetycki, przetłumaczył „Odyseję" prozą. Zajęło mu to dwa lata.

PREZES I OLIMPIJCZYK

Oczywiście nasz bohater nie był jedynym znawcą i propagatorem kultury antyku w II RP. Dość wspomnieć krakowianina Kazimierza Kumanieckiego, który tak biegle władał łaciną, że napisał w tym języku pracę doktorską i habilitację. Tadeusz Zieliński, również filolog klasyczny, łączył kwalifikacje uniwersyteckie z talentem pisarskim. Wymieniano go nawet w gronie kandydatów do Literackiej Nagrody Nobla. W czterotomowym (wznowionym po wojnie) „Świecie antycznym" przeciwstawiał się rezerwie, z którą nauka podchodzi do mitów i historycznych legend.

Pan Jan był podobnego zdania, z Kumanieckim łączyło go natomiast uwielbienie dla Cycerona. Miał też słabość do włoskiego renesansu, choć zawsze podkreślał, że humanizm wyrósł z grecko-rzymskiego korzenia. Ulubionym mitem Parandowskiego była opowieść o Prometeuszu, który „rozbudził w człowieku ducha i dał mu moc panowania nad światem". Przeprowadzka do Warszawy wzmocniła jego notowania na literackiej giełdzie. W 1930 r. został członkiem, a trzy lata później prezesem polskiego PEN Clubu. Chyba nie spodziewał się, że przyjdzie mu tę funkcję piastować aż do śmierci.

Powieść „Dysk olimpijski", plon dwóch podróży do Hellady, otrzymała wsparcie rządu. Przetłumaczona na niemiecki zdobyła brązowy medal w Konkursie Sztuki i Literatury w czasie letnich igrzysk w Berlinie. Kolejny utwór Parandowskiego – „Niebo w płomieniach" – zyskał popularność w nieco innych kręgach czytelniczych. Jego bohater, porte-parole młodego Parandowskiego, zmagał się z kryzysem wiary, wahając się, czy zostać nihilistą czy raczej neopoganinem.

Flagon z przełomu wieków XIX i XX z motywami antycznymi FOT. MACIEJ BOCIAŃSKI/ML

Pozycję pana Jana na krajowym Parnasie z pewnością umacniało to, że biegle mówił i pisał po francusku. Zadziwia łatwość, z którą ów zdeklarowany Europejczyk i pionier sowietologii odnalazł się w realiach powojennych. Był jednym z pierwszych pisarzy, którzy stawili się w Lublinie, tymczasowej stolicy nowej, stalinowskiej Polski. W nagrodę pozwolono mu zatrzymać fotel prezesa. „Niebo w płomieniach", pasujące do komunistycznej tezy, że religia to zabobon, miało w PRL 18 wydań (niewiele mniej niż „Mitologia").

Na co dzień Parandowski utrzymywał olimpijski dystans do współczesności. Lojalista Iwaszkiewicz zazdrościł mu tego luksusu. Miał powiedzieć Irenie: „Żyjecie w wieży z kości słoniowej". Jednym z przywilejów szefa PEN Clubu były spotkania z zagranicznymi kolegami. Na przykład z Robertem Gravesem. Brytyjski rówieśnik i poniekąd konkurent pana Jana (jego „Mity greckie" były frywolniejsze i lansowały tezę o przedhelleńskim matriarchacie) sądził, że nauka pęta wyobraźnię pisarzy. Sławę zawdzięczał niezbyt poważnym powieściom w rodzaju „Herkules z mojej załogi" i „Córka Homera". Panowie szybko się dogadali i opróżnili dwie butelki cypryjskiego wina. Dyskusji o antycznych poetach i filozofach towarzyszyły wokalno-taneczne popisy Anglika.

LWÓW, CZYLI ATENY

Krzysztof Szujecki, kurator wystawy w Muzeum Literatury, poszedł tropem wskazanym przez jej głównego bohatera. Pamiętając o szkolnych wycieczkach, postarał się, by również inni mieli na czym zawiesić oko. Cytatom z twórczości Parandowskiego, pierwodrukom jego książek i listom do Altenberga (pan Jan miał nie tylko ładny, lecz także czytelny charakter pisma) towarzyszą dzieła powstałe z inspiracji kulturą antyczną. Mowa o rzeźbach Igora Mitoraja i Antonia Canovy, grafikach Maxa Slevogta i Salvadora Dalego.

Można posłuchać Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego recytującego swój poemat „Niobe" lub przyjrzeć się „greckim" pląsom lansowanym 100 lat temu przez Isadorę Duncan. Ciekawostką jest dziennik podróży Edwarda Raczyńskiego, który w 1814 r. wyprawił się do Azji Mniejszej, by podziwiać homeryckie krajobrazy.

eprasa.pl bcaf610a37

Na pierwszym planie rzeźba głowy Apolla FOT. MACIEJ BOCIAŃSKI/ML

Parandowski uważał, że polską kulturę łączy z antykiem pokrewieństwo duchowe. Rzeczywiście, już poeta z Czarnolasu wprowadził do naszej literatury wątki greckie i rzymskie. Mickiewiczowski „Pan Tadeusz" jest odpowiedzią na „Iliadę", a Słowacki odzyskał wenę, oglądając rzekomy grób Agamemnona.

Wielu twórców uległo sile mitów, kurator miał prawo wybrać, kogo chciał. Szkoda jednak, że wśród pominiętych znalazł się Jacek Malczewski. Moim zdaniem na osobną salę bardziej od Jarosława Mikołajewskiego zasłużyli hellenofile z pokolenia bliższego autorowi „Erosa na Olimpie". Choćby Aleksander Krawczuk, krakus przedstawiający się jako „wyznawca starożytności", czy warszawiak Zygmunt Kubiak – autor tyleż erudycyjnej, co mrocznej „Mitologii Greków i Rzymian" z 1997 r.

Jubileusz książki Parandowskiego jest dobrą okazją, by przypomnieć innych miłośników antyku związanych ze Lwowem. O genialnych matematykach z Uniwersytetu Jana Kazimierza słyszał chyba każdy. Mało kto wie natomiast, że na owej uczelni już w czasach autonomii działała Katedra Filologii Klasycznej. Jej szef, Ludwik Ćwikliński, jeździł na wykopaliska do Włoch i Grecji, stworzył też czasopismo „Eos", które dziś ukazuje się we Wrocławiu. Przed wojną w grodzie nad Pełtwią wydawano w sumie trzy tytuły poświęcone kulturze starożytnej. Tutaj zaczynali swoje kariery Władysław Witwicki, tłumacz dzieł Platona, czy Kazimierz Michałowski – najsłynniejszy polski archeolog śródziemnomorski.

We Lwowie urodził się Stanisław Stabryła, autor wielu książek popularyzujących świat antyku. W Ossolineum pracowała zaś Wanda Markowska, która odkupiła ciężkie polityczne grzechy działalnością translatorską tudzież adresowanym do najmłodszych czytelników tomikiem „Mity Greków i Rzymian". Pamiątką polskiej epoki w dziejach miasta jest „Sąd Apollona nad muzami", czyli kurtyna Teatru Wielkiego, którą zaprojektował Henryk Siemiradzki. Rynek zaś po staremu zdobią fontanny, ozdobione posągami Diany, Amfitryty, Adonisa i Neptuna.

SCYTOWIE KONTRA IMPERIUM

Pan Jan na starość popadł w czarnowidztwo. Doszedł do wniosku, że jego rówieśnicy, wychowankowie galicyjskich gimnazjów, mieli większe pojęcie o Homerze niż powojenni absolwenci filologii klasycznej. Zapowiadał, że wycofanie ze szkół greki i łaciny odetnie Polaków od kulturowego i cywilizacyjnego kodu, wspólnego dla całej Europy. Tak się nie stało. Nasza wyobraźnia wciąż jest ukształtowana przez starożytnych autorów. Zaczynając od podziału na „cywilizowany zachód" i „barbarzyński wschód" albo dychotomii wolny świat/imperium zła.

Platon i Eurypides bynajmniej nie żyli w spokojnym, ustabilizowanym świecie. Grekom daleko było do jedności politycznej, o geograficznej nawet nie wspominając. Ich domem było Morze Śródziemne – od wybrzeży Hiszpanii do Krymu. Nie umieli żyć w zgodzie. Byli sprawcami, ofiarami lub świadkami tragedii, skutkujących zagładą miast, państw i cywilizacji. Dziesiątkowały ich epidemie. Miotali się między marzeniem o wolności i zbrodniczą tyranią.

Homera nazywano nauczycielem Hellenów. Jego utwory służyły jako elementarz, szukano w nich wiedzy o ludzkiej naturze, uniwersalnych mechanizmach wojny i polityki. Marek Węcowski w wydanym ostatnio zbiorze esejów „Tu jest Grecja! Antyk na nasze czasy" przywołuje nie tak dawne czasy, w których Hellenowie (do spółki z Rzymianami) jawili się przewodnikami całej ludzkości. Starożytne ideały porządkowały rzeczywistość. Demokraci odwoływali się do Aten, militarystom imponowała Sparta.

Wielokrotnie apelowano, by skończyć z idealizacją starożytności, pogodzić się z myślą, że antyk nie był „cudownym dzieciństwem ludzkości". Wszak w mitach poczciwcy pokutują za grzechy przodków, o których nawet nie wiedzieli, a każdego bohatera wcześniej czy później dopada hybris – pycha, wiodąca go do zguby. Gdy po podbojach Aleksandra Wielkiego niemal cały cywilizowany świat zaczął mówić po grecku, największej czci zażywała Tyche – bezlitosna bogini losu i przeznaczenia.

Czy renesans imperialnego myślenia spowoduje, że pociechy znów zaczniemy szukać w lekturze Homera, Herodota i Tukidydesa? Czy Mariupol i Bachmut przejdą do historii jako nowe Termopile? Węcowski porównuje Putina do Krezusa, który myślał, że za złoto kupi wszystkich, rzucił wyzwanie silniejszemu i zgodnie z przepowiednią wyroczni „zniszczył wielkie państwo", czyli własne. Przypomina, że przed Grekami twardy opór perskiemu imperium stawiali Scytowie, mieszkający na terytorium dzisiejszej Ukrainy. Inni wróżą przyszłość, czerpiąc z przykładu wojny peloponeskiej. Do uzgodnienia pozostaje kwestia, kto z pary Chiny-Ameryka jest współczesną Spartą, a kto Atenami.

W tej sytuacji teza, że grecko-rzymscy klasycy przestali być naszymi współczesnymi, wydaje się mocno naciągana. Poza tym, gdyby mieszkańcy Olimpu i bohaterowie spod Troi faktycznie odeszli w niebyt, kto ich zastąpi? Drużyna Marvela czy DC Comics? Piraci z Karaibów, Hobbici, rycerze Jedi, dynastia Atrydów, Harry Potter, a może ród smoka? Lista pretendentów wciąż się wydłuża, co nie zwiastuje rychłego rozstrzygnięcia.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa „»Mitologia« Jana Parandowskiego i inne mitologie" w Muzeum Literatury w Warszawie jest otwarta do 26 maja.

eprasa.pl bcaf610a37

Obcy w obcym kraju

Anna Sawai jako Toda Mariko

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Piotr Gociek

Nowa serialowa wersja powieści „Shogun" zachwyca na kilku poziomach: świetne aktorstwo, wiarygodny świat i powrót do przesłania literackiego oryginału

Historia to dziś i jutro. Jeśli nie zgłębiasz historii, to jesteś ciężkim idiotą" – powiedział James Clavell kalifornijskiemu profesorowi przygotowującemu antologię prac krytycznych poświęconych jego najsłynniejszej powieści „Shogun". Był maj roku 1980, powieść już stała się bestsellerem, ale za kilka miesięcy jej popularność miała osiągnąć nowe wyżyny za sprawą serialowej wersji przygotowanej dla telewizji NBC. Oglądaliśmy ten serial także w PRL, a Richard Chamberlain grający główną rolę angielskiego żeglarza uwięzionego w Japonii stał się bohaterem masowej wyobraźni równie znanym, jak później niewolnica Isaura. Bez wątpienia dzięki „Shogunowi" w dużym stopniu zrodziła się u nas w latach 80. moda na zainteresowanie Dalekim Wschodem – inne elementy to m.in. serial o mistrzu miecza Musashim Miyamoto, a jeśli idzie o kierunek chiński, to oczywiście fenomen Bruce'a Lee i kosmiczna wręcz popularność „Wejścia smoka".

James Clavell sam był częścią wielkiej historii. Urodzony w Australii, wychowany w Anglii, po ataku Japończyków na Pearl Harbor wysłany został wraz z innymi brytyjskimi żołnierzami, by bronić Singapuru. Ostatecznie wylądował na Jawie, gdzie w 1942 r. trafił do niewoli, a potem do owianego ponurą sławą Changi, „ponurego, plugawego więzienia" – jak pisał w powieści „Król szczurów" – w którym zamknięto ludzi, którzy „popełnili ciężką zbrodnię. Przegrali wojnę. I mimo przegranej żyli". Changi stało się dla Clavella uniwersytetem życia i źródłem ciężkiej traumy, którą nosił w sobie do końca swych dni. Lecz także miejscem, w którym zrodziło się jego głębokie zainteresowanie Japonią, jej odmiennością, jej kulturą. Miał wiele czasu, by studiować zachowanie swych oprawców.

JAPOŃSKA „GRA O TRON"

Trzydzieści lat po zakończeniu wojny (premiera w 1975 r.) ta fascynacja Japonią zaowocowała niezwykłą powieścią, której bohaterem jest John Blackthorne, angielski pilot ze statku „Erasmus" wyrzucony na brzegi obcego lądu, który

eprasa.pl bcaf610a37

Cosmo Jarvis jako John Blackthorne i Nestor Carbonell jako Vasco Rodrigues (po prawej)

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

równie dobrze mógł być obcą planetą – wszystko było tu inne. Minęło kolejne niemal 40 lat i nowa serialowa wersja tej książki dostępna jest w Disney+. Dziesięcioodcinkowa produkcja, której twórcami są Rachel Kondo i Justin Marks. Nie ukrywam: wykonali wyśmienitą robotę.

Wspomnijmy: rzecz inspirowana jest prawdziwymi wydarzeniami, które wybornie opisał Giles Milton w książce „Samuraj William" (2002, wydanie polskie 2004). Tak, naprawdę istniał Will Adams, który 12 kwietnia 1600 r. trafił do Japonii „w strasznych tarapatach" (jak pisał brytyjski historyk A.E. Rowse). Tam zaś „jako świetny żeglarz i budowniczy statków zaskarbił sobie łaski szoguna – budował dlań statki wzorowane na zachodnich, a także nauczył go podstaw geometrii i matematyki. W zamian zyskał posiadłość, licznych poddanych i żonę (choć rodzinę i żonę miał też w Anglii). Wzbraniano mu jednak powrotu". A gdy do podróży do domu nadarzyła się okazja (12 lat później), „Adams nie chciał już wracać".

Serial z Richardem Chamberlainem i Toshoro Mifune w rolach głównych był opowieścią typu „nasz człowiek w obcym kraju". Owszem, egzotyka i obcość dominowały na ekranie, całość kręcona była po raz pierwszy (i jedyny, jak dotąd) w Japonii, ale – jak czytamy w książce „The Making of James Clavell's »Shogun«" – od pierwszej chwili, gdy widzimy na ekranie Chamberlaina, jasne jest, że to bohater typowy dla zachodniej kultury. Tymczasem sam Clavell mówił, że jego książka to opowieść bardzo japońska i projapońska. Z początku – tłumaczył pisarz – nie mamy nawet pewności, czy to Blackthorne jest bohaterem, dopiero gdy odnajduje on piękno Japonii, czytelnik odnajduje piękno jego charakteru.

Twórcy nowego serialu powracają do ducha oryginału. Czasy się zmieniły, nie trzeba już na siłę oswajać głównego bohatera, by widownia mogła się z nim identyfikować. Przywykliśmy do rozmaitych filmowych i serialowych neverlandów opisywanych z ich wnętrza, liczy się spójność świata przedstawionego. Nowy „Shogun" oddaje tę perspektywę perfekcyjnie. Jest zatem opowieścią japońską, w której Blackthorne, późniejszy Anjin-san, jest sensacją na miarę przybysza z kosmosu w „Człowieku, który spadł na Ziemię". Na parę głównych bohaterów wyrastają pan Toranaga (wzorowany na historycznej postaci Tokugawy Ieyasu), uwikłany w walkę o władzę, oraz pani Mariko, katoliczka i stronniczka Toranagi nosząca piętno rodzinnej hańby (tu inspiracją była Hosokawa Gracia). Oczywiście obecni byli w pierwszej wersji serialowej, ale patrzyliśmy na nich oczami Anglika. Teraz obserwujemy przemianę Anglika oczami ważnych uczestników intrygi, którą z powodzeniem można nazwać japońską „Grą o tron".

Anjin-san w wykonaniu Richarda Chamberlaina wciąż miał urok Aramisa z „Trzech muszkieterów" Richarda Lestera, wciąż był hollywoodzkim gwiazdorem o szerokim, śnieżnobiałym uśmiechu i zniewalającej charyzmie. Anjin wedle Cosmo Jarvisa to niezbyt okrzesany, uparty i toporny Brytol, gość, który pasowałby do kompanii popijającej gin w bristolskiej tawernie. Właściwie jedynie ten upór trzyma go przy życiu. To jedyny punkt wspólny dla dwóch obcych światów; mieszkańcy Nipponu cenią żelazną wolę. I tak od tego jednego elementu rozpocznie się proces większej przemiany obcego przybysza.

Skoro już o obsadzie: najtrudniejsze zadanie do spełnienia miał Hiroyuki Sanada, aktor o wielkiej skali talentu i niegardzący rozmaitymi wyzwaniami (czy znacie jeszcze kogoś, kto zarówno grał w brytyjskich teatrach w „Królu Learze", jak i występował w filmie „Mortal Kombat"?). Musiał zastąpić posągowego Toshiro Mifune, który w głowach milionów widzów wręcz zrósł się z postacią Toranagi. Hiroyuki Sanada poradził sobie świetnie, sięgając po metodę udoskonaloną przez Japończyków do perfekcji – minimalizm. Ani sojusznicy, ani rodzina, ani tym bardziej wrogowie nie mają pojęcia o angielskim przybyszu, jakie naprawdę są jego zamiary, co go napędza, co go porusza. Mifune – w porównaniu – przesadny był „aż za bardzo", może dlatego, że widzieliśmy w nim także od razu cały bagaż ról z filmów Kurosawy.

PARADOKSY DWOISTOŚCI

Anna Sawai jako Toda Mariko także zasługuje na najwyższe słowa uznania. Nie pada w ramiona obcego przybysza, pozostaje mistrzynią samokontroli, pozwala sobie na jedną, jedyną chwilę słabości. Najbardziej emocjonalna scena z jej udziałem (zresztą wspaniała) to rozmowa z mężem, w której podczas ceremonii parzenia herbaty wyznaje mu, że ich miłość już umarła. Postać Mariko jest chyba w całym serialu najbardziej fascynująca, bo najbardziej rozdarta. Stoi przed nią wybór jak z antycznej tragedii, gdzie ścierały się ze sobą racje bogów i ludzi. Jako wierna stronniczka Toranagi gotowa jest na każde poświęcenie, z sa-

eprasa.pl bcaf610a37

mobójstwem włącznie, ale przecież dla katoliczki samobójstwo jest grzechem śmiertelnym, jest skazaniem się na wieczne potępienie.

Co do angielskiego pilota, Johna Blackthorne'a vel Anjin-sana, to jego historia i przemiana pozostają fascynujące: od napędzanego wolą przeżycia i nienawiścią do jezuitów anglikańskiego konkwistadora do człowieka, który musi zadać sobie pytanie istotne dla każdego: Gdzie właściwie jest moje miejsce pod słońcem i jakiej sprawie chcę służyć? Osobiste lojalności zawsze przekładają się na rzeczy większe, ale często sami tego nie dostrzegamy.

Nie będę się wypowiadał na temat historycznej wiarygodności, bo – jak mawiają polscy politycy – „nie posiadam wiedzy", dla mnie jako mieszkańca Zachodu jest nowy „Shogun" serialem na wskroś japońskim. Zdaję sobie sprawę z ułomności tego punktu widzenia. Mało kto wie, że Akira Kurosawa otrzymał kiedyś propozycję reżyserowania pierwszej serialowej wersji powieści (wyczytałem o tym w biografii pióra Petera Wilda). W jednym z wywiadów Kurosawa opowiadał: „Przeczytałem przekład i byłem zszokowany tym, jak opowieść odbiega od wydarzeń historycznych. Tak wiele rzeczy było niemożliwych i niepojętych dla owych czasów, że zdecydowałem, iż nie mogę nakręcić takiego filmu". Kurosawa był też bardzo krytyczny wobec serialu NBC, uważał nawet, że rola Mifune była występem poniżej jego godności, a Jamesa Clavella odsyłał na korepetycje z historii Japonii. Pamiętajmy jednak, że autor powieści nie zamierzał opisywać dokładnie wydarzeń historycznych (tych, którzy tego szukają, odeślę po raz kolejny do świetnego „Samuraja Williama"), lecz inspirując się historią, stworzył pasjonujący bestseller. Swoją drogą dla tych wszystkich, którzy uważają, że to, co popularne, nie może być jednocześnie dobre, mam złą wiadomość: wróciłem do lektury „Shoguna" po latach i jest to doskonale napisana powieść.

SERIAL HISTORYCZNY „SHOGUN" USA 2024

Gdybym miał wskazać to, co najbardziej mnie urzekło i zafascynowało w nowym serialu wedle prozy Clavella, byłoby to wyeksponowanie paradoksów dwoistości. Z jednej strony: nie można służyć dwóm panom, konflikty lojalności są najistotniejszą kwestią zmuszającą bohaterów „Szoguna" do dramatycznych wyborów. Z drugiej: wszyscy mają tu dwa oblicza, co wpędza bohaterów w nieustanny konflikt. Mariko to i chrześcijanka, i wierny sługa Toranagi. Blackthore to pirat i zdobywca, a zarazem wdzięczny lennik tegoż Toranagi. Pan Toranaga to mąż stanu, który pragnie pokoju dla zjednoczonej Japonii, a jednocześnie człowiek napędzany ogromną osobistą ambicją. Na krótką metę jedno drugiego nie wyklucza, na dłuższą – jest nie do utrzymania: któraś strona musi wygrać.

A może nie? „Nawet najsprytniejsi i najmędrsi często widzieli tylko to, co pragnęli widzieć, rzadko zaglądając za fasady cienkie jak papier" – rozważał pan Toranaga, zastanawiając się nad zadziwiającą łatwowiernością ludzi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

eprasa.pl bcaf610a37

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Stracone złudzenia

★★★☆☆☆
MINISERIA „SHARDLAKE" WIELKA BRYTANIA 2024

wyst. Arthur Hughes, Anthony Boyle, Sean Bean

Matthew Shardlake – bystry prawnik i marzyciel. Na pierwszych stronach powieści „Komisarz" ten zagorzały zwolennik reformacji w wydaniu angielskim przyznawał się do marzenia, że „wiara i miłosierdzie wystarczą, by zatrzeć różnice religijne między ludźmi". Sen trwał krótko. „Wybuchły w kraju bunty, mnożyły się egzekucje i chciwe walki o ziemie klasztorne". W serialu, tak jak w książce otwierającej serię powieści C.J. Sansoma, mamy rok 1537. Niedawno stracono Annę Boleyn. Anglikanizm triumfuje, na życzenie króla Henryka VIII państwo rozprawia się z potęgą i majątkami znienawidzonych klasztorów papistów. W jednym z nich zamordowany zostaje wysłannik lorda Cromwella. Sprawę rozwiązać ma właśnie Shardlake, bohater ze skazą, bo fizyczne defekty sprawiają, że wielu patrzy na niego z pogardą, a niektórzy wprost mówią: „garbus".

Trafiona jest obsada: Artur Hughes jako Shardlake (jeszcze niedawno grał Ryszarda III), Anthony Boyle jako prowadzący z nim śledztwo Jack Barak (w książkach ta postać pojawia się dopiero w drugim tomie) czy Sean Bean jako Cromwell. Wątpliwości budzi strona wizualna: XVI-wieczna Anglia (którą udają Rumunia, Austria i Węgry) przypomina bardziej krainę z gotyckiego horroru niż królestwo Tudorów. Tymczasem Sansom był (zmarł niestety w kwietniu tego roku) wybornym pisarzem historycznym – nie dość, że miał rękę do tworzenia wiarygodnych postaci, to jeszcze jak mało kto oddawał realia czasów, które opisywał. Tego realizmu w miniserialu Stephena Butcharda i Justina Chadwicka brakuje.

Był też najwyraźniej kłopot z wyborem, czy ma to być historyczny kryminał akcji (w takim razie za mało w nim czystej akcji) czy też dramat charakterów (jeśli tak, to zbyt pobieżnie budowane są postacie). Całość jest więc jedynie częściowo udana; mogło być lepiej, gdyby bardziej zaufano oryginałowi. Dobrze rozłożone są racje obu stron: choć mieszkańcy klasztoru Scarnsea zbyt często wyglądają karykaturalnie, to jednocześnie nikt nie wybiela reformatorów, którzy opowiadają bajki o nowym świecie, a tak naprawdę liczą jedynie na łatwe rozgrabienie kościelnych majątków. „Nie taki świat pragnęliśmy zbudować my, młodzi reformatorzy" – z goryczą wyznawał w powieści Matthew Shardlake. ©℗

NOWE SERIALE: „RENIFEREK"

Miniseria stworzona przez szkockiego komika Richarda Gadda na podstawie własnego komediowego monologu. Rzecz mocno niepoprawna w dzisiejszych czasach: to mężczyzna jest tu ofiarą przebiegłej stalkerki, a w pamięci nosi dodatkowo traumę gwałtu, którego dokonał na nim przed laty inny mężczyzna. Czarny humor i celne obserwacje obyczajowe, nade wszystko zaś opowieść o samotności w gargantuicznym Londynie. ©℗

Piotr Gociek

• ***miniseria „Reniferek" („Baby Reindeer"), Wielka Brytania 2024***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- *sezon 2* ***„Peryferia" („Outer Range")****, USA 2024*
- *sezon 3* ***„Bridgertonowie" („Bridgertons")****, USA 2024*
- *sezon 2* ***„Słodkie kłamstewka: Grzech pierworodny" („Pretty Little Liars: Original Sin")****, USA 2024*

eprasa.pl bcaf610a37

Seks, pot i łzy

KINO

O tenisie można opowiadać w konwencji romantycznej („Wimbledon"), familijnej („King Richard") lub feministycznej („Wojna płci"). A gdy brakuje pomysłu, pozostaje samograj o rywalizacji dwóch samców alfa („Borg/McEnroe"). Wyzwanie zawiera również tytuł filmu Guadagnina, lecz w rzeczywistości nie chodzi tu o sport ani nawet o pieniądze. Cherchez la femme. Tashi na korcie jest tygrysicą. Potrafi się zatracić w boju. Art i Patrick z motywacją mają problem. Wiedząc, że większość obiecujących juniorów po przejściu na zawodowstwo daje plamę, nie robią sobie wielkich nadziei. Chłopaki odbijają piłkę z braku lepszego pomysłu na życie. Art jest pracowity, lecz trochę wycofany, Patrickowi pasuje rola czarującego łobuza. Którego z nich wybierze „najgorętsza laska w branży"?

Komentatorzy sportowi do najbardziej nudnej dyscypliny potrafią dorobić filozofię. Iluzjoniści z Hollywood też mają sposoby, pozwalające szare zamienić w złote. Zaburzona chronologia, slow-motion i natrętny, elektroniczny beat maskują prostotę (by nie rzec – nędzę) scenariusza „Challengers". Zwycięstwo jest sexy, porażka wręcz przeciwnie, a atrakcyjna niewiasta może poróżnić najlepszych przyjaciół – takie mądrości emanują z ekranu. Wiara księgowych, że Zendaya to nowe wcielenie Audrey Hepburn, może okazać się zawodna. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★☆☆☆

REŻ. LUCA GUADAGNINO
„CHALLENGERS"
USA 2024

wyst. Josh O'Connor, Mike Faist, Zendaya

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

GENIUSZ PRZED LUSTREM

arte

Któż nie zna anegdoty o pędzlu Tycjana, który sam cesarz podniósł z podłogi, by podać mistrzowi? Okazuje się, że z taką samą rewerencją panujący traktowali starszego o pięć lat Albrechta Dürera. Syn złotnika z Norymbergi skromnością nie grzeszył. Utrwalał się dla potomnych w stroju godnym księcia, jak go Pan Bóg stworzył, a w końcu – w pozie umęczonego Chrystusa. Te autoportrety są dla twórców dokumentu nicią przewodnią w labiryncie biografii i dokonań artysty. Dürer, jak na człowieka renesansu przystało, wierzył, że można pogodzić chrześcijaństwo z kulturowym dziedzictwem antyku. Był innowatorem, wirtuozem, wnikliwym psychologiem tudzież obrotnym biznesmenem. Natychmiast zrozumiał, że wynalazek druku może uczynić go bogaczem i uniezależnić od kaprysów mecenasów. Udało się, tysiące rycin trafiły pod strzechy, lecz obsesja perfekcjonizmu doprowadziła Albrechta do zwątpienia i melancholii. ©℗

★★★☆☆☆

REŻ. FRÉDÉRIC RAMADE
„ALBRECHT DÜRER, XV-WIECZNY MISTRZ SELFIES" („ALBRECHT DÜRER, LE MYSTÈRE DES AUTOPORTRAITS")
FRANCJA 2022

NOWE AMAZONKI

prime video

Idą ciężkie czasy dla komedii. Czterdzieści lat temu w „Seksmisji" mogła drażnić co najwyżej apoteoza Polaka cwaniaka. Wiadomix: tam, gdzie Niemiec polegnie, Amerykanin wywiesi białą flagę, a Rusek się zbłaźni, nasz człowiek zawsze sobie poradzi. Dziś w filmie, który rozbawił Gorbaczowa, niecenzuralne stało się wszystko – od wizji totalitarnego matriarchatu do diagnozy „chłopa wam trzeba!". Tylko czekać, aż zniknie z telewizyjnych ramówek. Wcześniej emisje poprzedzane będą debatami, których uczestnicy jednogłośnie potępią męski szowinizm. Machulski w końcu przestanie się zasłaniać Mrożkiem, Orwellem czy „Planetą małp", złoży samokrytykę i pozwoli na usunięcie najbardziej skandalicznych scen. Z „Seksmisji" zostanie żałosny ochłap pod zmienionym tytułem. Scenariusz nowej, politycznie poprawnej wersji napisze Sylwia Chutnik. Wyreżyseruje Maria Sadowska, bo Gośka Szumowska nie ma czasu na takie bzdury. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★★☆☆

REŻ. JULIUSZ MACHULSKI
„SEKSMISJA"
POLSKA 1984

wyst. Jerzy Stuhr, Jerzy Łukaszewicz, Bożena Stryjkówna

GRA TYGODNIA: „STELLAR BLADE" ★★★★★☆

Uczyń główną bohaterką skromnie odzianą seksbombę, a masz pewność, że o grze będzie głośno. Przy czym ten rozgłos to starcie oburzonych, którzy uznają to za uprzedmiotowianie kobiet, z graczami mającymi do tego większy dystans (należę zdecydowanie do tej drugiej grupy). Ale zostawmy to, bo dzieło niewielkiego koreańskiego studia to dużo więcej niż główna bohaterka. To rasowy akcyjniak (który dość długo się rozkręca) z niezłą fabułą, ciekawym systemem walki, podany w fantastycznej (w większości) oprawie. Gdzieniegdzie widać oszczędności, ale pasja tworzenia wybija się tu na pierwszy plan. Polecam. ©℗ ***Radosław Wojtas***

- ***Gatunek:*** *akcji, TPP*
- ***Platforma:*** *PS5*
- ***Producent; wydawca:*** *Shift Up; Sony*

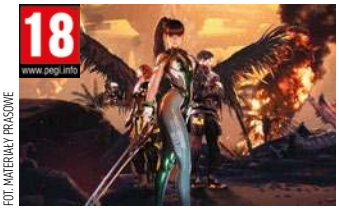

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl bcaf610a37

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Słowiański renesans Iwaszkiewicza

Listy 1944–1949" otwierają publikację całości powojennej korespondencji Anny i Jarosława Iwaszkiewiczów, która w sumie liczyć będzie sześć tomów. Ich listy przedwojenne znamy z wcześniejszych edycji, teraz nadszedł czas na korespondencję późniejszą, którą rozpoczyna list wysłany przez Annę do Jarosława 18 grudnia 1944 r., w drodze do Rabki, dokąd jechała, by zaopiekować się córką Marią oczekującą na urodziny dziecka. I już od początku jasne jest dla czytelnika, że dominować tu będą problemy domowe, rodzinne, osobiste, spychające sprawy publiczne na dalszy plan. Co nie znaczy, że małżonkowie pomijają je milczeniem, choć często zaznaczają tylko ich obecność, z pewnością, choć nie wyłącznie, ze względów cenzuralnych. W końcu nie mogli wykluczyć, że nie będą jedynymi czytelnikami tych listów.

Listy Iwaszkiewiczów są starannie opracowane ze świetnymi przypisami, które ułatwiają nam lekturę, wzbogacając korespondencję o szeroki kontekst historyczny, obyczajowy, a przede wszystkim biograficzny. I tak w liście z Paryża wysłanym 7 października 1948 r. Jarosław relacjonuje żonie smakowitą historię o tym, jak Aleksander Janta-Połczyński „jako okrasę do śniadania przyniósł mi numer »Wiadomości«, z artykułem Nowakowskiego o mnie, pełnym wyzwisk i najgorszych pomyj, jakie można sobie tylko wyobrazić. Posyłam ci to przez Irenę, przeczytaj i bądź tak dobrą, poślij przez Józia Szlachetnego do redakcji – niech i oni się ucieszą, tym bardziej że niedawno był na mnie atak w kraju – z innej strony, o którym oni wiedzą. Że Nowakowski to pisze, to mniej mnie dziwi, ale że Gryc to drukuje!". I dzięki stosownemu przypisowi możemy sami ocenić te „pomyje", które wyszły spod pióra Zygmunta Nowakowskiego, a opublikował je Mieczysław Grydzewski. W artykule „Czerwone tarcze Iwaszkiewicza" autor odniósł się do inauguracyjnej mowy wygłoszonej przez Jarosława na Kongresie Intelektualistów w Obronie Pokoju we Wrocławiu, a zwłaszcza do jej rzewnego fragmentu o „kraju spokojnym i cichym, leczącym swe rany w ciszy i pracy, pragnącym przygotować słowiański renesans sztuki i nauki".

Nowakowski tak to skomentował: „Udarnik, stachanowiec literatury, Iwaszkiewicz, prawiąc o »przygotowaniu renesansu sztuki i nauki«, palnął kapitalne głupstwo, które od biedy mogłoby figurować w podręcznikach historii, pisanych przez Żannę Kormanową, albo w ukazach Sokorskiego lub Żółkiewskiego, choć oni formułują pewne żelazne uogólnienia w sposób bardziej inteligentny. Jak dotąd przynajmniej żaden z nich nie zrobił zamówienia społecznego na »słowiański renesans«. Termin ten zawdzięczamy wyłącznie Iwaszkiewiczowi, który jak Torquato Tasso żyje w puchach na dworze tyrana renesansu słowiańsko-sowiecko-mongolskiego, Bieruta i Borejszy. Ale nie o to idzie. Iwaszkiewicz ofiarom wrocławskim przedstawił Polskę jako kraj »spokojny i cichy, leczący swe rany«. Co się z tymi ludźmi porobiło!".

Nadesłana ze Stawiska odpowiedź Anny musiała Iwaszkiewicza pokrzepić: „[…] w głowie mi się nie mieści, że Gryc coś podobnego o Tobie – niby wieloletnim przyjacielu – mógł wydrukować. Nie myślałam, że może dojść do takiej podłości, zwłaszcza po naszym widzeniu się w Londynie zeszłego roku. Ciekawa jestem, czy w głębi duszy tak o Tobie myśli jak pan N.? To coś nie do pojęcia po prostu. Jest jednak w tym dużo bezsilnej wściekłości i zawiści. Bo cóż oni mają robić? Gnijące odpadki i odrzucone od rosnącej żywej rośliny, która ich do niczego użytkować nie może".

142 listy zamieszczone w tym tomie korespondencji Anny i Jarosława Iwaszkiewiczów pisane były przed zadekretowaniem socrealizmu w literaturze, gdy w kulturze zachowywano jeszcze jakieś pozory. Iwaszkiewicz redagował swoje „Nowiny Literackie", doglądał Stawiska, podróżował po całym świecie, a to do Argentyny i Urugwaju, a to na Sycylię, to znów – jakżeby inaczej – do Moskwy. Wysyłał stamtąd listy do żony, niezmiennie „Najdroższej" i „Najmilszej". Ona nazywała go „Najmilszeczkiem", „Ciupaseczkiem", „Syneczkiem". Z dzienników wiemy, że nie wszystko układało się w tym związku tak wspaniale, niemniej siła więzi łączącej Annę i Jarosława jest oczywista.

Z niecierpliwością czekam na następny tom, także dlatego, że jego lektura przeniesie nas w najbardziej wstrętne lata naszej powojennej historii – stalinizm w czystej postaci. Warto przeczytać, jak wtedy dawał sobie radę ten, o którym Czesław Miłosz pisał: „Z barwnych kamieni składał gospodarstwo / Publicznym sprawom obcy Iwaszkiewicz / Późniejszy mówca tudzież obywatel / Pod naciskami twardej konieczności". ©℗

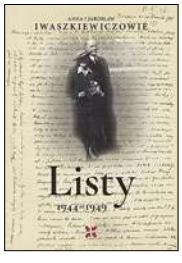

★★★★★☆

ANNA I JAROSŁAW IWASZKIEWICZOWIE „LISTY 1944–1949"
SEDNO WYDAWNICTWO AKADEMICKIE, WARSZAWA 2024

eprasa.pl bcaf610a37

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Zagłada kurnika

R.C. Sherriff to pisarz znany dzięki głośnej sztuce „Kres drogi" („Journey's End"). Przerobiona później na powieść, uznawana jest za jeden z najważniejszych utworów brytyjskich oddających doświadczenie pierwszej wojny światowej (Sherriff walczył w okopach, został ranny niedaleko Ypres w 1917 r.). Pisał także – z powodzeniem – filmowe scenariusze („Niepotrzebni mogą odejść" czy „Żegnaj, Chips").

Katastroficzna powieść „Rękopis Hopkinsa" ukazała się w Anglii owego długiego gorącego lata 1939, które skończyło się we wrześniu atakiem Hitlera na Polskę. Jest to opowieść o końcu świata, lecz do kataklizmu dochodzi nie wskutek rywalizacji morderczych ideologii, tylko kosmicznej katastrofy: Księżyc spada na Ziemię. Tornado i powodzie pustoszą cały glob, satelita rozpłaszcza się o dno Oceanu Atlantyckiego, tworząc połączenie lądowe Ameryki z Europą. Recenzent z tygodnika „Time" odnotowywał, że ta „półwellsowska fantazja" opisuje kataklizm z punktu widzenia insekta: pan Hopkins nie jest nikim ważnym i ciekawym. Powiedzmy więcej: interesuje go głównie los drobiu, którego jest hodowcą, a cały ten koniec świata nawet go w pewnym momencie cieszy, gdyż huragan usunął z podwórka szpaler nielubianych krzaków. Co do zadłużenia u Wellsa – tak, Sherriff przedłuża linię literacką rozpoczętą „Wojną światów", samemu stając się prekursorem dla późniejszych brytyjskich pisarzy opisujących końce świata: Johna Wyndhama, Johna Christophera czy Briana Aldissa.

Jest to powieść do szpiku kości brytyjska: zabawna, sarkastyczna, bez zbędnego sentymentalizmu. Kataklizm nastąpił. No dobrze, co dalej? Ktoś dalej musi hodować kury, a ktoś rządzić. Jednak w chwili gdy przetrzebione narody Europy uświadomią sobie, że księżycowe skały kryją wielkie bogactwo w postaci cennych surowców, dawne animozje powrócą. No i trzeba będzie przemocą rozstrzygnąć, kto i co ma kontrolować. Zagłada nikogo niczego nie nauczyła – to morał w „Rękopisie Hopkinsa". Ale czyż nie jest to także komentarz autora do tego, co widział w okopach pod Ypres? Tam, gdzie jedni się biją, ktoś inny skorzysta, tysiąc lat później już zupełnie kto inny będzie rządził Europą. Kto? Tego dowiecie się z finału, który jest mało poprawny politycznie. ©℗

★★★★☆☆
R.C. SHERRIFF „RĘKOPIS HOPKINSA" REBIS 2024

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

„Dlaczego globalizacja ekonomiczna, suwerenność państw i demokracja nie mogą współistnieć?". Prowokacyjne pytanie znanego ekonomisty to nie wezwanie do znalezienia nowej formy międzynarodowej współpracy.

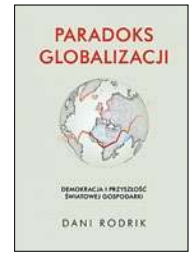

DANI RODRIK „PARADOKS GLOBALIZACJI" ZYSK I S-KA

Po raz pierwszy po polsku reportaż japońskiego noblisty. Ponure memento w czasach, gdy znów mówi się (w związku z inwazją Rosji na Ukrainę czy konfliktem Iran-Izrael) o możliwości użycia broni jądrowej.

KENZABURŌ ŌE „ZAPISKI Z HIROSZIMY" PIW

Miał dożyć swych dni w ukochanym Wiedniu, ale Anschluss Austrii zmienił wszystko. W przeszmuglowaniu Freuda do Anglii brała udział barwna grupa spiskowców, w tym prawnuczka brata Napoleona Bonapartego.

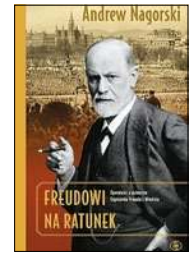

ANDREW NAGORSKI „FREUDOWI NA RATUNEK" REBIS

Mało kto pamięta, że King to także mistrz krótkiej formy – autor „Lśnienia" przypomina więc o tym w najnowszej książce, zbiorze 12 opowiadań (jest tu m.in. sequel do powieści „Cujo"). ©℗

recenzuje Piotr Gociek

STEPHEN KING „IM MROCZNIEJ, TYM LEPIEJ" ALBATROS

KOMIKS TYGODNIA: „NATHANAELLE"

Co jest prawdą, a co fałszem w podzielonym świecie przyszłości? Epidemia? Ognista apokalipsa? Spisek – ale czyj? Część ludzkości żyje w kapsułach pod ziemią, druga połowa na powierzchni w metropoliach pełnych hybryd ludzko-mechanicznych. Czy ich przyszłość spoczywa w rękach tajemniczej dziewczyny

FRED BELTRAN, CHARLES BERBERIAN „NATHANAELLE" KURC 2024

Nathanaelle? Zgryźliwy humor, zaskakujący scenariusz plus retrofuturyzm warstwy graficznej. Wciąga.

Piotr Gociek

eprasa.pl bcaf610a37

DO ZOBACZENIA

Lubomirski i przesyłka z Kanady

RADOSŁAW WOJTAS

Muzeum Łazienki Królewskie przypomina postać, od której zaczęła się historia jednego z najpiękniejszych miejsc w Warszawie. W 1674 r. Stanisław Herakliusz Lubomirski, magnat, pisarz, poeta i polityk objął w posiadanie Ujazdów wraz z terenem leśnym zwanym Zwierzyńcem (obecnie są to Łazienki Królewskie). Pałacowi Na Wyspie dał początek niewielki pawilon kąpielowy, który polecił wybudować marszałek, a który później tak znakomicie rozbudowano z nakazu Stanisława Augusta. Jako że mija właśnie 350 lat od nabycia przez Lubomirskiego tych dóbr, muzeum organizuje poświęconą mu wystawę złożoną z bogatego zbioru eksponatów, wśród których są np. dzieła Rembrandta.

Ale jest coś jeszcze wartego zauważenia. To 12 ceramicznych niderlandzkich płytek, które w XVII w. zdobiły wnętrza łaźni, które przetrwały pożar z 1944 r., ale zaginęły w trakcie wojny lub zaraz po niej. Do muzeum wróciły w przesyłce od tajemniczego nadawcy z Kanady. ©℗

FOT. PAWEŁ CZARNECKI

GDZIE? ***Łazienki Królewskie***
KIEDY? ***do 1 września***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

JEDYNA TAKA NOC

Zamiast konkretnej rekomendacji – przypomnienie. 18 maja to Międzynarodowy Dzień Muzeów, który od lat jest okazją do organizowania Nocy Muzeów. Wieczorne i nocne zwiedzanie ma kilka niekwestionowanych zalet – do których należą niepowtarzalny klimat i darmowe wejścia – oraz parę zasadniczych wad – często okrojoną przestrzeń, którą możemy zwiedzać, i tłumy chętnych (choć to akurat powinno też cieszyć). Ale skoro już stać w kolejkach, to może do miejsc, których zwykle zwiedzać nie można? W wielu miastach uchyla się wtedy drzwi, które zwykle są zamknięte dla zwiedzających, a za które naprawdę warto zajrzeć. ©℗

POŻEGNANIE

Ostatni lot Ptaszyna

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

7 maja, w wieku 88 lat, odszedł Jan Ptaszyn Wróblewski, jeden z ostatnich pionierów polskiego jazzu. Był prawdziwą ikoną tej muzyki i nie chodzi tu o jego niemały dorobek artystyczny, ale rolę, którą odgrywał na naszej scenie jazzowej przez ponad 60 lat.

Przede wszystkim był wspaniałym propagatorem jazzu i umiał w sposób charyzmatyczny o nim opowiadać. Jego głos w radiowej audycji „Trzy kwadranse jazzu" przez 53 lata hipnotyzował słuchaczy. Audycja zadebiutowała na antenie Trójki w styczniu 1970 r. i choć miała kilku prowadzących, to jedynie głos Ptaszyna był w niej od początku do końca.

Jan Wróblewski urodził się 27 marca 1936 r. w Kaliszu. Studiował na Politechnice Poznańskiej i Akademii Muzycznej w Krakowie. Od 1956 r., przez dwa lata, występował w sekstecie Krzysztofa Komedy, z którym odniósł m.in. spektakularny sukces na I Festiwalu Jazzowym w Sopocie. To Komeda nadał saksofoniście pseudonim Ptaszyn. W 1958 r. jako pierwszy muzyk zza żelaznej kurtyny, zagrał na festiwalu jazzowym w Newport.

FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER

Drugim talentem Ptaszyna były niebywałe zdolności organizacyjne. Był patronem wielu festiwali jazzowych, założył kilka zespołów, w których debiutowali przyszli liderzy polskiego jazzu, czy też prowadził warsztaty muzyczne. Jego największym osiągnięciem jako organizatora było założenie w 1968 r. Studia Jazzowego Polskiego Radia, którym zarządzał przez 10 lat. W rotacyjnym składzie big-bandu byli najwybitniejsi polscy jazzmani – od Komedy, Namysłowskiego i Stańki do Seiferta, Muniaka i Szukalskiego.

Wróblewski był muzykiem dość konserwatywnym, zakochanym w jazowym mainstreamie lat 50. i 60. Jego ulubionym muzykiem, co podkreślał w wywiadach, był Sonny Rollins. Jednocześnie nie znosił free jazzu oraz nie przepadał za jazzowymi fuzjami spod znaku wszelakiej awangardy. Mimo zachowawczych poglądów na jazz chętnie współpracował z młodymi muzykami, których zawsze wspierał. ©℗

eprasa.pl bcaf610a37

Piosenki zakazane

Krzysztof Masłoń

Studiował prawo, ale ukończył socjologię, a nawet jakoś mimochodem zrobił doktorat. Jako wróg pod każdym względem przodującego ustroju zamykany był do więzień i wyrzucany z pracy, jak się tylko w jakiejś udało mu zaczepić. Nauczył się więc zbierać sosnowe szyszki na nasiona i łażąc po drzewach (30-metrowych!) w ciągu dwóch dni zarabiał tyle, ile w instytucie naukowym przez miesiąc. W końcu wyniósł się z Warszawy na Mazury, by wraz z żoną hodować pszczoły. Po drodze – między 1968 a 1984 r. – napisał kilkadziesiąt piosenek. Fenomenalnych.

„Jan Krzysztof Kelus był prawdziwym twórcą pieśni wolności w czasie niewoli – mówił o nim Marek Nowakowski. – Pamiętam konspiracyjną atmosferę nagrywania kasety z jego piosenkami i moimi opowiadaniami z »Raportu o stanie wojennym«, które czytał Emilian Kamiński. Była to zima 1982 r. i za oknem widać było żołnierzy grzejących się przy koksowym piecyku. Pomieszczenie wypełniał głos Jana Kelusa: celne słowa jego piosenek, dramatyzm i humor zarazem".

Jednym z nielicznych wykonywanych przez Kelusa wierszy nie jego autorstwa była „Ostatnia szychta na KWK Piast" Jana Michała Zazuli, używającego pseudonimu Jakub Broniec. W stanie wojennym funkcjonowało sporo takich utworów uznawanych za anonimowe. „Ostatnia szychta…", opowiadająca o strajku w kopalni „Piast," za sprawą Kelusa stała się jedną z najlepiej znanych. Rzec można, że nawet za dobrze znanych, bo po nadaniu jej w pierwszym programie podziemnego Radia Solidarność dni artysty na wolności były już policzone. I tak jak po marcu można było do niego pisać, adresując list na Rakowiecką 37, tak w 1982 r. korespondencję kierować należało na ul. Ciupagi 1.

Jan Krzysztof Kelus ma dziś 82 lata i jest Kawalerem Orderu Orła Białego. W końcu stycznia pojawił się pod innym aresztem śledczym – w Przytułach Starych na znak solidarności z zatrzymanym Maciejem Wąsikiem. Uważał to za swoją powinność, tak jak w 1976 r. wyjazdy do Radomia, by wspomagać bitych, więzionych i skazywanych robotników. Jeszcze przed powstaniem KOR. Jak to śpiewał w „Balladzie o szosie E7":

Czerwony Radom pamiętam siny,
jak zbite pałką ludzkie plecy,
szosę E7, na dworcach gliny,
jakieś pieniądze, jakieś adresy.

Strach w ludzkich oczach, upokorzenie,
w spotniałych palcach świstki wyroków,
pamięć odbitą na ścieżkach zdrowia,
listy z więzienia, lekarz, adwokat…

Tę balladę napisał Kelus pięć lat po Czerwcu '76. To z niej pochodzi ustęp, który zrobił samoistną karierę: „Ta moja żona jest taka drobna / czasem jest całkiem trudno uwierzyć / że przesiedziała w więzieniu dłużej / niż ta wariatka Angela Davis". Kto nie wie, o co chodzi, niech poszpera choćby w Wikipedii, takie wypisy z historii najnowszej mogą się przydać.

A sprawa Wąsika i Kamińskiego? Tym razem posłużę się tekstem niewiele późniejszego, bo ledwie o pół roku, utworu Kelusa „Przed nami było wielu (czyli Cohen po polsku)":

Przed nami było wielu,
wiruje wolno ziemia.
Przed nami było wielu
w obozach i więzieniach.
Znaleźli co najgorsze,
znaleźli co najlepsze,
rzucali coś na szalę,
rzucali coś przed wieprze…
… i dalej o tym śpiewać
się chyba nie odważysz,
bo ktoś splugawił słowa
„czyn", „walka" i „towarzysz".
Odżyją może kiedyś,
nabiorą nowych znaczeń,
bo niby jest tak samo
a przecież jest inaczej.

Napisał niby niewiele piosenek, a przecież nie ma wśród nich rzeczy nietrafionych. A tych, których zapomnieć się nie da, jest multum: „Piosenka o morzu" („Może marzec lub sierpień – kto wie / nie pozwolił ci już dłużej na godzenie się ze złem"), „Piosenka o wuju, historii i przypadku" („Krzyczał major bezpieki w powiecie. / – Coście w knajpie mówili o Lwowie? / Wuj tłumaczył. Sprawdzili w ankiecie. / Uratował człowieka żaglowiec"), „Piosenka o Jacku Staszelisie" („W świecie. Gdzie linią gorącą / nazywa się zwykły telefon, / gdzie dzieci dostają na Gwiazdkę / pancerny transporter z rakietą"), „Piosenka o drugiej Polsce" („Ci wszyscy, co mówią, że nic się nie zmieni / bo z jednej jest Rosja, a z drugiej jest Niemiec, / bo burdel, bo Żydzi, bo Polak się leni, / a kto się wychyla, to zwykły szaleniec, / zbudować dziś mają tą DRUGĄ, choć pierwsza / dla jednych jest gorsza, / dla drugich jest lepsza") czy sławne „Papierosy Biełomor-Kanał" („Powiedz Willy – jako Niemiec / chyba byś się zrzygał, / płacąc za Auschwitze z filtrem / markę i feniga").

To były naprawdę zakazane piosenki. Nigdy, ale to nigdy nienadawane w radiu, że o telewizji nie wspomnę. Kelus nie poniżył się do pokazywania ich cenzorom. Teksty były zapamiętywane przez siłą rzeczy nielicznych słuchaczy jego występów i odtwarzane potem mniej lub bardziej wiernie. Aż w końcu bard (dziwiło go to określenie, ale jakoś je akceptował) poszedł śladami Mirka Chojeckiego i założonej przez niego Nowej, stając się prekursorem podziemnej fonografii. Swoje ballady nagrywał na kasety i to był epokowy krok w ich popularyzacji.

Jak nazwać twórczość tego pod każdym względem wyjątkowego artysty? W czerwcu 1982 r., siedząc na Białołęce, napisał song: „Polski broadside" ze znaczącym podtytułem „Czyli w więzieniu zasłyszana opowieść prawdziwa o ponownym cudownym ocaleniu Narożniaka Jana z rąk prok. Bardonowej":

W więzieniu, w więzieniu
też czasami mieszka
radość o poranku
i smutek o zmierzchu

Radość o poranku,
smutek, gdy się zmierzcha…
… nas stąd nie zabierze
polski Midnight Special

Polski Midnight Special
Polska pieśń dziadowska,
Możesz to nazywać
również polski broadside. ©℗

eprasa.pl bcaf610a37

Do przeprowadzenia ataku antyreklamowego na Kanał Zero wystarczyło jedno słowo z rozmowy Rafała A. Ziemkiewicza z Krzysztofem Stanowskim FOT. KANAŁ ZERO

Reklama w służbie ideologicznego biznesu

Jerzy Karwelis

Trend poprawnościowy polegający na wprzęgnięciu rynku reklamowego w progresywną ideologię – czyli w istocie szantaż – zaczął się systemowo na Zachodzie już dawno temu. Widzimy go teraz dobrze w Polsce

Zacznijmy od mechanizmu. Polega on na zawstydzaniu, a właściwie szantażowaniu reklamodawców poprawnością polityczną. Chodzi o to, że jacyś aktywiści – ale są już i wyspecjalizowane instytucje robiące to z założenia – czynią raban, że dany reklamodawca ogłasza się w konkretnym medium. Wystarczy tylko, że w danym przekaziorze pojawią się jakieś nieprawomyślne treści (kryterium jest płynne i ustalane przez samopowołane gremia), a instytucja (czasem konkurujący podmiot medialny) wali w bęben poprawności. Polega to na przeprowadzeniu karkołomnej, lecz kupowanej przez maluczkich lub rozgrzanych, analogii, że skoro reklamodawca umieszcza w poprawnościowo błądzącym medium swoje komunikaty, to znaczy, że popiera nieprawomyślną linię przekazu danego tytułu, portalu czy telewizji.

Tematy nieprawomyślności są różne i zależne od aktualnej taktycznej pogody. Cel jest jeden – wycięcie ideologicznej alternatywy pod pozorem dbania o poprawność przekazu. Można podpaść w niezliczonych tematach – narzekanie na imigrantów, kwestionowanie aksjomatów covidowych, mizoginizm, nie dość zaciekły elgiebetyzm, onucyzm putinowski, wreszcie – denializm klimatyczny. Powodów jest bez liku, bo progresywizm skacze z tematu na temat i łatwo się załapać do grona ostracyzmowanego. Należy być więc uważnym, nakładać sobie samemu kaganiec cenzury, antycypować chimeryczne kierunki aktualnych trendów postępu, które to wiadomo, że

eprasa.pl bcaf610a37

na pstrym koniu ideologii jeżdżą. Taki reklamodawca jak chce pokazać swój serek, to się musi z fachowcami od reklamy zastanowić nie tyle, do kogo chce dotrzeć, tylko czy mu wypada.

POLACY SIĘ UCZĄ

I przyszło to do Polski. Spóźnione, ale jak to w Polsce, w pokracznej formie nadrabiania straconego czasu przez ideologicznego nuworysza. Pierwsze sygnały kapowania na nieprawomyślnych reklamodawców pojawiały się pojedynczo. Mamy tu dwa okresy – tajny i otwarty, choć jednostkowy. Tajny polegał na tym, że kto trzeba dzwonił do takiej firmy i przeprowadzał rozmowę wychowawczą – czy dany delikwent wie, co robi, wspierając swą kasą marketingową niepoprawność polityczną. Widocznie musiało to iść słabo, bo zaczął dominować przekaz jawniejszy – by ostrzec tych, którzy nie wiedzą albo się nie posłuchali, zaczęto przechodzić na publiczną, medialną formę donosu. W dwóch kierunkach – ku firmom oraz w kierunku odbiorców, by wiedzieli, że konkretni konkurenci do ich rynkowych wydatków mogą popadać w błędy ideologiczne.

Klinicznym przypadkiem takiego polskiego importu szantażu reklamowego jest przypadek „Do Rzeczy". Redaktor Grzegorz Wysocki z „Gazety Wyborczej" napisał sążnisty tekst o swym „dziennikarskim śledztwie", jak to „oczom nie uwierzył", kiedy ujrzał na łamach konserwatywnego tygodnika reklamę Ikea. Oczywiście przechodził obok kiosku z redakcyjnymi tragarzami i się przypadkiem natknął, broń Boże nikt go do tego nie namawiał, bo to ciekawy temat jest. Cały tekst polecam odpornym lub też tym, którzy chcą sobie powspominać komunistyczny jeszcze charakter zaangażowania medialnych „uprzejmych donosów". Donosik sprowadza się do „ja tylko pytam…" w stosunku do firmy Ikea oraz donosu na „Do Rzeczy" skierowanym do… czytelników tygodnika: kasa im tam w waszej ulubionej redakcji nie śmierdzi, bo reklamują przecież u siebie firmę znaną z propagowania wartości LGBT (notabene głównie poprzez wywalanie z roboty własnych pracowników cytujących w tym względzie Biblię). Po kompromitujących manipulacjach w tekście zostaje zająć się już tylko jednym – uzasadnieniem autora, który (nie przeczę) zajął się istotą sprawy. Staje bowiem konsekwentne pytanie: Czy „homofob, antysemita, antyszczepionkowiec czy rusofil" (tak sobie wyobraża Was, czytelników tego tygodnika, redaktor z „Wyborczej") musi mieć na czym siedzieć? I autor udziela odpowiedzi jednak wymijającej, która zamienia się w… reklamę fotela Ikea: jest to tak wygodny mebel, że nawet homofob antysemita może zechcieć na nim przycupnąć do lektury swych „trujących pisemek". Mamy więc takie sado-maso, kij i marchewkę wystawione Ikei: patrzcie, pobłądziliście, ale lubimy wasze mebelki, a więc jak się już ogarniecie, to zapraszamy do nas, na poprawnościowe łamy.

POZIOM OSTATECZNY

Tak właściwie trend przeszedł obecnie na wyższy, trzeci poziom, od kiedy przyszła nowa władza, napadła na media publiczne tak bardzo, że PiS schował się do jedynej enklawy medialnej, czyli Telewizji Republika. To tam przeniósł się porzucony przez publiczne media widz, co zaowocowało skokowym wzrostem zasięgu, gdyż połowa (głosującej) Polski ostała się bez przekaziora. Media Polski uśmiechniętej od razu wywąchały zagrożenie, że za takim widzem przejdą i budżety reklamowe. I skorzystała z pierwszej lepszej okazji.

Trzeba wiedzieć, że nie do końca musiano czekać na pretekst. Od dawna rynek reklamowy jest sprofilowany na kierunek liberalny, czego dowodem była przez dziesięciolecia np. taka „Wyborcza", która miała zasięgi góra kilkunastoprocentowe, a udział w rynku reklamy prasowej mocno powyżej połowy. Cud ten tłumaczono, wywijając fikołki, że to wśród czytelników „GW" kumulują się tuzy konsumpcji i stąd taka dysproporcja. Tak? Przecież statystyczny czytelnik „GW" to raczej aspirujący inteligencik z oświaty, co najwyżej lumpenproletariat z niskich warstw korpo, a nie są to Himalaje konsumenckiego szaleństwa. Jednak kasa szła w tamtą stronę. I tak samo w innych mediach. I stało się tak, jak kiedyś w Stanach przed przeprofilowaniem się FOX TV – wszystkie media były liberalne, jakby konserwatyści nie kupowali mydła czy samochodów. Teraz tak samo jest u nas, zwłaszcza po zmianie władzy.

PiS tego przez osiem lat nie rozumiał. Był jeszcze z głową w Gutenbergu, myślał, że wystarczy „usiąść" na jakimś medium, najlepiej za darmo, czyli na publicznym, by znaleźć ideologiczne dotarcie do rynku elektoratu. Zaniedbał kompletnie relacje z rynkiem reklamowym, również od strony klientów, z którymi przez osiem lat mógł przecież grać na wielu fortepianach. Ale nie – alternatywy mediów prywatnych nie stworzył, relacji reklamowych nie zawiązał – został się z tą Telewizją Republika wystawiony na ekspozycje poprawnościowe.

I wystarczył tylko pretekst z Janem Pietrzakiem, który w Republice sprzedał bon mocik o obozach koncentracyjnych, którego czepiły się rzepy medialnej konkurencji. I się zaczęło. Zaczęto prokurować całe listy reklamodawców Republiki, które miały zawstydzić reklamodawców, oburzać ich klientów, że śmią ze swym towarem przebywać w takim towarzystwie. Pałeczkę przejęła tu „Wyborcza", co jest dowodem już kompletnej dezynwoltury, gdyż akurat medium nie wolno tego robić. Nawet na Zachodzie tego rodzaju kapusiowskie cele ukrywane są pod pozorem funkcjonowania jakichś NGO-sów strzegących – uwaga, uwaga! – wolności słowa. A u nas robi to medium, w dodatku aspirujące do wyroczni moralnej.

WYCINANIE KONKURENCJI

Czemu medium nie może tego robić? Ano dlatego, że istnieje ogromna pewność, że tu nie chodzi o morales, ale o wycinanie konkurencji. No, bo to dane medium kapusiowskie decyduje, co takiego ma być nieprawomyślne, i staje się tematem walenia w poprawnościowe bębny. A jak się dany reklamodawca nie przestraszy i nie pokaja, to i dane medium kapujące może się zabrać za takiego przedsiębiorcę. A tam, jak wszędzie, nawet w Agorze, można znaleźć przeróżne rzeczy. I anonimowych sygnalistów, i mobbingującego szefa, niedowartościowaną tęczowość czy papier do drukarki ociekający ukraińską krwią, bo kupowany od onucowego dystrybutora. A trzeba nam wiedzieć, że taka prasa – trzymając się tropu kapusiowskiej Agory – może i słabnie zasięgowo, ale wciąż jest mocna w kreowaniu, a zwłaszcza rujnowaniu wizerunku.

Teraz mamy nową odsłonę tego trendu, wyższy poziom wzmożenia. Złożyły

eprasa.pl bcaf610a37

się na to dwa czynniki, a wszystkie lądujące w jednym miejscu – Kanale Zero. Rzutki dziennikarz Stanowski założył taką nowoczesną telewizję youtuberową i się zaczęło. Po prostu pojawił się nowy gracz, pretendent do budżetów reklamowych o zasięgach przewyższających wiele programów telewizyjnych, o prasie już nie wspominając. I trzeba się było gościem zająć. Wiadomo – do domów mediowych się poszło, ale trzeba było zajść nowego od strony reklamodawców szantażowym trickiem. Zaczęło się od wywiadu z Rafałem A. Ziemkiewiczem, gdzie ten w ponaddwugodzinnej rozmowie miał 10 sekund niepoprawnościowej słabości i nazwał posłankę PO, uświęconą samobójczą śmiercią swego syna, patusiarą. Tu zleciało się całe grono mlaskaczy, ale temat zrobił się polityczny, nie reklamowy. Od czegoś trzeba przecież zacząć.

Media liberalne i ich płatni moralizatorzy mieli pewien kłopot, z którego wyszli za pomocą sztuczki z Ziemkiewiczem. Właśnie dzień przed „patusiarskim" wywiadem odbyła się na Kanale Zero debata kandydatów na prezydenta Warszawy, na którą nie raczył przybyć główny pretendent, kandydat do reelekcji – Trzaskowski. I zaczęła się niepotrzebna dyskusja, czy to warto tak lekceważyć towarzystwo, czy to nie jest pokaz buty, skoro debata zebrała z milion widzów, którzy mogli poczuć się olani przez kandydata tak pewnego swego zwycięstwa, że się nie pofatygował o tym poinformować swych wyborców w debacie. Trzeba było jakoś z tego wyjść i tu pojawił się Ziemkiewicz. Okazało się, że Trzaskowski miał rację, że nie przyszedł. No bo jak można chodzić do takiego kanału, gdzie obraża się ofiary PiS-owskiego hejtu w żałobie? No i wyszło, że pan Rafał (ten od prezydenta) ma instynkt, że nie zaszczycił takiego medialnego ścieku. Tyle jeśli chodzi o straszenie ewentualnych gości. Mają nie przychodzić, bo to wstyd, a kanał pozbawiony osobistości padnie z powodu nieaktrakcyjności. Takie combo. Ale przyszło się przenieść na właściwe pole, czyli na kasę.

STANOWSKI JAKO CZARNY LUD

„Wyborcza" zaatakowała samego Stanowskiego, za jego nieprawomyślne życie, grzebiąc w papierach nawet sprzed kilkunastu lat. A jak chodzi o risercz, to nie ma zmiłuj, wszystko się wyciągnie. Zaczęło się wytykanie wszelkich wad nowego gracza, gdzie symetryzm był tylko przygrywką do nudnych i powtarzalnych zarzutów wagi ciężkiej – mizoginizmu, prawicowości, wspierania PiS-owców, poniżania tęczowości i co tam na Czerskiej jeszcze się roi dziennikarzom. Za wstępnymi artykułami demaskacyjnymi udali się dziennikarze niższego płazu – ci pisali donosiki (wiadomo – na czymś trzeba piórka naostrzyć) – do reklamodawców z zapytaniem (ja tylko pytam!), czy wiedzą o tym, w jakim to medium się reklamują, bo taki Stanowski to o kobietach się wyrażał. A skoro się reklamujecie, to może wy tam w tej firmie tacy sami? A czy wiedzą o tym wasi klienci? I tak w koło Macieju. Fajna robota, taka dziennikarska i pewnie o tym uczyli na studiach Żakowscy i inni koryfeusze wolnego słowa.

Reklama jest częścią działalności gospodarczej, a także jedną z form emanacji wolności słowa

Stanowski, jak to taktyczny wyga, przerobił te kalumnie na swoje programy, czym dobił do kilku milionów widzów, kompletnie rozsmarowując wielopoziomową intrygę szytą grubymi nićmi na Czerskiej. Rzucił więc wyzwanie zawodnikom wagi ciężkiej, bo teraz rozdzwoniły się na bank telefony u sponsorów Kanału Zero, czy wiedzą, co robią, i że „sponsorowaliście, sponsorowaliście i jesteście na liście". Zobaczymy, czy mu się powiedzie, bo może to być – jak dobrze pójdzie – pewien przełom w zblatowanym rynku, który za pieniądze (czasem zupełnie niewinnych) reklamodawców robi sobie polityczną dintojrę.

Tyle nasze podwórko, ale trzeba to skończyć refleksją natury ogólnej, bo mylą się nam znaczenia. Reklama jest częścią działalności gospodarczej, ale – co pewnie jest zaskoczeniem dla niektórych – także jedną z form emanacji wolności słowa. Przedsiębiorca ma prawo używać mediów w sposób swobodny do komunikacji z wybranymi grupami klientów. Jeżeli jest to zgodne z prawem, to nikt nie może mu tego zabronić. Prawa do nakazu prawomyślności trudno (na razie) byłoby znaleźć, a więc poruszamy się w rejonach miękkich. Niedopowiedzeniach, ostracyzmie, wizerunku. Z zasady zawartej w idei wolności słowa komunikacja reklamowa może się odbywać w sposób etyczny tylko wtedy, kiedy między treścią dziennikarską a przekazem reklamowym istnieje chiński mur. Tylko wtedy można mówić o niezależnych mediach i reklamie, która nie miesza się z obiektywizmem sądów dziennikarskich.

HARACZ

Opisany proceder jest zaprzeczeniem tej podstawowej idei w stopniu czystym. Reklama staje się haraczem, który wymuszają na przedsiębiorcach media. Tu już nie chodzi o dotarcie do swego klienta – masz się opłacać nam, bo jak nie, to się okaże, że masz za uszami. A któż nie jest grzeszny przed bożkiem poprawności i niewinny przed medialnym okiem Saurona? I tego mało – masz nie tylko nam dawać, ale my ci powiemy, komu masz nie dawać. Będziemy do tego używać batoga definiowanej przez nas sytuacyjnie poprawności politycznej. A jako że jesteśmy tutaj busolą, to właściwie kasę masz dawać tylko nam, bo inni są tu grzeszni i powiemy ci (na pewno publicznie), którzy i za co.

Taki proceder pośrednio prokuruje zglajchszaltowane media. Odbiorca dostanie tylko jeden przekaz. Na inny środków w reklamie nie dadzą przedsiębiorcy, o co zadba dyżurujący oddział tropicieli konkurencyjnych wizji świata, który chodzi w glorii dziennikarstwa śledczego, jest zaś w rezultacie ostatnim gwoździem do trumny dziennikarstwa jako (kiedyś) zawodu społecznego zaufania. Odbiorca dostanie zatem tylko jeden przekaz, a jako że coś tam wiedzieć chce, to się przestawi na monopolistycznie dominujące źródło informacji i prędzej lub wolniej, jak to człowiek, namagnesuje się nowym, niewidocznym dla niego w swej bezalternatywności, przekazem. I w ten sposób pieniądz zadecyduje o wszystkim, o czym uczą nas media, z tym jednym na czele, którego dewizą jest: „Nam nie jest wszystko jedno". Tak, to widać, słychać i czuć.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl bcaf610a37

SENSACYJNA, OPARTA NA FAKTACH

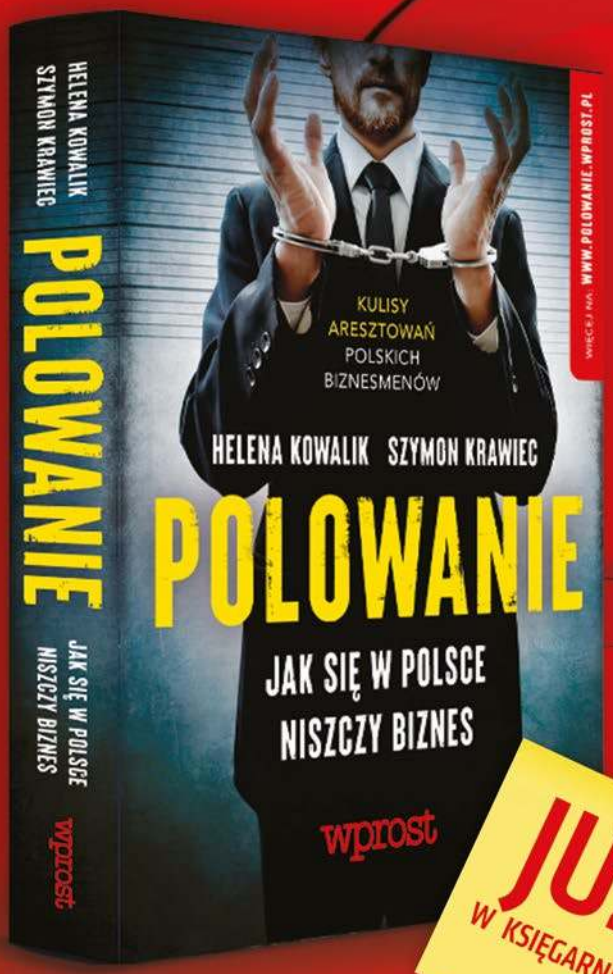

KULISY GŁOŚNYCH SPRAW I ARESZTOWAŃ

WSTRZĄSAJĄCE RELACJE

ROZMOWY Z EKSPERTAMI I LUDŹMI Z WYMIARU SPRAWIEDLIWOŚCI

PONAD 500 NAZWISK I FIRM

AUTORAMI SĄ DOŚWIADCZENI DZIENNIKARZE ŚLEDCZY

JUŻ W KSIĘGARNIACH

Bezprawne areszty, popisowe zatrzymania, stawianie zarzutów bez pokrycia w dowodach. Tasiemcowe rozprawy sądowe, prawdziwe historie o twardym zetknięciu się z więziennymi realiami.

Bohaterami tej książki są ludzie sukcesu, rozpoznawalni biznesmeni z pierwszych stron gazet, jedni z najbogatszych Polaków, którzy w jednej chwili znaleźli się w środowisku zupełnie dla siebie obcym, znanym im dotąd jedynie z filmów kryminalnych.

Zamawiając książkę wraz z PDF na stronie

KSIAZKA.WPROST.PL

Otrzymasz gratis praktyczny poradnik stworzony w oparciu o porady adwokatów i osobiste relacje osób zatrzymanych.

W przypadku chęci zakupu większej liczby książek, prosimy o kontakt +48 539 953 631 , +48 508 040 664

PARTNERZY:

Polska Rada Biznesu · ZPP · WEI · Fundacja Court Watch Polska · Fundacja Pomyśl o przyszłości · Comparic.pl · My Company Polska · Towarzystwa Biznesowe · BRIEF

eprasa.pl bcaf610a37

FOT. FRANCO ORIGLIA/GETTY IMAGES

eprasa.pl bcaf610a37

Jan Paweł II i złudzenie Unii

Paweł Chmielewski

Dwudziesta rocznica wejścia Polski do Unii Europejskiej nie została w szczególny sposób zauważona przez hierarchów Kościoła katolickiego. Pewnym wyjątkiem było wystąpienie metropolity Katowic Adriana Galbasa, który 3 maja w swej katedrze stwierdził, że dzięki UE Polska jest bezpieczniejsza, również militarnie, a jako naród możemy wiele nauczyć się od mieszkańców „Berlina, Paryża, Rzymu, Pragi, Madrytu czy Lizbony", bo są to społeczeństwa „w większości chrześcijańskie, a przynajmniej o chrześcijańskich korzeniach"

Dziwne, że inni biskupi nie wygłosili podobnych peanów na cześć Unii. W końcu 20 lat temu to właśnie oni skutecznie zachęcili Polaków do głosowania za przystąpieniem do Wspólnoty, stosując tę samą euroentuzjastyczną narrację.

1 czerwca 2003 r., w niedzielę poprzedzającą referendum akcesyjne, Konferencja Episkopatu Polski poleciła odczytać we wszystkich kościołach list, w którym zachęcono Polaków do udziału w głosowaniu i do poparcia akcesji. Biskupi wprawdzie nie wezwali wprost do głosowania na „tak", ale przypomnieli, że za wejściem do UE opowiada się sam papież Jan Paweł II, a wszyscy katolicy „powinni uwzględnić" jego głos. Wydźwięk polityczny listu był oczywisty. Polacy głos Karola Wojtyły rzeczywiście uwzględnili; dzięki niezłej frekwencji referendum się powiodło i Polska przystąpiła do UE. Stanowisko papieża dla wielu wahających się wyborców było kluczowe: czytelnicy pamiętają na pewno ludzi przekonanych, że nawet jeżeli Wspólnota wydaje im się złą organizacją, to trzeba zagłosować za akcesją, skoro wyraźnie tego oczekuje od nich papież.

A Karol Wojtyła tego rzeczywiście chciał. Kilka tygodni przed referendum stwierdził kategorycznie, że Polska i Unia Europejska nawzajem się potrzebują. Nieco później zasugerował, że akcesja do UE jest swoistą koniecznością dziejową. Wygłosił wtedy szeroko komentowane zdanie: „Od unii lubelskiej do Unii Europejskiej". Prounijną narrację Wojtyła prezentował konsekwentnie przez długie lata, od rozwiązania Związku Sowieckiego, deklarując bardzo jasno swoje poparcie dla przystąpienia Polski do UE w wielu wystąpieniach, polskich i zagranicznych. Prawda, że formułował przy tym zastrzeżenia: mówił, że wchodząc do Unii, należy zachować katolicką tożsamość i dzielić się nią z innymi. Co miałoby to jednak znaczyć w praktyce? Polska akcesja do Unii nie była obwarowana żadnymi specjalnymi warunkami gwarantującymi nam niezależność duchową, kulturową i intelektualną od Zachodu. Jakkolwiek ostro to może zabrzmieć, papieskie zastrzeżenia w świecie twardej i realnej polityki były tylko pięknie brzmiącymi frazesami. To, co miało znaczenie, ograniczało się do powiedzenia Unii „tak".

DO UNII, ALE „Z NASZYMI WARTOŚCIAMI"

Narrację za papieżem przyjęli polscy biskupi; nic w tym zaskakującego, bo w latach 90. i 2000. Konferencja Episkopatu w naszym kraju była niemal całkowicie zdominowana przez kościelną i polityczną wizję Karola Wojtyły. Niekiedy biskupi euroentuzjazm był wręcz karykaturalny. Prymas Józef Glemp stwierdził np., że to sam „Bóg chce, żebyśmy weszli do Europy"; jak wyjaśniał, w naszej akcesji do UE widzi „rozwój procesu historycznego", którym kieruje opatrzność Boża. Metropolita Lublina abp Józef Życiński twierdził z kolei, że jeżeli Polska nie wejdzie do UE, to stanie się… jak Białoruś. Te słowa padły w 2002 r., trzy lata po przystąpieniu Polski do NATO. Do Unii zatem, ale „z naszymi wartościami"… Nikt nie trudził się nawet, by nadać temu sloganowi jakiekolwiek ramy prawne. Zwykła retoryka, której jedynymi skutkami były uśpienie sumień i próba przekonania wbrew oczywistym faktom, że UE nie jest wcale tak antychrześcijańskim tworem politycznym.

Powtórzę: oczywistym faktom; bo nie jest prawdą, by w roku 2003 nie było jeszcze wiadomo, w którym kierunku rozwija się Unia. Czytelnik pozwoli, że pozostawię na boku zagadnienia gospodarcze i ściśle polityczne; w końcu chodzi nam o Kościół – a prymarnym zadaniem Kościoła katolickiego jest troska o dusze. Czy w 2003 r. członkostwo Polski w Unii Europejskiej rokowało w tym aspekcie dobrze? Spójrzmy choćby na tak kluczową kwestię, jak prawo każdego

eprasa.pl bcaf610a37

człowieka do życia. W Polsce wyglądało to nawet nieźle, choć niedoskonale; zaledwie kilka lat wcześniej Trybunał Konstytucyjny odrzucił możliwość zabijania dzieci poczętych z tzw. powodów społecznych. W Unii było jednak inaczej. W przededniu referendum akcesyjnego od wielu lat swoboda aborcyjna obowiązywała we wszystkich znaczących państwach Wspólnoty – od Hiszpanii i Włoch przez Francję, Belgię i Holandię, aż do Niemiec. Co więcej, w 2001 r. Holendrzy przyjęli prawo eutanazyjne, wyraźnie nawiązując do XIX- i XX-wiecznej myśli eugenicznej. Nie spotkało się to z potępieniem wiodących instytucji unijnych. Jan Paweł II i polscy biskupi kierowali nas zatem do politycznej rodziny, która całkowicie lekceważy przyrodzoną godność człowieka – godność, o którą tak głośno papież Wojtyła upominał się w „Evangelium vitae" z 1995 r.

Zasadniczo jasna była też kwestia polityki rodzinnej. W Belgii dokładnie kilka dni przed polskim referendum weszła w życie ustawa legalizująca małżeństwa tej samej płci. W wielu kolejnych krajach dyskutowano analogiczne rozwiązania; związki jednopłciowe można było zawierać m.in. w najważniejszych dla UE Francji i Niemczech. Europejską normą były feministyczne polityki odrywania matek od dzieci i aktywizacji zawodowej kobiet. Skutkiem tych działań była fatalnie niska dzietność utrzymująca się w większości państw zachodnich od kilku dziesięcioleci (w Polsce było jeszcze gorzej; ale akcesja do UE uniemożliwiła choćby próbę zmiany myślenia o zadaniach rodziny).

Unia Europejska w przededniu naszej akcesji wyraźnie opowiedziała się też przeciwko chrześcijaństwu jako takiemu; a nawet przeciwko Bogu. W 2003 r. zaprezentowano projekt konstytucji europejskiej, który nie zawierał żadnego odniesienia do Stwórcy, bo – jak argumentowali eurokraci – pojęcie Boga jest dzielące i nie pasuje do wspólnych wartości europejskich. Polscy biskupi, owszem, krytycznie to komentowali, ale nie wyciągali z tego żadnych wniosków, dalej serwując wyborcom propagandę o „katolickich korzeniach" Unii, którą wykuwać mieli De Gasperi, Schuman i Adenauer. Konsekwentnie pomijano wszystkich bezbożników, komunistów i socjalistów zaangażowanych od samego początku w tworzenie europejskiej wspólnotowości.

Z czego wynikała ta postawa? Jest oczywiste, że Zachód robił wrażenie nie tylko na przeciętnym Kowalskim, lecz także na ludziach Kościoła. Spotkania z biskupami Europy, zagraniczne wyjazdy, jak choćby wizyta przedstawicieli KEP w Brukseli w 1997 r., pamięć o czasach sowieckich i ścisłe skojarzenie członkostwa w Unii Europejskiej z ostatecznym wyrwaniem się z dziedzictwa komunizmu – to wszystko miało swoje zrozumiałe oddziaływanie. Jan Paweł II przez dziesięciolecia mógł patrzeć na różnicę poziomu życia mieszkańców państw Wspólnoty i jego rodaków; piszcząca polska bieda lat 90. domagała się odpowiedzi, a Unia, owszem, wydawała się łatwym, skutecznym i szybkim rozwiązaniem, które pomoże zaradzić gigantycznym problemom społecznym.

W kościelnym parciu do UE jest coś więcej niż tylko zauroczenie dobrobytem. To przede wszystkim zasadnicze niezrozumienie, że fundamenty ideowe współczesnego Zachodu są po prostu zepsute i z gruntu antychrześcijańskie

ODRĄBANE KORZENIE CHRZEŚCIJAŃSKIE

To jednak jeszcze nie wszystko. Sądzę, że w kościelnym parciu do UE jest coś więcej niż tylko zauroczenie dobrobytem. To przede wszystkim zasadnicze niezrozumienie, że fundamenty ideowe współczesnego Zachodu są po prostu zepsute i z gruntu antychrześcijańskie. To wreszcie przekonanie, że z nowoczesnymi ideami politycznymi i filozoficznymi Kościół może nie tylko wejść w dialog, lecz także po prostu się porozumieć, z obopólną korzyścią.

Wszyscy papieże po Piusie XII prezentowali to głęboko mylne przeświadczenie. Jan XXIII w encyklice „Pacem in terris" rozpoczął współpracę Kościoła z Organizacją Narodów Zjednoczonych, a Paweł VI prezentował optykę pojednania katolickiej „religii Boga" z oświeceniową, rewolucyjną „religią człowieka". Jan Paweł II mógł odrzucać rewolucję seksualną 1968 r., ale pod wieloma względami był zdeterminowanym zwolennikiem kursu wyznaczonego przez poprzedników. Nie jest przypadkiem, że to właśnie on wyniósł do godności kardynalskiej takich ludzi jak Walter Kasper, Godfried Danneels, Karl Lehmann, Henry de Lubac czy Carlo Maria Martini: ludzi, dla których rewolucja oświecenia była nie tylko stałym partnerem dialogu, lecz także źródłem wielu inspiracji teologicznych i eklezjologicznych. Duchowni tej formacji intelektualnej i moralnej byli całkowicie przekonani, że Kościół może zbudować swoją przyszłość w ścisłym partnerstwie z relatywizmem i liberalizmem, dominującymi ideami rewolucji. Unia Europejska jest jedną z najważniejszych politycznych emanacji tych prądów; jako taka konsekwentnie musiała stać się naturalną płaszczyzną odniesienia dla wszystkich ludzi Kościoła zauroczonych oświeceniem. Jan Paweł II nie mógł odciąć się od UE, bo najpierw musiałby odciąć się od swojego własnego wykształcenia i kościelnych elit posoborowych. Z tych samych przyczyn nie mogli zrobić tego polscy biskupi.

Przeszłości już nie zmienimy; zawsze możemy jednak wyciągnąć z niej wnioski. Na razie refleksji nie ma; wciąż brakuje nam zrozumienia tego, czym tak właściwie jest proces rewolucyjny, który od z górą dwóch stuleci przekształca dawny świat chrześcijański w jego antytezę. Bo przecież nie jest tak, jak chciałby tego arcybiskup Katowic: w Berlinie, Paryżu i Rzymie nie mieszkają już ludzie o chrześcijańskich korzeniach. Nie; ci ludzie te korzenie odrąbali siekierami – i z pełną świadomością budują przyszłość w opozycji do własnej tradycji. Polska – także dzięki Karolowi Wojtyle i najważniejszym członkom Episkopatu – od 20 lat robi to samo. Będąc w jednej unijnej rodzinie politycznej, inaczej po prostu nie może.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl bcaf610a37

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

W PREZENCIE

KSIĄŻKI

TEKSTY Z DODATKÓW SPECJALNYCH TYGODNIKA „DO RZECZY": „PRAWNA OBRONA PRZED POLONOFOBIĄ" + „PRAWNA OBRONA WOLNOŚCI SUMIENIA I IDEOLOGIA LGBT"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~711 ZŁ~~

249,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 462 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl bcaf610a37

Wszystkie ślady prowadzą do Wuhan

Jakub Wozinski

Przeprowadzone przez Roberta F. Kennedy'ego Jr. imponujące dziennikarskie śledztwo ukazuje pandemię koronawirusa jako zaplanowaną akcję, za którą stali służby specjalne, politycy i miliarderzy

W opublikowanej niedawno książce pt. „The Wuhan Cover-Up: And the Terrifying Bioweapons Arms Race" („Zatuszowane Wuhan: oraz przerażający wyścig zbrojeń w zakresie broni biologicznej") bratanek zamordowanego w 1963 r. prezydenta USA zgromadził w jednym miejscu ogromną liczbę faktów, o których ciężko usłyszeć w serwisach informacyjnych. Po jej lekturze można sobie jedynie zadawać pytanie, dlaczego opinia publiczna na całym świecie jest wciąż tak bardzo apatyczna w zakresie dociekania przyczyn pojawienia się koronawirusa pomimo tego, że doprowadził on do śmierci, utraty zdrowia lub materialnej ruiny tak wiele osób.

Robert F. Kennedy Jr. miał bez wątpienia bardzo osobisty powód do napisania tej książki. Od dawna jest wszak zwolennikiem tezy, że za zabójstwem jego wuja stało CIA. Rodzinna krzywda sprawiła, że od początku swojej kariery działacza społecznego Kennedy przeciwstawiał się wpływowym grupom interesów, a w szczególności przemysłowi zbrojeniowemu oraz służbom specjalnym. Swego rodzaju ukoronowaniem jego wieloletniej działalności stał się start w tegorocznych

eprasa.pl bcaf610a37

FOT. ADOBE STOCK

wyborach prezydenckich, w których jest kandydatem niezależnym. Szanse na zwycięstwo ma wprawdzie iluzoryczne, ale jego kandydatura nie przeszła bez echa.

Kennedy już w 2021 r. wydał książkę pt. „The Real dr Fauci", opisującą finansowe i polityczne machinacje towarzyszące COVID-19. Sprzedała się w ponad milionie egzemplarzy i pozwoliła złamać wiele tematów tabu dotyczących pandemii (za co spotkało go m.in. usunięcie z Instagrama). W najnowszej książce Kennedy postanowił ukazać operację „koronawirus" w szerszym kontekście historycznym oraz ostrzec czytelników przed całkowitą bezkarnością środowisk, które dla własnych korzyści finansowych pozamykały cały glob w lockdownach.

W ŚLADY MENGELE I ISHIEGO

Szczególnie cenne w „The Wuhan Cover-Up" jest przedstawienie niezwykle obszernego historycznego kontekstu uczynienia z badań nad bronią biologiczną niemal centralnego elementu polityki bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych oraz działalności służb specjalnych. Kennedy sięga wstecz aż do czasów drugiej wojny światowej, gdy w reakcji na stosowanie broni biologicznej przez Niemcy i Japonię Amerykanie powołali w 1941 r. własne Wojenne Biuro Konsultantów, które stało się zaczynem dla programu pochłaniającego każdego roku ogromne środki z pieniędzy podatnika.

Mało kto dziś zdaje sobie sprawę z tego, że po zakończeniu wojny amerykańskie państwo zamiast wymierzyć kary sadystycznym pseudolekarzom i naukowcom, postanowiło zatrudnić ich w swoich laboratoriach. USA przejęły w całości m.in. laboratoria i wyniki badań mikrobiologa Shiro Ishiego, odpowiadającego za dziesiątki tysięcy zgonów i przeprowadzanie nieludzkich eksperymentów. Zarządzana przez Ishiego Jednostka 731 kontynuowała pracę pod amerykańskim zarządem w tajnych laboratoriach w Azji Wschodniej, tworząc tym samym precedens dla Wuhańskiego Instytutu Wirusologii.

W ramach operacji „Spinacz" po 1945 r. do USA trafiło także ponad 1,6 tys. nazistowskich chemików, biologów i inżynierów, którzy pomogli uczynić amerykański program broni biologicznej najbardziej zaawansowanym na świecie. Rozwojowi badań w tym zakresie sprzyjała zimna wojna i już w 1969 r. Pentagon przeznaczał rocznie 300 mln dol. na produkcję broni chemicznej oraz biologicznej. Budżet ten wykorzystywano m.in. do przeprowadzania tajnych operacji na obywatelach USA. W ramach jednej z nich w 1955 r. w zatoce Tampa Bay rozpylono bakterię wywołującą ostry kaszel, a o całej sprawie opinia publiczna dowiedziała się jedynie dzięki artykułowi z „Washington Post" w 1979 r.

Rozwój tajnych jednostek zawisł na włosku w następstwie wojny w Wietnamie. Rozpylając na masową skalę Agent Orange i inne herbicydy, Amerykanie doprowadzili do nieludzkich szkód na zdrowiu oraz śmierci nawet kilkuset tysięcy osób. Prezydent Richard Nixon wprowadził w 1969 r. zakaz stosowania broni chemicznej i biologicznej, ale w reakcji na to CIA jedynie przesunęło swoje laboratoria do działu „ściśle tajne", zasłaniając się koniecznością rozpoznawania środków wykorzystywanych przez przeciwników.

Jak przekonuje Kennedy, przez całe dziesięciolecia prace nad bronią biologiczną postępowały niezakłócone, ponieważ amerykański deep state zdołał wypracować procedury pozwalające omijać całą kwestię szerokim łukiem. CIA mogło prowadzić coraz bardziej skomplikowane badania oraz rozwijać technologie niezakłócone, ponieważ nowoczesna broń biologiczna umożliwiła przeniesienie dotychczasowej praktyki ingerowania w wewnętrzną politykę innych państw na zupełnie nowy poziom. Jako przykład Kennedy podaje wojnę w Iraku, w której jednym z głównych pretekstów do ataku było stosowanie przez Saddama Husajna broni chemicznej. Irak nie miałby jednak w ogóle do czynienia z wąglikiem czy aflatoksyną, gdyby nie sprzedali mu ich Amerykanie.

NEOKONSERWATYŚCI I DOKTOR FAUCI

Kilkudziesięcioletnie doświadczenie amerykańskiego deep state w zakresie stosowania broni biologicznej i chemicznej zostało wreszcie w pełni wykorzystane na początku drugiego tysiąclecia. W czerwcu 2001 r. finansowane m.in. przez Fundację Gatesów John Hopkins Center for Health Security zorganizowało w bazie lotniczej Andrews symulację o nazwie „Dark Winter", zakładającą atak na USA z użyciem ospy przeprowadzony przez Saddama Husajna. Ostatecznie zamach na Amerykę przeprowadził ktoś zupełnie inny, lecz przyjęte w czasie Dark Winter wnioski okazały się zaskakująco zbieżne z tym, co amerykańskie państwo uczyniło po atakach z 11 września.

Zazwyczaj uważa się, że ograniczające wolności osobiste Patriot Act oraz cała seria ustaw wzmacniających kompetencje rządu federalnego zostały uchwalone w następstwie ataków na World Trade Center. Decydujące były jednak tajemnicze koperty z wąglikiem, które pojawiły

eprasa.pl bcaf610a37

się w kolejnych tygodniach, doprowadzając do zbiorowej paniki. Administracja Busha wykorzystała ten moment nie tylko do przeforsowania swoich kontrowersyjnych propozycji, lecz także do bezprecedensowego wzrostu nakładów na badania biologiczne. To właśnie wówczas na sam szczyt programu badań w tym zakresie został wyniesiony dr Anthony Fauci, mianowany przez Dicka Cheneya szefem nowo utworzonego Narodowego Instytutu Alergii i Chorób Zakaźnych. Piastując tę funkcję, Fauci został faktycznym „carem broni biologicznej".

W 2003 r. Bush Junior zarezerwował dla badań koordynowanych przez Fauciego przedsięwzięć roczny budżet w wysokości 2 mld dol.; w 2022 r. prezydent Joe Biden na specjalny fundusz Pandemic Preparedness and Response przeznaczył aż 88 mld dol. w pięcioletnim budżecie. Puchnący z każdym rokiem budżet badań biologicznych wyniósł tym samym Fauciego do rangi pana życia i śmierci całego środowiska. Fauciemu proponowano wielokrotnie przyjęcie posady szefa NIH (National Institute of Health) z budżetem ponad 30 mld dol. rocznie, lecz zawsze odmawiał, gdyż jego realne wpływy daleko wykraczają poza sprawowane oficjalnie funkcje. Robert Kennedy zauważa, że dysponując tak ogromnymi publicznymi środkami, Fauci i jego środowisko całkowicie podporządkowali sobie przez ostatnie lata świat nauki i medycyny. Rząd federalny finansuje obecnie aż 60 proc. wszystkich badań na uczelniach, dlatego nikt nie odważy się zadzierać z najlepiej zarabiającym urzędnikiem w całych Stanach (Fauci pobierał pensję wyższą niż sam prezydent).

Na przestrzeni lat Anthony Fauci koordynował tworzenie skomplikowanej sieci publicznych instytucji, prywatnych ośrodków badawczych oraz firm zewnętrznych, które w czasie pandemii umożliwiły narzucenie całemu światu jednolitej narracji medialnej i naukowej, nakręcającej jednocześnie zyski wybranego grona beneficjentów. W książce Kennedy'ego nie mogło oczywiście zabraknąć Billa Gatesa, który sam chwalił się w mediach, że środki ulokowane w Gavi czy też Globalnym Funduszu Zwalczania AIDS, Gruźlicy i Malarii to jego najlepsza inwestycja w ostatnich 20 latach. Jego szczepionkowy biznes pozwolił mu zarobić 200 mld dol. przy początkowym wkładzie wynoszącym zaledwie 10 mld dol. Założyciel Microsoftu rzeczywiście miał „nosa" do pandemicznych inwestycji, o czym świadczy choćby zakup pakietu akcji nikomu szerzej wówczas nieznanego start-upu Biontech we wrześniu 2019 r. za 55 mln dol. W sierpniu 2021 r. te same akcje były już warte 1,3 mld dol., na co ogromny wpływ miały rekomendacje dla szczepionki Pfizer-Biontech udzielone przez sowicie dotowaną przez tego samego Gatesa Światową Organizację Zdrowia.

WZMOCNIENIE ZDOLNOŚCI TRANSMISJI

O skorumpowanej WHO napisano już wiele w innych pracach. Duża wartość pracy Kennedy'ego polega natomiast na tym, że zawiera drobiazgowy opis, jak doszło do tego, że w chińskim mieście Wuhan opracowywany przez naukowców podległych Fauciemu wariant koronawirusa wydostał się z laboratorium.

Wiele wskazuje na to, że bezradność służb nie jest wcale przypadkowa, lecz jak najbardziej celowa

Finansowane przez amerykańskiego podatnika prace nad wzmocnieniem zdolności transmisji (gain-of-function) wirusów były prowadzone co najmniej od 2005 r. NIH przekazało brytyjskiemu zoologowi Peterowi Daszakowi środki na badania na temat nietoperzy jako naturalnych nośników koronawirusów, które prowadził wspólnie z głównym specjalistą z Wuhańskiego Instytutu Wirusologii, Shi Zhengli. Co ciekawe, prace przy budowie nowego laboratorium w Wuhan, mającego stanowić wizytówkę chińskiej myśli biologicznej, zostały w 2005 r. powierzone francuskiej firmie bioMérieux, której prezesem był Stéphane Bancel. Jego sfinansowany przez amerykańskie państwo start-up Moderna okazał się później jedną z kilku firm, które zarobiły najwięcej na produkcji szczepionek przeciw COVID-19.

Wedle ujawnionych w 2021 r. danych, począwszy od 2012 r., amerykański rząd zlecił chińskim instytucjom badania na łączną kwotę 46 mln dol., z czego aż 27 badań zamówił NIAID kierowany przez dr. Fauciego. Część środowiska naukowego była jednak zszokowana tym, że Fauci zleca badania nad wzmocnieniem zdolności transmisji, na dodatek powierzając tak ryzykowne przedsięwzięcie obcemu państwu. W efekcie prezydent Obama zadecydował w październiku 2014 r. o wprowadzeniu moratorium na badania nad wzmocnieniem zdolności transmisji nowych pandemicznych patogenów.

Zakaz Obamy sprawił, że rola laboratorium w Wuhan wzrosła jeszcze bardziej. Doktor Fauci ponownie skorzystał z pomocy Petera Daszaka, który szefował nowojorskiej organizacji EcoHealth Alliance. Federalne agencje, Pentagon, instytucje podległe Fauciemu, a także fundacja Gatesów wpompowały w nią poprzez liczne granty znaczne środki, które zostały następnie wykorzystane do kontynuacji prac nad koronawirusami w Wuhan. Robert Kennedy stawia dodatkowo hipotezę, że bardzo pomocne w tym kontekście były starania CIA, aby przy pomocy laboratorium w Wuhan Amerykanie mogli skutecznie rozwinąć akcję wywiadowczą na terenie Chin. Z tego powodu pomimo obowiązującego moratorium nikt nie czepiał się prowadzonych w Wuhan prac, choć w periodykach naukowych tego okresu pojawiały się kolejne prace naukowców traktujące o transmisji koronawirusów z nietoperzy na ludzi. Jedne z najbardziej zaawansowanych eksperymentów w zakresie wzmacniania zdolności transmisji wirusów znalezionych u nietoperzy przeprowadzał także dr Ralph Baric z Uniwersytetu Karoliny Północnej, który również pobierał środki od dr. Fauciego.

WIĘCEJ NIŻ SYMULACJA

Wspomniana już Moderna opatentowała ogólną koncepcję stosowania białka kolczastego w szczepionkach przeciwko koronawirusowi już w 2016 r. i zdaniem Kennedy'ego nie było to wcale przypadkowe. W świetle zaprezentowanych przez niego informacji przebieg pandemii był już opracowany na dłuższy czas przed lutym 2020 r. W czasie pandemicznej symulacji „Event 201" zorganizowanej w październiku 2019 r. w Nowym Jorku zaprezentowano zdaniem autora „The Wuhan Cover-up" nawet metodę

eprasa.pl bcaf610a37

przeciwdziałania hipotezie, że wirus mógł się wydostać z feralnego laboratorium. Sponsorowane przez Billa Gatesa, NIH oraz Światowe Forum Ekonomiczne wydarzenie zakładało również, że z powodu nowego patogenu śmierć poniesie 60 mln ludzi na całym świecie.

Kennedy nie przesądza, w jaki dokładnie sposób sztucznie utworzony wirus opuścił laboratorium w Wuhan, lecz zwraca jedynie uwagę na ogromne korzyści finansowe, które środowisko skupione wokół Fauciego i Gatesa odniosło w następstwie pandemii. Pokazuje również, że grupa badawcza Shi Zhengli już na początku 2019 r. dysponowała największą kolekcją koronawirusów, pozyskanych w większości z nietoperzy żyjących w jaskini w Mojiang na południu Chin.

Do rozprzestrzenienia się nowego wirusa mogło dojść zupełnie przypadkowo, lecz autor „The Wuhan Cover-up" zwraca uwagę na niesłychaną bierność amerykańskich służb w zakresie prób wyjaśnienia całego wydarzenia. Posiadając ponad 100 tys. pracowników i dysponując najbardziej zaawansowanymi technikami inwigilacji, agencje wywiadowcze zwyczajnie rozłożyły ręce i przedstawiły nieprzekonujące nikogo wersje. Szczytem wszystkiego było zaś stwierdzenie dr. Fauciego, że strona chińska nie chce podzielić się wynikami swojego śledztwa i dlatego Stany Zjednoczone są bezradne.

Wiele wskazuje na to, że bezradność służb nie jest wcale przypadkowa, lecz jak najbardziej celowa. W poprzedniej pracy pt. „The Real Anthony Fauci" Kennedy pisał o co najmniej kilkunastu pandemicznych symulacjach przeprowadzonych w latach 1999–2019, w których brali udział politycy wysokiego szczebla, pracownicy służb specjalnych, urzędnicy służby zdrowia, naukowcy oraz biznesmeni. Wśród nich była m.in. Avril Haines – była wicedyrektor CIA, która została później mianowana przez Joe Bidena dyrektorem Wywiadu Narodowego oraz specjalnym doradcą do spraw pandemii. Haines wielokrotnie dawała do zrozumienia, że przyczyn pojawienia się koronawirusa nie da się wyjaśnić.

Sam Joe Biden miał również co najmniej kilka powodów, aby nie wymagać od swoich podwładnych nazbyt drobiazgowego śledztwa. Jego syn Hunter inwestował w firmę Metabiota, która na

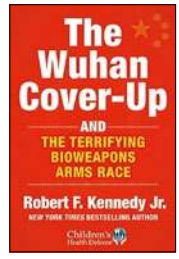

ROBERT F. KENNEDY JR. „THE WUHAN COVER-UP: AND THE TERRIFYING BIOWEAPONS ARMS RACE" SKYHORSE 2023

zlecenie z Pentagonu miała być zaangażowana w badania nad wirusami na Ukrainie i w Gruzji. Gdy informację o tym przekazał w 2022 r. „Daily Mail", amerykańskie służby z miejsca uznały je za nieprawdziwe, jednakże niedawne doniesienia o istnieniu 12 tajnych baz na Ukrainie znacznie uwiarygodniły pierwotne doniesienia. Wiadomo przy tym, że Metabiota utrzymywała bliskie relacje z organizacją EcoHealth Alliance, przy której pomocy dr Fauci i CIA finansowali swoje najbardziej zaawansowane badania.

Równie istotnym elementem całej układanki okazuje się także USAID, czyli Amerykańska Agencja ds. Rozwoju Międzynarodowego, będąca głównym źródłem dla EcoHealth Alliance. USAID niemal od samego początku swojego istnienia służy jako przykrywka dla tajnych operacji. W czasie pandemii odpowiadała za dystrybucję finansowanych przez amerykański rząd programów szczepień na całym świecie, a przed pandemią była największym amerykańskim sponsorem badań prowadzonych w Wuhan.

PYTANIE O CHINY

Dokonując wszechstronnego opisu powiązań finansowych, politycznych i organizacyjnych, Kennedy nie pomija także Chin. W tym aspekcie jego śledztwo napotyka sporą trudność, ponieważ w sposób ewidentny strona chińska miała równie wiele powodów co amerykański deep state, aby przy pomocy pandemii wzmocnić swoją pozycję oraz potężnie się wzbogacić. Autor pisze obszernie m.in. o przejętym przez Chińczyków piśmie naukowym „The Lancet", które zawzięcie zwalczało hydroksychlorochinę oraz dyskredytowało hinduską politykę zdrowotną obchodzącą się bez lockdownów. Wspomina także o wieloletnim programie pozyskiwania przy pomocy grantów całych ośrodków badawczych w krajach zachodnich, przejmowaniu agend ONZ, ambicjach Pekinu w zakresie tworzenia nowoczesnej broni biologicznej, trwającej od ponad 20 lat współpracy komunistycznego rządu z Microsoftem czy też wielkiej skali operacji chińskich służb. Im więcej jednak Kennedy pisze na temat chińskich manipulacji i przemilczeń, tym mniej staje się jasne, kto dokładnie stoi za koronawirusem oraz zgotowaną całemu światu drakońską „polityką pandemiczną".

W efekcie czytelnik „The Wuhan Cover-Up" może czuć spory niedosyt. Kennedy nie odważył się powiązać amerykańskich i chińskich śladów prowadzących do Wuhan, zadowalając się co najwyżej opisem wieloletnich wspólnych badań i projektów. Nie wiadomo tym samym, czy to Amerykanom udało się wykorzystać położone poza swoimi granicami laboratorium do zrzucenia z siebie odpowiedzialności czy to raczej Chińczycy dokonali perfekcyjnej infiltracji zachodnich struktur władzy, aby narzucić światu właściwy sobie sposób totalnej kontroli społecznej. A może w grę wchodzi jeszcze kilka zupełnie innych możliwy scenariuszy? Świetnie wyjaśniając wiele wątków, książka Kennedy'ego sprawia jednocześnie, że tuż po rozwikłaniu wielu ważnych kwestii pojawiają się kolejne pytania, na które autor niekoniecznie udziela odpowiedzi.

Szczególnie pesymistycznym wnioskiem płynącym z lektury „The Wuhan Cover-up" jest natomiast konstatacja, że środowiska, które z całą pewnością były współodpowiedzialne za pandemiczne nadużycia, nie tylko pozostają absolutnie bezkarne, lecz także niemal w biały dzień planują kolejne etapy pomnażającej ich władzę oraz zyski operacji z użyciem broni biologicznej. Oficjalne symulacje zakładające pojawienie się „choroby X" niestety nie są wcale przyjętym w następstwie koronawirusa środkiem zaradczym w kontekście ewentualnych przyszłych pandemii, lecz pielęgnowanym od wielu dekad zwyczajem starannego przygotowywania swoistych biznesplanów dla operacji zniewalania całego społeczeństwa. Kennedy daje wszystkim ostrzeżenie, że jeśli sprawy wirusa z Wuhan nie wyjaśni się wreszcie do końca, to wcześniej czy później dojdzie do jeszcze większego nieszczęścia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl bcaf610a37

Dzieci z ks. Władysławem Ostrowskim, Harbin, 1934 r. FOT. NAC

Z Januszem Wróblem, pracownikiem naukowym Biura Badań Historycznych w Instytucie Pamięci Narodowej
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Skośne oczy losu

TOMASZ Z. ZAPERT: Skąd i kiedy pojawiali się w Chinach Polacy?

JANUSZ WRÓBEL: Przybyli tam w wyniku ekspansji kolonialnej mocarstw europejskich. Stanowili wyjątkowy w naszych dziejach przykład emigracji imperialnej. Składającej się z kadr administracji, żołnierzy garnizonów, właścicieli majątków ziemskich, kupców, finansistów i różnego rodzaju specjalistów uczestniczących w eksploatacji podporządkowanych terytoriów. Paradoks sytuacji polegał na tym, że Polacy znaleźli się na terenie Chin nie jako obywatele własnego państwa, lecz w charakterze ekspansji rosyjskiej na Dalekim Wschodzie.

Czym się tam zajmowali?

Zaczęli zaludniać obszar chińskiej Mandżurii w związku z budową Kolei Wschodniochińskiej – jako odnoga Kolei Syberyjskiej miała połączyć przez terytorium chińskie europejską Rosję z Władywostokiem, jej głównym portem na Dalekim Wschodzie. Inwestycję rozpoczęto w roku 1898, a ukończono po pięciu latach. Południowy odcinek Kolei Wschodniochińskiej połączył Rosję z bazą marynarki rosyjskiej w Port Arthur i portem Dalnij nad Morzem Żółtym. Przy budowie kolei i miast na jej szlaku zatrudnieni byli polscy inżynierowie, kolejarze, lekarze i technicy różnych specjalności. W ślad za nimi dotarli rzutcy przedsiębiorcy i kupcy, którzy zwietrzyli szansę łatwego zarobku. Emigracji Polaków sprzyjała polityka władz carskich. Podczas gdy na ziemiach zaboru rosyjskiego Polacy byli dyskryminowani w życiu społecznym i ekonomicznym, na Dalekim Wschodzie powierzano im wysokie stanowiska w administracji i zachęcano do prowadzenia działalności gospodarczej. Władze rosyjskie spodziewały się, że polski żywioł z czasem ulegnie rusyfikacji, stając się podporą Imperium Rosyjskiego na Dalekim Wschodzie.

Większą rolę odegrali w powstaniu bokserów czy w zbrojnym konflikcie rosyjsko-japońskim?

Na Dalekim Wschodzie pojawili się również polscy wojskowi, niestety w obcych mundurach. Kolej Wschodniochińska ochraniana była przez specjalną formację rosyjską działającą w „strefie wywłaszczonej", wzdłuż torów. Trafiło tam wielu Polaków. Znaleźli się również w załodze rosyjskiej twierdzy Port Arthur nad Morzem Chińskim. Lekarz Florian Hłasko, który przypłynął tam na pokładzie rosyjskiego okrętu wojennego, zanotował w swoim pamiętniku: „W Porcie Artura dużo było piechoty, a wśród nich tysiące Polaków, ściągniętych z pułków syberyjskich. W ich sercach wciąż żyła tęsknota do ziemi polskiej; czekali z niecierpliwością kresu swej służby, wpatrzeni w faliste piersi chińskiego morza i błękity chińskiego nieba".

W okresie powstania bokserów, które było wielkim zrywem Chińczyków przeciw cudzoziemcom, mocarstwa kolonialne wysłały do Chin swoje wojska. Służyło w nich liczne grono naszych rodaków, najwięcej w oddziałach rosyjskich. Kapitan Władysław Jagniątkowski z francuskich oddziałów kolonialnych za udział w szturmie Pekinu odznaczony został Legią Honorową. Na czele wojsk rosyjskich wdarł się do miasta ppłk Iliński.

Znacznie większy był jednak udział Polaków w wojnie rosyjsko-japońskiej lat 1904–1905, toczącej się głównie w Mandżurii. W szeregach carskich na terenie tej prowincji walczyło kilkadziesiąt tysięcy Polaków. Ginęli w wielkich bitwach na lądzie i w zmaganiach na Morzu Żółtym. Z inicjatywy biskupów polskich do Harbina wysłano Warszawsko-Łódzki Oddział Sanitarny, który niósł pomoc medyczną rannym i chorym żołnierzom, głównie Polakom.

Głównym polskim skupiskiem w Państwie Środka stał się Harbin?

Tak, miasto założone od podstaw w węzłowym punkcie Kolei Wschod-

eprasa.pl bcaf610a37

niochińskiej, na rozwidleniu jej linii do Władywostoku i Port Arthur. Mniejsze skupiska polskie powstawały wzdłuż całej Kolei Wschodniochińskiej. W Harbinie mieszkało w przededniu pierwszej wojny światowej ok. 7 tys. Polaków. Byli dobrze zorganizowani, założyli własną parafię katolicką i stowarzyszenie pod nazwą Gospoda Polska. Doroczne bale w okazałym gmachu Gospody były ważnym wydarzeniem towarzyskim w życiu elity miasta.

Zarząd Stowarzyszenia „Gospoda Polska" w Harbinie FOT. NAC

Dobrobyt zakończył się wraz z rewolucją bolszewicką?

Społeczność polska w Harbinie była zamożna. Kadra inżynieryjno-techniczna oraz urzędnicy dobrze zarabiali i cieszyli się wysokim statusem społecznym. Wyjątkową karierę zrobił Władysław Kowalski, który w krótkim czasie wzbogacił się na eksploatacji lasów wzdłuż Kolei Wschodniochińskiej. Przy poparciu władz rosyjskich nabył ogromne koncesje leśne, zbudował potężne przedsiębiorstwo przerobu drewna, które zatrudniało kilka tysięcy pracowników. O ile zwykłymi robotnikami byli na ogół Chińczycy, o tyle firmą Kowalskiego kierowali głównie Polacy i Rosjanie. Inną dużą inwestycją polską w Mandżurii była cukrownia w Aszyche, własność ziemian z Lubelszczyzny.

Gwarancję stabilizacji i dobrostanu „chińskich" Polaków dawało Imperium Rosyjskie. Zapewniało im uprzywilejowaną pozycję wobec władz chińskich, tylko formalnie sprawujących władzę zwierzchnią w Mandżurii. Klęski Rosji podczas pierwszej wojny światowej i rewolucja bolszewicka podcięły potęgę Rosji na Dalekim Wschodzie. Zrewoltowane oddziały armii rosyjskiej zamiast osłaniać rodzime interesy stały się dla nich zagrożeniem. O swoje prawa zaczęli upominać się Chińczycy, a Japonia była gotowa do przejęcia roli hegemona w Mandżurii. Kres wpływów rosyjskich miał fatalny skutek dla interesów polskiej diaspory, ale z drugiej strony umożliwił rozwój życia społecznego Polonii. Powstały polskie szkoły podstawowe, gimnazjum i wiele stowarzyszeń społecznych i kulturalnych. Zaczęto wydawać polską prasę.

REKLAMA

LECZENIE I REHABILITACJA

POBYTY: Zdrowy Kręgosłup, Neurologiczny,
Dla Aktywnych, Biodra, Kolana, Bark, Antystresowy, Kardiologiczny z diagnostyką.

Szwedzki stół, 15 albo 20 zabiegów na 7 dni pobytu

• Wstęp na basen z atrakcjami do 90 minut dziennie • Diagnostyka fizjoterapeutyczna i laboratoryjna •
• Specjalistyczne konsultacje lekarskie • *możliwa dopłata

Pobyty w terminach: 13.05 - 23.06 oraz 23.06 - 29.09.2024

tel. 54 416 70 00 www.podtezniami.pl

Klinika Uzdrowiskowa „Pod Tężniami" im. Jana Pawła II, ul. Warzelniana 7, 87-720 Ciechocinek

eprasa.pl bcaf610a37

JANUSZ WRÓBEL „W OGNIU WOJEN I REWOLUCJI" IPN 2023

A jak na egzystencję chińskiej Polonii wpłynęło odzyskanie przez Polskę niepodległości?

Przyjęto je w Harbinie z radością i nadzieją. Liczono, że państwo polskie przejmie teraz rolę protektora naszych interesów na Dalekim Wschodzie. Niestety, były to iluzje, gdyż lądowego połączenia z Polską na skutek rewolucji w Rosji nie było, a władze w Warszawie, borykające się z ogromem problemów, o interesy rodaków w Chinach nie zadbały. Na przybycie wysłannika rządu polskiego przyszło czekać Polonii harbińskiej aż do marca 1920 r. W latach 20. doszło do pierwszej fali repatriacji Polaków z Mandżurii. Kilkoma transportami wróciło wówczas do kraju parę tysięcy Polaków. Inni emigrowali do bogatych krajów Zachodu. Setki Polaków z Mandżurii wyjechały wówczas do Szanghaju, dając początek tamtejszej kolonii polskiej.

W Mandżurii stworzono jednostkę Wojska Polskiego?!

Sprawiła to rewolucja bolszewicka. Niewielki oddział wojskowy wysłano na Syberię, gdzie wszedł w skład 5. Dywizji Strzelców Polskich. Niestety, jej los okazał się tragiczny. W styczniu 1920 r., po ciężkich walkach z bolszewikami, skapitulowała pod miejscowością Klukwiennaja. Rozproszone niedobitki przedzierały się przez Syberię i Mongolię do Mandżurii, gdzie zostały zreorganizowane i wysłane drogą morską do Polski. Zdążyły jeszcze wziąć udział w wojnie polsko-bolszewickiej.

Powstanie Mandżukuo rzutowało na chińską Polonię?

W latach 20. XX w. formalnie władzę nad Mandżurią odzyskały Chiny, ale nie oznaczało to powrotu stabilizacji. Wręcz przeciwnie – w prowincji zapanował chaos polityczny i ekonomiczny, co negatywnie odbiło się na położeniu polskiej enklawy. Nasi kolejarze rugowani byli z posad na Kolei Wschodniochińskiej, a przedsiębiorcy napotykali coraz większe przeszkody w działalności gospodarczej. W obce ręce przeszła cukrownia w Aszyche, nawet Władysław Kowalski znalazł się w poważnych tarapatach, gdyż skorumpowana administracja chińska ściągała z niego coraz większe haracze.

Zmiany na lepsze nie przyniosło powstanie marionetkowego państwa Mandżukuo, kontrolowanego całkowicie przez Japonię. Wprawdzie w kraju zapanował większy porządek, ale władze bezwzględnie faworyzowały interesy Japończyków kosztem cudzoziemców. Kowalski ostatecznie utracił swój ogromny majątek.

W końcu nastał rok 1939...

Polonia w Chinach utraciła opiekę władz II Rzeczypospolitej. Rządzący Mandżukuo sympatyzowali z III Rzeszą i stopniowo ograniczali działalność stowarzyszeń polonijnych. Po rozprzestrzenieniu się globalnego konfliktu zbrojnego na Daleki Wschód (grudzień 1941 r.) Polska znalazła się w stanie wojny z Japonią, co spowodowało zamknięcie naszej ambasady w Tokio i konsulatu w Harbinie. Władze Mandżukuo nakazały likwidację polskich stowarzyszeń. Pomimo ciężkich warunków Polacy z Mandżurii wykazali się patriotyzmem. Grupa młodych wyruszyła do Europy, aby wstąpić do Wojska Polskiego. Walczyli w szeregach Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich, potem 2. Korpusu Polskiego.

W okresie drugiej wojny światowej zwiększyła się liczba obywateli polskich w Szanghaju. Licząca kilkaset osób „stara" Polonia zasilona została uchodźcami wojennymi. Między innymi Żydami, którzy w latach 1940–1941 – dzięki wizom Chiune Sugihary, japońskiego konsula na Litwie – wyjechali przez Związek Sowiecki do Japonii. Ponieważ nie udzieliła im ona azylu, udali się do Szanghaju, jedynego miasta na Dalekim Wschodzie, gdzie mogli wjechać bez wiz. Zarówno w Japonii, jak i w Szanghaju Żydzi polscy otrzymali pomoc i opiekę materialną ze strony naszych placówek dyplomatycznych.

Kres biało-czerwonej enklawie położyła wygrana Mao?

Zakończenie drugiej wojny światowej na Dalekim Wschodzie nie przyniosło poprawy położenia Polonii w Chinach. Państwo Środka pogrążyło się w wojnie domowej, która zakończyła się w 1949 r. zwycięstwem komunistów i proklamowaniem Chińskiej Republiki Ludowej. Wśród Polaków w Harbinie i Szanghaju wyodrębniły się dwa nurty polityczne. Jedni pozostali wierni polskiemu rządowi na uchodźstwie i nie uznawali władz komunistycznych w Polsce. O powrocie do ojczyzny nie chcieli słyszeć. Inni poparli władze Polski Ludowej i zgłosili gotowość wyjazdu tam na stałe. Gros Polaków z Mandżurii repatriowało się do Polski, a Polacy z Szanghaju w większości wyjechali do Stanów Zjednoczonych, Australii i państw zachodnioeuropejskich. Nieliczni, którzy pozostali w Chinach, musieli mierzyć się z coraz cięższymi warunkami bytu. W następnych dekadach i oni stopniowo opuszczali Państwo Środka. Ostatni Polak pożegnał Harbin w 1994 r.

Co się stało ze spuścizną diaspory polskiej w Chinach?

Niestety, jej dorobek materialny i intelektualny uległ w dużej mierze zaprzepaszczeniu na skutek wydarzeń wojennych, a także z winy władz Polski Ludowej. Podczas rozmów z władzami chińskimi o repatriacji Polaków nie zadbano o uzyskanie stosownej rekompensaty za pozostawiony na miejscu majątek polskich organizacji, w tym szkół, Gospody Polskiej w Harbinie i Związku Polaków w Szanghaju. Repatriantom zezwolono tylko na zabranie niewielkiej części mienia, toteż często musieli za bezcen sprzedać swe nieruchomości i wyposażenie domostw. Na szczęście „chińscy" Polacy, którzy zamieszkali po 1949 r. w Polsce, podjęli trud dokumentowania ponadpółwiecznych dziejów naszych rodaków w Państwie Środka.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

dr hab. Janusz Wróbel – pracownik naukowy Biura Badań Historycznych w Instytucie Pamięci Narodowej. Autor książek „Uchodźcy polscy ze Związku Sowieckiego 1942–1950", „Repatriacja obywateli polskich z Zachodu w latach 1945–1949" oraz najnowszej „W ogniu wojen i rewolucji. Polacy w Chinach 1898–1949", wyróżnionej w konkursie „Sygnety Wydawnictwa IPN".

eprasa.pl bcaf610a37

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Zagrożenie komunistyczne

Po 1944 r. – aż do końca Polski Ludowej – istniały ścisła cenzura i jednolita wykładnia wojennej i okupacyjnej przeszłości. Źródła historyczne trzymane były w tajemnicy pod kluczem i udostępniano je wyłącznie najbardziej zaufanym historykom i publicystom. Przez dziesiątki lat kształtowany był zatem fałszywy, jednostronny obraz najnowszych dziejów. Kluczową rolę miało w nim odgrywać podziemie komunistyczne. Natomiast ZWZ-AK i Delegatura Rządu zostały zepchnięte na nieistotny margines. Komuniści przez hagiografię swych dokonań byli najważniejsi. W takim przekazie nie było miejsca na prawdę, że było to podziemie bandyckie, żydobójcze, jawnie lub skrycie współpracujące z Niemcami, popełniające liczne zbrodnie, w tym na ludności cywilnej. Trzeba stale przypominać, że po 1944 r., gdy otrzymało władzę nad Polską z rąk samego Stalina, przypisywało własne zbrodnie żołnierzom i oficerom AK i NSZ.

Na to nałożyły się powojenna propaganda i „nauka". Ich zadaniem było tworzenie fałszywego obrazu okresu okupacji. A przecież dokumenty Polski Podziemnej były jednoznaczne. Prasa organizacji niepodległościowych, rozkazodawstwo, przekazy ideowe wskazywały na niebezpieczeństwo komunistyczne – już od 1943 r. jako groźniejsze niż niebezpieczeństwo niemieckie. Dlaczego? Wyjaśnia to raport kontrwywiadu KG AK z marca 1944 r., wskazujący na przyczyny takiego stanu rzeczy. Warto to przypominać.

„Wydaje się, że niebezpieczeństwo ze strony komuny jest groźniejsze i to z dwóch powodów:

1) infiltracja agentów komuny ma charakter nie tylko szpiegowski, ale i polityczny, grozi zatem jednocześnie likwidacją fizyczną aparatu organizacyjnego rękami niemieckich władz bezpieczeństwa oraz rozkładem wewnętrznym,

2) przenikanie do org. polskich jest dla komuny o wiele łatwiejsze, zaczęło się wcześniej, prowadzone jest o wiele umiejętniej z obliczeniem na pracę głęboką, długofalową (ewentualna likwidacja dopiero w przeddzień walki jawnej, a może dopiero po wkroczeniu Czerwonej Armii).

Wnioski – Usunięcie macek npla z naszych szeregów jest zadaniem trudnym, ale bezwzględnie koniecznym. W wykonaniu tego zadania zastosować należy metody chirurgiczne. Czułostkowość i chwiejność w przeprowadzeniu akcji oczyszczającej spowodować mogą w wyniku zmarnowanie tego olbrzymiego wysiłku społeczeństwa, jaki został włożony w organizację wojska i władz cywilnych".

Z takich zaleceń KG AK jednak nie skorzystała. Przyszło za to bardzo drogo zapłacić polskim niepodległościowcom: karami śmierci, zabójstwami, wyrokami wieloletniego więzienia. ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Bunt żaków

Studenci od wieków uchodzili za środowisko niesubordynowane i często sprawiali problemy wykraczające poza bramy uczelni. Przykładem mogą być wydarzenia w Krakowie za panowania Zygmunta Augusta, które na długo sparaliżowały działalność miejscowego uniwersytetu. 14 maja 1549 r. grupa studentów zelżyła w pobliżu swojej bursy dwie niewiasty zajmujące się nierządem, które z niewiadomych powodów udawały się na pobliską plebanię. Jedną z nich, Julię Cjanowską, nazwano „wdową po połowie Krakowa", natomiast drugiej, Reginie Strzemiluszance, proponowano raczej wizytę w bursie niż na plebanii.

Miejscowego kanonika, Andrzeja Czarnkowskiego, nie było akurat na miejscu, zatem za prostytutkami ujął się przełożony jego służby, Jan Reszkowski, który na czele swoich podwładnych zaatakował studentów. Zdemolowano bursę, zraniono kilku żaków, a jeden z nich (Jan z Pienin) został zabity.

Następnego dnia grupa studentów chciała złożyć skargę u króla, ale została odprawiona przez jego urzędników. W odpowiedzi uformowano pochód przez miasto, obnosząc ciało zabitego kolegi i ogłaszając kanonika Czarnkowskiego sprawcą jego śmierci. Zwłoki pochowano dopiero wieczorem.

Tymczasem skargę odrzucił także rektor uczelni, co spowodowało, że żacy zagrozili opuszczeniem akademii, co byłoby ciosem wizerunkowym i gospodarczym dla miasta. Doświadczyła tego w 1410 r. czeska Praga, gdy większość studentów przeniosła się do Lipska. Sytuacja stała się groźna i wówczas interweniował król, który zobowiązał się do przekazania sprawy sądowi biskupiemu i nakazał, by studenci powrócili do nauki. Jednak kilka dni później Czarnkowski został obrzucony kamieniami na Rynku. Jednego ze sprawców schwytano i poddano torturom, co jeszcze bardziej wzburzyło nastroje. Studenci postanowili puścić uczelnię i miasto, co faktycznie nastąpiło. Ponad 6 tys. żaków wyszło z miasta z pieśnią na ustach „Ite in orbem uniwersum" („Idziemy w świat"). Część młodzieży akademickiej niebawem miała wprawdzie powrócić, ale wielu przeniosło się na inne uczelnie, a niektórzy powrócili do domów. Być może wśród uczestników zamieszek był też niejaki Jan Kochanowski, który wówczas studiował w Krakowie.

Kanonik Czarnkowski został z czasem biskupem poznańskim i nagrodził wówczas wiernego Reszkowskiego kanonią. Natomiast fatalnie skończyła jedna z prostytutek zamieszanych w sprawę, Strzemiluszanka. Niebawem po studenckiej aferze oskarżono ją o zabójstwo matki i skazano na karę śmierci. Wyrok wykonano zgodnie z ówczesnym prawem, topiąc matkobójczynię w Wiśle zaszytą w worku z psem i kotem… ©℗

eprasa.pl bcaf610a37

Ameryka walczy z „oblężeniem”

Jacek Przybylski

W ostatnich tygodniach stróże prawa aresztowali już na amerykańskich uczelniach kilka tysięcy osób. Ta liczba z pewnością jeszcze wzrośnie. Mimo regularnych policyjnych interwencji na uniwersytetach wciąż trwają bowiem propalestyńskie demonstracje i proizraelskie kontrdemonstracje

Tak koszmarnej wiosny na kampusach nie pamiętają najstarsi rektorzy i dziekani amerykańskich szkół wyższych. Studenci na uczelniach w całym kraju organizują ogromne propalestyńskie protesty, których skalę można porównać jedynie z protestami przeciwko wojnie w Wietnamie, organizowanymi przez ich dziadków i babcie pół wieku temu, czyli w 1968 r.

Wielu studentów nie tylko krytycznie ocenia działania izraelskiej armii w Strefie Gazy i popiera żądanie utworzenia państwa palestyńskiego, lecz także domaga się, by ich uniwersytety najpóźniej do końca obecnego roku akademickiego zerwały więzi finansowe z Izraelem oraz z izraelskimi firmami i organizacjami, przekonując, że kontynuowanie współpracy oznaczałoby, iż uniwersytety współpracują z podmiotami, które „czerpią zyski z ludobójstwa” w Strefie Gazy. Na niektórych uczelniach do protestujących studentów dołączali również dumni z ich postawy wykładowcy.

eprasa.pl bcaf610a37

Setki propalestyńskich protestujących na terenie obozowiska Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley

FOT. TAYFUN COSKUN/ANADOLU/GETTY IMAGES

W sumie propalestyńskie protesty zorganizowano na ponad 100 amerykańskich uczelniach. Na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles (UCLA) obozowisko studentów skandujących propalestyńskie hasła, otoczone kartonami i płytami OSB z napisami „Wolna Gaza" etc., osiągnęło wielkość boiska piłkarskiego. Duże miasteczko namiotowe wyrosło również w okolicach kampusu Uniwersytetu Waszyngtonu w amerykańskiej stolicy. Fala propalestyńskich protestów na uczelniach ogarnęła nie tylko lewicowe Zachodnie i Wschodnie Wybrzeże USA; rozlała się nawet na uniwersytety działające na tradycyjnie konserwatywnym południu Ameryki. Na niektórych kampusach studenci nie tylko „okupowali" biblioteki czy inne budynki, lecz także dopuszczali się aktów wandalizmu: rozbijali drzwi i meble, rozkradali sprzęty, a ściany pokrywali graffiti o antysemickiej wymowie.

Część szkół wyższych, jak choćby Uniwersytet Michigan, błyskawicznie wylała na studentów kubeł zimnej wody i odrzuciła jakąkolwiek możliwość zerwania relacji z Izraelem. Na niektórych uczelniach władze podjęły negocjacje z liderami studenckich protestów, ale po ich niepowodzeniu uznały okupację terenu kampusu i wyznaczyły czas na przerwanie protestów i zakończenie „okupacji" części kampusu. Oburzonych formą demonstrowania poglądów, a zwłaszcza okupacją dróg dojazdowych do uczelni czy niektórych uniwersyteckich budynków, było nie tylko wielu polityków, lecz także innych studentów, którzy domagali się od władz uczelni egzekwowania prawa.

Poglądy na uczelniach są jednak wyraźnie podzielone. Z jednej strony oskarżenia o antysemityzm, z drugiej o islamofobię. Manifestacjom propalestyńskim towarzyszą proizraelskie kontrdemonstracje, które nierzadko przeradzają się w starcia z użyciem kijów lub fajerwerków. Po kilku tygodniach od rozpoczęcia protestów w wielu miejscach niektórzy demonstranci zaczęli przekraczać „czerwoną linię", wykraczając daleko poza krytykę izraelskiego rządu i posługując się antysemickimi hasłami, a niekiedy wprost wzywając do mordowania Żydów.

Żydowscy studenci w rozmowach z amerykańskimi dziennikarzami mówią więc wprost, że w ostatnich tygodniach zaczęli się obawiać o swoje bezpieczeństwo na uczelniach. Jak zauważył na początku maja „The Economist", członkowie Kongresu grożą, że doprowadzą do odwołania rektorów, którzy dopuszczają, by na kampusach dochodziło do propagowania antysemityzmu, a darczyńcy grożą wstrzymaniem finansowania uczelni.

WOLNOŚĆ SŁOWA A NIELEGALNA OKUPACJA

Na niektórych uczelniach – jak np. na Uniwersytecie Rutgersa w New Jersey czy Uniwersytecie Minnesoty w Minneapolis – profesorom udało się przekonać protestujących do zakończenia okupacji oraz likwidacji obozowisk i do kontynuowania rozmów w bardziej cywilizowanej formie. Część cytowanych przez „NYT" protestujących przekonywała jednak, że „podczas ludobójstwa sprawy nie mogą być procedowane jak zwykle".

W wielu amerykańskich miastach uniwersyteckie władze nie próbują już jednak wcale bronić wolności słowa, tolerancji i różnorodności. Ponieważ na niektórych uczelniach za brak stanowczych działań poleciały już głowy członków uczelnianych władz, rektorzy coraz częściej nie próbują już dłużej debatować ze studentami, lecz proszą o szybką interwencję policji. Ta zaś od połowy kwietnia skutecznie ucisza kolejnych protestujących. Na kampusy, do uniwersyteckich bibliotek i na sale wykładowe wkraczają zaś setki uzbrojonych policjantów w hełmach i z tarczami używanymi podczas tłumienia zamieszek, którzy wyprowadzają poza teren kampusu zakutych w kajdanki studentów, profesorów oraz wiele innych osób. W wielu miastach po przesłuchaniu aresztowanych okazywało się, że wielu zatrzymanych na kampusach wcale nie jest ani studentami, ani pracownikami uczelni. Niekiedy policjanci strzelają do protestujących gumowymi kulami. Podczas likwidacji nielegalnych obozowisk w ruch idą też policyjne granaty hukowe, gaz łzawiący, paralizatory, a także tradycyjne pałki.

Stanowcze akcje policji poparło wielu prawicowych gubernatorów, którzy nie tylko pochwalają przywrócenie porządku na kampusach, lecz także opowiadają się za wyrzuceniem z uczelni tych studentów, którzy aktywnie uczestniczą w propalestyńskich protestach, a szczególnie tych popierających Hamas. „Jeśli stoisz po stronie grup terrorystycznych, to najwyższy czas zbadać ci głowę" – napisał na platformie X gubernator Oklahomy Kevin Stitt. „Wszyscy opowiadamy się za wolnością słowa w Oklahomie. Ale mowa nienawiści nie będzie tolerowana" – dodał polityk Partii Republikańskiej.

Jeszcze ostrzej wypowiedział się w tej kwestii republikański gubernator Teksasu Greg Abbott, którego zdaniem uczestnicy propalestyńskich protestów na kampusach „powinni siedzieć w więzieniu". „Antysemityzm nie będzie tolerowany w Teksasie. Kropka" – oznajmił polityk w mediach społecznościowych. Abbott stwierdził także, że studenci dołączający do tych „przepełnionych nienawiścią,

eprasa.pl bcaf610a37

antysemickich protestów na terenie jakiejkolwiek publicznej uczelni w Teksasie powinni zostać skreśleni z listy studentów".

Na razie w większości przypadków zatrzymani przez policję na kampusach propalestyńscy protestujący są wypuszczani na wolność. Studenci i profesorowie raczej nie stawiają bowiem czynnego oporu. Na niektórych uczelniach, np. na prestiżowym Uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku, uczestnicy propalestyńskich protestów, którzy nie podporządkowali się poleceniu likwidacji obozowisk na terenie kampusu, już zostali zawieszeni w prawach studentów. Jak informował „New York Times", na innych uczelniach, w tym np. na prestiżowym Uniwersytecie Cornella, niektórym aresztowanym studentom odebrano prawo do udziału w zajęciach, a nawet prawo wstępu na teren kampusu.

OD LOS ANGELES DO NOWEGO JORKU

Skala policyjnych akcji na uniwersytetach jest ogromna. Gdy zamykaliśmy to wydanie „Do Rzeczy", w całych Stanach Zjednoczonych aresztowano co najmniej 2 tys. uczestników protestów na kilkudziesięciu uczelniach. Policjanci interweniowali zaś już m.in. na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles, Uniwersytecie Teksańskim w Dallas, Uniwersytecie Wisconsin w Madison, Yale w Connecticut, a także na uniwersytetach Fordham, Stony Brook, City College oraz Columbia w Nowym Jorku. Stróże prawa aresztowali również protestujących na uczelniach w stanach Arizona, Kolorado, Georgia, Floryda, Utah, Wirginia, Karolina Północna, Karolina Południowa, Illinois, Indiana, Nowy Meksyk, Massachusetts, Missouri, Ohio czy Luizjana.

Za aresztowaniami poszły sankcje, które mają zapobiec podobnym protestom w niedalekiej przyszłości. Część organizacji stojących za propalestyńskimi protestami, jak Students for Justice in Palestine czy Jewish Voice for Peace, została już zawieszona na kilkunastu amerykańskich uczelniach za notoryczne łamanie ich regulaminów.

BIDEN I TRUMP NIEMAL JEDNYM GŁOSEM

Zakończenie protestów na uczelniach za pomocą policyjnych interwencji pochwalili wyjątkowo zgodnie zarówno urzędujący prezydent Joe Biden, jak i jego przeciwnik z Partii Republikańskiej, Donald Trump. Poparcie dla władz Izraela i dla samych Izraelczyków to bowiem jedna z niewielu rzeczy, która łączy polityków obu głównych partii politycznych w Stanach Zjednoczonych i która – przynajmniej do tej pory – łączyła też większość wyborców zarówno Partii Demokratycznej, jak i Partii Republikańskiej.

Poparcie dla władz Izraela i dla samych Izraelczyków to jedna z niewielu rzeczy, która łączy polityków obu partii

„Wszyscy widzieliśmy te obrazki i wystawiają one na próbę dwie fundamentalne amerykańskie zasady: pierwsza to wolność słowa, prawo do pokojowych zgromadzeń i wysłuchania. Druga to praworządność. Obie muszą być przestrzegane" – ogłosił obecny gospodarz Białego Domu. „Nie jesteśmy państwem autorytarnym […], ale nie jesteśmy też państwem bezprawia i porządek musi zwyciężyć" – mówił prezydent USA, sprzeciwiając się jednocześnie pomysłom użycia oddziałów Gwardii Narodowej przeciw demonstrantom na „okupowanych" uniwersytetach, do czego wzywał m.in. spiker Izby Reprezentantów Mike Johnson. W ubiegłym tygodniu, podczas przemówienia z okazji Dni Pamięci o Holokauście, prezydent Biden mówił zaś, że Stany Zjednoczone będą bronić bezpieczeństwa Żydów i bezpieczeństwa Izraela nawet wówczas, gdy się z nim nie zgadzają. – Obserwujemy zaciekłą falę antysemityzmu w Ameryce i na świecie […], na kampusach uczelni żydowscy studenci są nękani i atakowani, gdy wchodzą do sal wykładowych. Widzimy antysemickie plakaty i slogany wzywające do unicestwienia Izraela, jedynego państwa żydowskiego. Zbyt wiele osób racjonalizuje, umniejsza lub neguje horror Holokaustu i 7 października – mówił gospodarz Białego Domu, odnosząc się do propalestyńskich protestów na amerykańskich uczelniach.

W przypadku antysemickich protestów studentów amerykańska lewica ma problem: od dawna liberałowie nawołują przecież do surowego karania przypadków mowy nienawiści, a w propalestyńskich obozach na „okupowanych" kampusach często odnotowywane są nie tylko przypadki słownej agresji, lecz także wprost wezwania ze strony lewicowych demonstrantów do aktów przemocy wobec Żydów.

Tego dylematu nie mają politycy Partii Republikańskiej, którzy konsekwentnie od wielu lat krytykują władze uniwersyteckie za zbytnią ustępliwość wobec lewackich aktywistów. Donald Trump potępił antyizraelskie protesty na uczelniach, określając je mianem „radykalnej lewicowej rewolucji". – Nowy Jork był ostatniej nocy oblężony – mówił na początku maja czołowy kandydat prawicy na nowego prezydenta USA, chwaląc policję za skuteczne interwencje na nowojorskich uczelniach.

Problem mają też liberalne media. Ze względu na to, że na amerykańskich uniwersytetach przeważają studenci o poglądach lewicowych, wiele liberalnych mediów szybko zaczęło pisać o akcjach policji po „prawicowej nagonce" czy wręcz „prawicowej inkwizycji" wśród władz uczelni.

Wysoki Komisarz ONZ do spraw Praw Człowieka oświadczył pod koniec kwietnia, że jest zaniepokojony „serią zdecydowanych kroków" podjętych przez niektóre uniwersytety w Stanach Zjednoczonych w celu likwidacji protestów związanych z wojną w Strefie Gazy.

PROTESTY RÓWNIEŻ W EUROPIE

Na razie nie wiadomo, czy użycie policji wobec propalestyńskich demonstrujących trwale uspokoi sytuację na amerykańskich uniwersytetach czy wręcz przeciwnie – doprowadzi do eskalacji protestów, skłaniając większą liczbę studentów do udziału w nich.

Propalestyńskie protesty na uczelniach trwają nie tylko w Stanach Zjednoczonych, lecz także w Kanadzie, Wielkiej Brytanii, we Francji czy w innych krajach Unii Europejskiej. Ich uczestnicy żądają zakończenia izraelskiej operacji zbrojnej – rozpoczętej po bezprecedensowym ataku Hamasu na ten Izrael – w której od października 2023 r. zginęło już ok. 35 tys. Palestyńczyków.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl bcaf610a37

Co dalej z Domami Polskimi w Jerozolimie?

Krystian Kratiuk

W ostatnich tygodniach w polskiej prasie katolickiej zaczęły pojawiać się niepokojące informacje, jakoby planowano zmianę charakteru Domów Polskich w Jerozolimie. Skąd wzięły się te pogłoski?

Domy Polskie w Jerozolimie od wielu dziesięcioleci służą jako placówki noclegowe dla pielgrzymów z Polski, szczególnie dla tych, których nie stać na hotele w jednym z najchętniej odwiedzanych przez turystów miejsc świata.

Historia pierwszego, tzw. Starego Domu Polskiego, sięga początku XX w., kiedy to dom w centrum jerozolimskiego starego miasta zakupił polski ksiądz Marcin Pinciurek, posługujący w Ziemi Świętej należącej jeszcze wtedy do osmańskiej Turcji. Kapłan pragnął bowiem, by jego rodacy mieli gdzie zatrzymać się w dalekim kraju. Placówka funkcjonowała więc jako schronisko dla najuboższych pielgrzymów, w którym mogli przebywać do dwóch tygodni bez opłat lub za dobrowolną ofiarą. Ksiądz Pinciurek zmarł w 1930 r., swoją osobistą własność zapisał prymasowi Polski, wyraźnie podkreślając cel darowizny – obiekt wciąż miał „służyć za schronisko/hospicjum/ dla obywateli polskich przybywających do Ziemi Świętej w celach religijnych i niemających dostatecznych środków materialnych; celem umożliwienia Polakom wyznania rzymskokatolickiego pobytu i zwiedzenia Miejsc Świętych".

– Jeszcze za życia ks. Pinciurka konsul generalny dr Zdzisław Kurnikowski apelował do prymasa Hlonda o przysłanie do Jerozolimy sióstr zakonnych do opieki nad ciężko chorym od długiego czasu ks. Pinicurkiem oraz nad Domem Polskim. Poszukiwanie chętnych do takiego wyjazdu sióstr trwało bardzo długo, prymas bowiem nie naciskał na żadne ze zgromadzeń, czekając na ochotniczki. Nie była to łatwa misja, poszczególne zakony odmawiały. W końcu, po wielu miesiącach, chęć wyjazdu potwierdziły siostry elżbietanki i we trzy wyruszyły do Jerozolimy. Były to s. Innocenta Gierszewicz, pełniąca funkcję przełożonej, s. Augustyna Skibińska i s. Blanka Szwonka. Był rok 1931 i w tym roku właśnie zaczęła się nieprzerwana obecność sióstr w Domu Polskim, potem w Nowym Domu Polskim oraz w innych placówkach w Jerozolimie – mówi dr Mariola Serafin, biblistka i przewodnik po Ziemi Świętej.

To siostry elżbietanki rozbudowały Stary Dom Polski o dodatkowe piętro, zorganizowały przychodnię zdrowia, przyjmowały chorych i udawały się na wizyty domowe – aby utrzymać schronisko dla polskich pielgrzymów, które to w dodatku należało gruntownie wyremontować. Działalność elżbietanek rozwinęła się do tego stopnia, że postanowiły wyjść naprzeciw fali zainteresowania pielgrzymkami do Grobu Pańskiego organizowanymi przez polskie parafie oraz amerykańską Polonię. Szczególnie dzięki finansowej ofiarności tej ostatniej grupy siostry rozpoczęły budowę Nowego Domu Polskiego.

– To siostry napisały do prymasa prośbę o ogłoszenie w Polsce zbiórki na ten cel – podkreśla dr Serafin. – Prymas odmówił wtedy pomocy ze względu na ciężką sytuację gospodarczą w kraju, zalecając jednocześnie siostrom samodzielne zorganizowanie zbiórki. Tak też zrobiły.

– Siostry stanęły na głowie, by zebrać środki, pomagała amerykańska Polonia, pomagali żołnierze Brygady Strzelców Karpackich, oddając część swojego żołdu siostrom, z którymi podczas pobytu w Ziemi Świętej mocno się zaprzyjaźnili. Wszystkie elżbietanki osobiście pracowały przy budowie także fizycznie, a s. Innocenta przypłaciła tę pracę utratą oka – dodaje dr Serafin.

Od tego czasu aż do dziś siostry elżbietanki nieprzerwanie pracują w Domu Polskim, w międzyczasie organizując także Dom Pokoju na Górze Oliwnej oraz sierociniec w Betlejem. Nowego Domu Polskiego muszą bronić w niezwykle trudnych czasach – w trakcie gorącej epoki po powstaniu tam państwa Izrael. To historia niemal filmowa, siostry musiały bowiem osobiście po kryjomu przemieszczać się między podzielonymi częściami Jerozolimy w dobie walk żydowsko-arabskich, by umieszczać na dachu domu polską flagę i symbol czerwonego krzyża. Gdyby tego nie dokonały, dom zostałby im odebrany jako pustostan.

W TRUDZIE DO DZIŚ

Do dziś siostry pracują w bardzo trudnych warunkach. Nowy Dom Polski zlokalizowany jest bowiem w dzielnicy Me'a Sze'arim zamieszkiwanej przez najbardziej ortodoksyjną ludność

eprasa.pl bcaf610a37

żydowską. Doświadczyłem tego osobiście, gdy z kamerami PCh24.pl udaliśmy się z Pawłem Lisickim i księdzem profesorem Waldemarem Chrostowskim do Ziemi Świętej, realizując serial o śmierci Jezusa. Zatrzymaliśmy się właśnie w Nowym Domu Polskim. Pewnego wieczoru, po zdjęciach, wracając już na kolację, zastaliśmy pod siedzibą sióstr tłum żydowskich ortodoksów wyśmiewających nas i obrzucających wyzwiskami. Gdy potem udałem się kilkadziesiąt metrów dalej, w moją stronę leciały butelki i przekleństwa, kilku mężczyzn z pejsami próbowało opluć mnie za to, że nagrywałem na smartfona ich tradycyjny pochód religijny. Kilka dni po wyjeździe dowiedzieliśmy się zaś o kolejnym obrzuceniu przez lokalną ludność Domu Polskiego kamieniami, butelkami i innymi przedmiotami, o pomalowaniu drzwi sprejem oraz o wybiciu okien.

Siostry się na to nie uskarżają – przywykły do takiego traktowania, czasem i kilka razy w miesiącu muszą spierać z habitów rzucone w ich stronę jajka. Zdarzyło się też oblanie jednej z sióstr kwasem. Mimo to nadal nieustannie posługują pielgrzymom z Polski i pełnią wiele innych dzieł miłosierdzia, opiekując się chorymi, rannymi, głodnymi. A nie można zapomnieć, że cały czas mówimy o Izraelu – państwie, w którym nieustannie prowadzone są jakieś działania wojenne lub terrorystyczne.

ZASTANAWIAJĄCY DOKUMENT

Skąd jednak alarm wobec przyszłości sióstr elżbietanek, podniesiony m.in. w enigmatycznym felietonie Ewy Czaczkowskiej w „Gościu Niedzielnym" czy też w tekstach „Naszego Dziennika" i na portalu Fronda.pl?

Dyskusja w kręgach kościelnych trwała już od długiego czasu, co ma prawdopodobnie związek z odnawianiem co dekadę umowy na zajmowanie Nowego Domu Polskiego między siostrami a archidiecezją gnieźnieńską, gdyż to ona posiada notarialne prawo własności budynku. Temperatura dyskusji wzrosła po jesiennej premierze filmu dokumentalnego „Polskie serce Jerozolimy". Na dobre jednak debata rozgorzała w ostatnich tygodniach, po premierze filmu, która odbyła się 11 marca w Centrum Relacji Katolicko-Żydowskich im. Abrahama J. Heschela Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Według uczestników tego spotkania siostry nie zostały zaproszone na premierę filmu o Domach Polskich, a tylko jedna z nich, dowiadując się o wydarzeniu z Facebooka, przyleciała do Lublina na własną rękę.

Wyreżyserowałem kilka filmów dokumentalnych i przyznam szczerze, że obejrzenie filmu także we mnie wzbudziło gorące podejrzenia. Oto bowiem w pierwszych 12 minutach aż siedmiokrotnie podkreśla się, że ks. Pinciurek zapisał w testamencie kupiony przez siebie Dom Polski prymasowi, a przez to archidiecezji. Cel wydał mi się bardzo jasny – oto ktoś zapragnął podkreślić, że znane niemal wszystkim polskim pielgrzymom Domy zarządzane przez siostry elżbietanki nie należą do nich, ale do biskupa gnieźnieńskiego.

Z narastającym zdumieniem oglądałem też dalszą część filmu, w którym to rola zakonnic została, mówiąc bardzo oględnie, radykalnie zmarginalizowana. Heroiczna praca sióstr mająca na celu zarówno zbudowanie domów, jak i ich utrzymanie oraz chociażby wspomniana przeze mnie niebezpieczna wyprawa mająca na celu zamontowanie na szczycie domu polskiej flagi nie zostają przedstawione widzom.

KTO ZBUDOWAŁ NOWY DOM?

Czego jednak dowiemy się z filmu? Otóż sugeruje on, że inicjatywa kupna ziemi i budowy Nowego Domu Polskiego wyszła z kurii arcybiskupiej gnieźnieńskiej i że główną rolę miał w tym przedsięwzięciu wysłany przez kurię gnieźnieńską ks. Witold Gronkowski. – To oczywista nieprawda. To s. Innocenta poprosiła o przysłanie kapłana do pomocy w pracach merytorycznych, z którymi trzy zakonnice w obcym kraju, mając wiele innych zajęć, już nie nadążały. Wtedy to prymas przysyła do Jerozolimy w roli kapelana ks. dr. Gronkowskiego. Siostra przełożona, zadowolona z jego pomocy, w jednym z listów do księdza prymasa z 1933 r. zaproponowała, że będzie mu wypłacać 90 zł miesięcznej pensji – podkreśla dr Mariola Serafin. – Choć z pewnością miał on ambicje, by pełnić kluczowe funkcje w Zarządzie Domu Polskiego – dodaje dr Serafin.

Byłoby skandaliczne, gdyby komukolwiek rzeczywiście przyszło do głowy odebranie siostrom dzieła, nad którym pracują od dekad

Wydaje się, że ta tendencja kapłanów, by siostry zakonne i ich dzieła traktować z góry, jako własne podwładne, a czasem nawet jako służące, trwa gdzieniegdzie w polskim Kościele do dziś. I to właśnie ta nieznośna, mizoginiczna i oparta na niesprawiedliwości tendencja mogła spotęgować strach o los Domów Polskich. Tym bardziej że końcówka omawianego filmu, skądinąd niewolnego od innych błędów merytorycznych, również zdaje się przygotowywać widza na zmiany w funkcjonowaniu Domów Polskich w Jerozolimie.

Dlaczego? Otóż w filmie widzimy prymasa Polaka, obecnego arcybiskupa

eprasa.pl bcaf610a37

Nowy Dom Polski w Jerozolimie

FOT. NOWY DOM POLSKI JEROZOLIMA/FACEBOOK

Gniezna, który zerkając na kartkę, mówi o Domach Polskich, twierdząc, że ich trwanie jest „pewnym wyzwaniem", gdyż „musimy nauczyć się od żydowskich i muzułmańskich sąsiadów" kolejno „przywiązania do dziejów biblijnych i poszanowania tradycji" i „przede wszystkim nadziei na dobrą przyszłość", a jedni i drudzy mogą nam w tym „szczególnie dopomóc". W pewnym momencie ksiądz prymas mówi też o zmieniającym się prawie w niepewnej sytuacji społecznej Jerozolimy i wyraża obawę, że „być może te Domy nie będą mogły spełniać swojego działania". Ale zapewnia jednocześnie, że w poczuciu odpowiedzialności będzie nadal otaczał je troską.

Następnie na ekranie pojawia się katolicki patriarcha Jerozolimy, kard. Pierbattista Pizzaballa. Zachęca nas do stwarzania nieruchomościom „nowych perspektyw i możliwości". Podkreśla, że większość zakonników prowadzących różnorakie dzieła w Jerozolimie to obcokrajowcy „nie zawsze znający prawo obowiązujące w Izraelu i w swej pracy nie uwzględniają lokalnej dynamiki" i z tego powodu „niektóre posiadłości nie są czasem należycie traktowane, a personel zakonny nie został należycie poinformowany o wszystkich przepisach prawnych i ich zmianach, co powoduje wiele nieporozumień z lokalnymi władzami". Patriarcha dodaje, że „jeżeli w przeszłości prowadzenie takich nieruchomości było łatwiejsze i tańsze, to dziś staje się trudniejsze z prawnego punktu widzenia". Przestrzega też przed możliwością przejęcia nieruchomości przez bliżej nieokreślonych wrogów, jeżeli nie zostały one odpowiednio zabezpieczone prawnie.

Kardynał nie mówi wprost o Domach Polskich, ale przecież jego wypowiedź jest częścią filmu traktującego właśnie o nich. To budzi niepokój, tym bardziej że patriarcha dodaje, że „powinniśmy oferować pielgrzymom i Kościołowi w Polsce nowe możliwości, tak by być Kościołem, który nie tylko otrzymuje, lecz także obdarowuje".

NOWE OTWARCIE DLA NOWEGO DOMU?

Co mogą oznaczać te słowa, stanowiące puentę filmu? Jeszcze wśród zebranych na lubelskim pokazie zaczęła pojawiać się myśl, że archidiecezja gnieźnieńska będzie chciała urządzić w murach zarządzanych przez siostry Domów Polskich coś w rodzaju centrum konferencyjnego, centrum dialogu międzyreligijnego albo wręcz filię Centrum Relacji Katolicko-Żydowskich im. Abrahama J. Heschela. Czy to prawda? Czy tezy zawarte w filmie i zignorowanie roli sióstr elżbietanek mogą prowadzić do takich wniosków? Czy jest do pomyślenia, by niezwykle atrakcyjnie ulokowane działki i nieruchomości, od dekad służące niezamożnym Polakom, mogły stać się kością niezgody w polskim Kościele?

Zadałem te pytania księdzu prymasowi za pośrednictwem jego rzecznika. Ten zaś zdecydowanie zaprzecza, że w którymkolwiek z Domów Polskich w Jerozolimie ma powstać oddział/filia Centrum Relacji Katolicko-Żydowskich KUL im. Abrahama J. Heschela lub inne centrum dialogu/centrum konferencyjne. Nie ma też mowy o sprzedaży budynków.

Również Centrum Heschela zapewniło, że „nie ma aktualnie żadnych planów na otwarcie swojej placówki w którymś z Domów Polskich w Jerozolimie". Ksiądz profesor Mirosław Wróbel, pełnomocnik rektora KUL do spraw relacji katolicko-żydowskich i badań naukowych w Ziemi Świętej, poinformował mnie jednak, że Centrum Heschela KUL jest otwarte do dialogu zarówno z siostrami elżbietankami, jak i z archidiecezją w sprawie zachowania tożsamości Domów Polskich w Jerozolimie i ich przyszłego funkcjonowania. Przyznał też, że toczą się na ten temat rozmowy między siostrami i prymasem.

Jakiś czas temu w wypowiedzi dla Polskiego Radia 24 delegat prymasa do spraw Domów Polskich, ks. Mirosław Jasiński, także wspominał, że „Domy Polskie w Jerozolimie powinny być otwarte na nowe potrzeby i możliwości". Jakie nowe potrzeby, jakie nowe możliwości delegat miał na myśli i w jaki sposób będą one realizowane? Czy o tych ewentualnych planach są informowane siostry elżbietanki i czy ich opinia będzie wiążąca dla ewentualnej decyzji o realizacji tych „potrzeb" i „możliwości"? Siostry w tej sprawie głosu nie zabierają. Ksiądz rzecznik archidiecezji twierdzi też, że wspomniane „otwieranie się na nowe możliwości" nie oznacza zmiany przeznaczenia tych domów, a działalność dla Polaków i pielgrzymów z Polski będzie – jak dotychczas – priorytetem działania Domów Polskich w Jerozolimie.

Czy te odpowiedzi są uspokajające? Mimo dopytywania nie otrzymałem odpowiedzi na pytanie o to, czym są precyzyjnie owe „nowe możliwości".

W czasach pogrążenia Kościoła w przejmującym kryzysie byłoby skandaliczne, gdyby komukolwiek rzeczywiście przyszło do głowy odebranie siostrom dzieła, nad którym pracują od dekad, lub przekształcenie go w sposób niezgodny z intencją inicjatora. Równie haniebne byłoby uzależnienie niezwykle zasłużonych i świetnie zorganizowanych sióstr elżbietanek od jakiegokolwiek innego podmiotu, czy to w kwestii organizacyjnej czy finansowej.

Ale przecież w tak ważnej sprawie, którą jest bicie „polskich serc" w Jerozolimie, nikt w Kościele przecież nie zniży się do takiego poziomu. Nieprawdaż?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest redaktorem naczelnym PCh24.pl.

eprasa.pl bcaf610a37

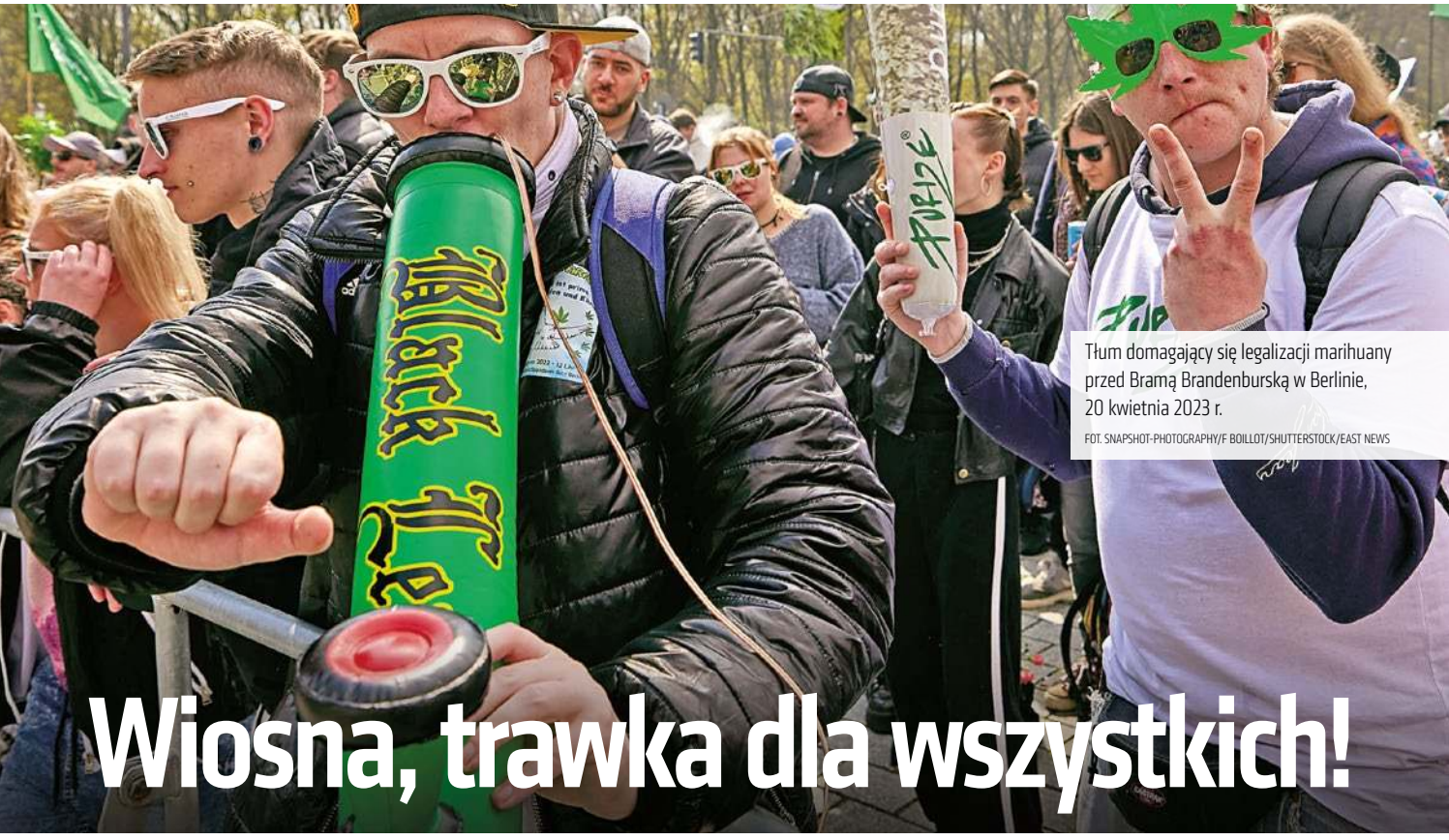

Tłum domagający się legalizacji marihuany przed Bramą Brandenburską w Berlinie, 20 kwietnia 2023 r.

FOT. SNAPSHOT-PHOTOGRAPHY/F BOILLOT/SHUTTERSTOCK/EAST NEWS

Wiosna, trawka dla wszystkich!

Jan Bogatko z Berlina

Marihuana dla wszystkich – to nie były prima aprilis ani odezwa ludowych klubów sportowych. Zieloni zrealizowali jedną z obietnic. Ten narkotyk w Niemczech jest już legalny

W nocy z 31 marca na 1 kwietnia 2024 r., dokładniej – o północy, wesoły tłum zebrał się przed Bramą Brandenburską w Berlinie przy dźwiękach muzyki reggae. To wielkie święto dla narkomanów i dilerów! Od 1 kwietnia można w Niemczech (z pewnymi wyjątkami) jarać zioło, uprawiać marychę i – co ważniejsze – posiadać ją bez narażania się na karę. Raj na ziemi? – To dopiero początek – mówi właściciel psa, z którym chętnie bawi się mój burek na trawniku, po którym psom nie wolno biegać pod karą grzywny. – Potem margines wolności się zwiększy – dodaje.

Z legalizacji marihuany cieszy się także minister sprawiedliwości w Berlinie, Marco Buschmann, członek lewicowego rządu z ramienia koalicyjnej partii FDP. Jego zdaniem legalizacja marihuany oznacza w perspektywie mniej pracy dla policji i wymiaru sprawiedliwości (mniej ścigania, mniej postępowań sądowych). A dzisiaj jest w toku ponad 100 tys. spraw przeciwko konsumentom marihuany i haszyszu – mówi minister Buschmann, uważając, że oznacza to fiasko niemieckiej polityki walki z narkomanami.

„WIĘCEJ POSTĘPU"

Legalizując konsumpcję trawki, rząd Niemiec zrealizował jedną z obietnic wyborczych. Figuruje ona jako cel w liczącej 144 strony umowie koalicyjnej SPD-Zielonych-FDP pod wszystko mówiącym tytułem „Odważmy się na więcej postępu". O ten postęp niegdyś konserwatywno-liberalna partia Wolnych Demokratów walczy już od lat (dotyczy to też obyczajów). Legalizacja narkotyków z grupy określanej jako „miękkie" zezwala Niemcom od 18. roku życia (zaraz pojawiły się pytania – a dlaczego nie od lat 16?) na palenie marihuany lub haszyszu w określonych miejscach. Zakazem palenia objęto place zabaw, boiska sportowe, placówki dla dzieci i młodzieży. Czyli nic ze skręta na dużej przerwie? Czy do pilnowania tych miejsc skieruje się teraz policjantów, którzy do tej pory ścigali narkomanów i dilerów?

Lewicowy rząd Niemiec planował początkowo wprowadzoną właśnie legalizację powiązać z legalizacją handlu używkami. Ale podobno po rozmowach na szczeblu Unii Europejskiej projekt ten zarzucono. Początkowo – jak słychać. W każdym razie dilerzy mogą spać spokojnie. I to mimo zgody na trzy doniczki z marihuaną na domowym parapecie. To przecież żadna konkurencja.

W innych krajach konopie indyjskie też są legalnym środkiem odurzającym. Prekursorem jest Urugwaj, gdzie już w 2013 r. zalegalizowano konsumpcję, sprzedaż i uprawę ziela. Holandia od lat 70. ubiegłego wieku tolerowała sprzedaż i uprawę konopi indyjskich. W coffeeshops można wprawdzie kupić marihuanę czy haszysz, ale ich uprawa czy handel hurtowy są zabronione. Zabronione jest także wwożenie ich do Niemiec. Niemiecki Urząd Celny informuje, że wwóz czy przewożenie konopi

eprasa.pl bcaf610a37

indyjskich lub choćby transport w tranzycie nawet na użytek własny – w ilości do 25 g – jest zabroniony i podlega karze.

W Europie również Malta i Luksemburg zezwalają na używanie miękkich narkotyków. Oba te państwa zliberalizowały prawo karne w latach 2021 i 2023. Na Malcie można na balkonie mieć zgoła cztery doniczki z marihuaną. Także w czerwonej Hiszpanii nie ściga się teraz amatorów jointa. Przepisy pozostają jednak w gestii gmin, stąd są dość zróżnicowane, popularnością cieszą się „społecznościowe kluby konsumentów marihuany". Jest ich ponad tysiąc, w tym także w Barcelonie. Królestwo Belgów też przymyka oko na konopie indyjskie. W ubiegłym roku socjalistyczny wicepremier Belgii, Pierre-Yves Dermagne, stwierdził na łamach gazety „De Morgen", że należałoby się zastanowić nad legalizacją marihuany.

Opozycja chadecka w Niemczech (CDU i CSU) sprzeciwia się legalizacji miękkich narkotyków. Rzecznik klubu poselskiego CDU/CSU w Bundestagu do spraw polityki zdrowotnej, Tino Sorge, w rozmowie z agencją DPA ironicznie stwierdził, że faktycznie 1 kwietnia to historyczny dzień. Przejdzie bowiem do historii jako ten, w którym lewicowa koalicja rządząca uruchomiła nigdy dotąd niespotykany program rozwoju koniunktury dla czarnego rynku: „W okresie najbliższych tygodni nielegalna marihuana i haszysz zaleją rynek" – zapowiedział Sorge. Dla polityka CSU powzięta właśnie legalizacja miękkich narkotyków to ryzyko dla wewnętrznego bezpieczeństwa. Sorge zapewnił, że po zmianie rządu w Berlinie prawo to zostanie uchylone.

Z kolei premier Bawarii Markus Söder (z CSU) napisał na platformie X, że ustawa o legalizacji marihuany szkodzi Niemcom i naraża na szwank zdrowie obywateli. Pisze on o „fatalnym błędzie". „Będziemy stosować tę ustawę bardzo restrykcyjnie" – zaznacza. I dodaje: „Chcemy w Bawarii utrudnić życie amatorom marihuany".

Członek Komisji Zdrowia w Bundestagu, poseł AfD, Jörg Schneider, podkreśla, że jego klub poselski odrzuca ustawę o legalizacji miękkich narkotyków. Tymczasem legalna produkcja na użytek własny i w klubach konsumentów ruszy po długim czasie po legalizacji i wynikającym z niej wzroście konsumpcji. Lukę w zaopatrzeniu w narkotyk zdaniem polityka pokryje czarny rynek. Mafia marihuany spoziera z błyskiem w oku na Niemcy. Schneider zwraca uwagę na niesławną rolę Unii Europejskiej w procesie legalizacji tzw. miękkich narkotyków. I tak pragmatyczne modele dotyczące kontrolowanych upraw i sprzedaży miałyby większość parlamentarną, ale hamuje je skostniałe prawo UE. Klub parlamentarny AfD w Bundestagu obawia się w związku z legalizacją wzrostu konsumpcji marihuany i haszyszu w Niemczech. Zwłaszcza kiedy młodociani zostaną nałogowymi konsumentami, powstaje duże ryzyko, że rozwój umysłowy i wydajność zostaną trwale ograniczone.

Czy polityk AfD wyraża tu niesprawdzony, a nawet fałszywy pogląd?

MARIHUANA SZKODZI

Naukowcy przestrzegają tymczasem przed skutkami narkotyków dla mózgu człowieka. Badacz mózgu, Martin Korte z Technische Universität Braunschweig (uniwersytet w Brunszwiku), tłumaczy, że kannabinoidy szczególnie wpływają na płat czołowy, ważną część mózgu czołowego: „Ten obszar mózgu daje nam zdolność planowania działań, rozwiązywania problemów i kontrolowania impulsów. Jeśli młodzi ludzie regularnie palą trawkę, to ryzykują zmniejszenie tych zdolności, reagują bardziej impulsywnie i mają trudności z koncentracją na zadaniu. Ogólnie rzecz biorąc, wydajność umysłowa spada".

Ponadto intensywne spożycie konopi indyjskich może aktywować obszary mózgu, które mogą wywoływać halucynacje i prowadzić do objawów psychotycznych". Korte ostrzega, że młodzi dorośli również ryzykują swoim zdrowiem, jeśli często palą trawkę: „Rozwój płata czołowego kończy się dopiero w połowie dwudziestki". Ekspert radzi, aby legalny zakup konopi indyjskich był dozwolony najwcześniej od 25. roku życia.

Z danych kasy chorych KKH ewidentnie wynika szkodliwość konsumpcji marihuany dla młodego człowieka. W grupie wiekowej od 15 do 24 lat odsetek diagnoz związanych z ostrym zatruciem, uzależnieniem, objawami odstawienia lub problemami psychicznymi po zażyciu konopi indyjskich wzrósł z 0,2 do 0,5 proc. w latach 2012–2022. W liczbach bezwzględnych nie jest to liczba ogromna – w 2022 r. w tej grupie wiekowej dotkniętych było szkodliwymi objawami ok. 900 osób. Ale kasa chorych wyjaśnia: „W analizie uwzględniono tylko potwierdzone diagnozy ambulatoryjne; liczba niezgłoszonych przypadków prawdopodobnie jest znacznie wyższa".

Justin Onyechi z zespołu do spraw profilaktyki kasy chorych KKH podkreślił, że ryzyko późniejszego uzależnienia i zażywania innych narkotyków drastycznie wzrasta, jeśli konopie indyjskie są regularnie spożywane w okresie dojrzewania. Martwi go jeszcze coś: legalizacja nie powinna mieć negatywnego wpływu na ochronę osób niepalących i kampanie antynikotynowe. Edukacja na temat konopi powinna zawierać także informację, że palenie grozi śmiercią – konopie często pali się w jointach zmieszanych z tytoniem.

Zadowolenie z tego, że legalizacja miękkich narkotyków w Niemczech odciąży policję oraz wymiar sprawiedliwości, może okazać się przedwczesne. 3 kwietnia prezydent policji w Kolonii, Johannes Hermanns, podczas prezentacji statystyki przestępstw za rok 2023 poruszył także temat legalizacji miękkich narkotyków w Niemczech, stwierdzając, że „legalizacja obciąży policję". Nie da się dzisiaj oszacować możliwości dla przestępców – uważa pierwszy policjant Kolonii. Hermanns wskazuje też na niedopowiedzenia i luki w regulacji prawnej, dotyczy to zwłaszcza stref zakazu (100 m od szkół, centrów młodzieży i placów zabaw). Policja obawia się ponadto wzrostu liczby konfliktów z osobami znajdującymi się pod wypływem narkotyków.

Nie tylko niemiecka policja obawia się, że Niemcy mogą stać się mekką dla narkoturystów z państw sąsiedzkich. Jak z Polski czy z Austrii. Do Niemiec po trawkę? Legalizacja konopi indyjskich w Niemczech prawdopodobnie w ciągu najbliższych kilku tygodni będzie miała wpływ także na Austrię – uważa wiedeńska „Die Presse". Austriacka policja przygotowuje się na to, że coraz więcej kierowców może prowadzić pod wpływem narkotyków i rozpoczyna działania w przygranicznych landach: Górnej Austrii, Salzburgu, Tyrolu i Vorarlbergu. Aż do odwołania – mówi rzecznik policji w Salzburgu, Hans Wolfgruber.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl bcaf610a37

RZĄDOWE DOPŁATY DO KEBABÓW?

W Niemczech młodzi narzekają, że ceny rosną. Zwłaszcza niepokoją ich ceny kebabów. Pytają o to co rusz na różnych publicznych spotkaniach kanclerza. Kathi Gebel, rzeczniczka niemieckiej lewicy do spraw polityki młodzieżowej, na łamach „Bildu" zaproponowała śmiały plan ratowania młodzieżowych brzuchów – uznała, że państwo powinno dokładać 3 euro do każdego kebaba. W efekcie rządowej interwencji młody Niemiec płaciłby za porcję tego jedzenia 4,9 euro (czyli nieco ponad 20 zł). Koszt takiego programu obciążyłby budżet kraju kwotą 4 mld euro rocznie. Ale czego się nie robi dla wyborców.

FOT. ADOBE STOCK

SPOKOJNIE JAK WE FRANCJI

Podczas tegorocznego Święta Pracy 1 maja we Francji było wyjątkowo spokojnie – oceniły służby. W protestach w całym kraju brało udział do 200 tys. osób i rannych zostało zaledwie 12 policjantów. Podczas demonstracji w Paryżu zatrzymano 45 osób. I to naprawdę było spokojne świętowanie, ponieważ rok temu w tym czasie we Francji na ulice wyszło ok. 2 mln mieszkańców protestujących przeciw reformom emerytalnym Emmanuela Macrona.

PRZEPISY BUMERANGOWE

Boris Johnson, były brytyjski premier, chciał zagłosować w wyborach lokalnych. To mu się nie udało. Bo pojawił się w lokalu wyborczym bez dokumentu tożsamości ze zdjęciem. A przepisy wprowadzone właśnie przez jego rząd narzuciły od 2022 r. wymóg takiego legitymowania się przy braniu udziału w lokalnych plebiscytach. Według BBC Johnson wrócił na głosowanie i pokazał dokument ze zdjęciem.

SZWAJCARSKI SCYZORYK BEZ OSTRZA

Victorinox i jej składane ostrza to już właściwie legenda. Firmą kieruje już czwarte pokolenie i jego przedstawiciel – Carl Elsener – zapowiedział zmianę. Na rynek wychodzić będzie wersja scyzoryka pozbawiona ostrza noża. Co ma więc tam być? Na przykład składane narzędzia przydatne rowerzystom. Przedstawiciel Victorinox argumentował, że w ten sposób firma przygotowuje się na coraz większą liczbę krajów, w których zakazuje się noszenia noży w publicznych miejscach.

LONDYN POD NAMIOTEM

W Londynie pojawiła się kontrowersyjna oferta w serwisie Airbnb. W dzielnicy Chinatown do wynajęcia jest... namiot stojący w mieszkaniu. Wynajęcie kosztuje w przeliczeniu 400 zł za dobę. Do tego „opłata serwisowa" – ok. 70 zł. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Platon i sztuczna inteligencja

Starożytne papirusy odnalezione w Herkulanum, mieście zniszczonym wraz z Pompejami w wyniku potężnego wybuchu Wezuwiusza w 79 r. n.e., zawierają niezwykle cenne informacje dla współczesnych. O tym wiadomo od dawna. Dopiero teraz, dzięki wykorzystaniu sztucznej inteligencji, udaje się rozszyfrować teksty zachowane na zwęglonych kawałkach papirusów, z których sam człowiek nie dałby rady odczytać zbyt wiele.

Włoscy naukowcy wykorzystali sztuczną inteligencję do zbadania podniszczonego i zwęglonego zwoju zawierającego „Historię Akademii" greckiego poety i filozofa Filodemosa z Gadary ze szkoły epikurejskiej, który urodził się ok. 110 r. p.n.e., a zmarł ok. 39 r. p.n.e.

Efekt? Niebywały wręcz sukces. Naukowcom wspieranym przez SI udało się odczytać relację dotyczącą ostatnich chwil Platona. Zwój ujawnił także współczesnym dokładne miejsce pochówku słynnego greckiego ojca filozofii i jednego z najważniejszych myślicieli w historii świata. Badacze odkryli również nowe fakty dotyczące sprzedania Platona w niewolę (już w 404 r. p.n.e.). Odczytali także relację dotyczącą ostatnich chwil filozofa, który złożony gorączką zdołał jeszcze ocknąć się, aby skrytykować przygrywającą mu na flecie niewolnicę za to, że przez swoje barbarzyńskie pochodzenie nie potrafi trzymać rytmu.

Odczytany zwój daje nadzieję na wiele przełomowych odkryć. Tylko w tzw. Willi Papirusów w Herkulanum odkryto bowiem niemal 2 tys. starożytnych zwojów. Sztuczna inteligencja może zaś skutecznie wspierać najnowsze techniki obrazowania, cyfrowe mikroskopy optyczne etc. ©℗

eprasa.pl bcaf610a37

Telewizję Republika oglądać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz w lokalnych multipleksach naziemnych MUX w: Katowicach, Warszawie, Trójmieście, Wrocławiu, Częstochowie, Tomaszowie Mazowieckim, Jeleniej Górze, Legnicy, Głogowie, na Śląsku i w części woj. opolskiego i małopolskiego. Aktualna lista MUX dostępna jest na serwisie www.tvrepublika.pl – gdzie także obejrzysz TV Republika na żywo. Wszystkie programy znajdziesz na kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

eprasa.pl bcaf610a37

Zalani chińskimi „elektrykami"

Z dr. Jakubem Jakóbowskim wicedyrektorem Ośrodka Studiów Wschodnich, znawcą gospodarki Chin
rozmawia Piotr Włoczyk

PIOTR WŁOCZYK: Chiński koncern motoryzacyjny BYD wypuścił niedawno na rynek model Seagull (Mewa), miejskie auto elektryczne w cenie ok. 40 tys. zł. Ten samochód to koszmar europejskich producentów aut?

DR JAKUB JAKÓBOWSKI: Ceny chińskich aut elektrycznych oferowanych na rynku ChRL są bez wątpienia oszałamiające, średnio o kilkadziesiąt procent niższe niż w Europie. Pytanie, czy to oznacza, że tak tanie samochody zaleją rynek europejski.

I tu odpowiedź nie jest już tak oczywista?

W samych Chinach trwa wielka wojna cenowa, ponieważ moce fabryk produkujących auta elektryczne są rozkręcone na ogromną skalę – to efekt polityki przemysłowej Pekinu i subsydiów. Wynika to także z przewag technologicznych, które w ostatnich latach pojawiły się w Chinach. Auta, które dopływają do nas z ChRL statkami, są sprzedawane w wyższych cenach, ponieważ Chińczycy nie mają w Europie bazy serwisowej swoich samochodów,

eprasa.pl bcaf610a37

FOT. ADOBE STOCK

muszą je przetransportować i zapłacić od nich cło. Seagull, o którym jest ostatnio dosyć głośno, to model BYD, największego na świecie producenta aut elektrycznych, który zamierza je produkować na Węgrzech. To będzie pierwsza tej skali inwestycja chińska w Europie. Jeżeli również w UE chińscy producenci pójdą na wojnę cenową, to być może za kilka lat będziemy mieli do czynienia z sytuacją, gdy chińskie samochody produkowane na Węgrzech będą bezkonkurencyjne cenowo.

I dlatego, bojąc się o przyszłość własnego przemysłu motoryzacyjnego, Komisja Europejska rozpoczęła dochodzenie w sprawie chińskich subsydiów dla producentów „elektryków"?

Europa widzi, że koszty produkcji aut elektrycznych w Chinach są zupełnie nieporównywalne. Wynika to po części z tego, że w ChRL producenci otrzymują wysokie subsydia. Na preferencyjnych warunkach dostają m.in. ziemię pod inwestycje czy energię elektryczną. Oferowane przez nich ceny nie są więc rynkowe i jest to podstawa dla bardzo kontrowersyjnego dochodzenia, które obecnie prowadzi KE. Ma ono na celu ukrócenie importu gotowych samochodów z Chin do Europy poprzez zwiększenie ceł. W związku z tym Chińczycy stwierdzili, że skoro eksportowanie aut do UE może być droższe, to trzeba je zacząć produkować w Europie. Jednym z modeli takiego wejścia jest właśnie inwestycja BYD. Mamy tu jeszcze jeden ciekawy news, o którym było ostatnio głośno. W Tychach, w fabrykach francusko-włosko-amerykańskiego koncernu Stellantis, będzie produkowany inny chiński samochód marki Leapmotor. Producent z ChRL będzie więc zostawiał w Europie, w kooperacji z miejscowymi firmami, trochę wartości dodanej.

Przywykliśmy do myśli, że przeciętne auto elektryczne jest sporo droższe od spalinowego odpowiednika. Chińczycy trwale zmienią ten stan rzeczy?

Jak już wspomniałem, ich ceny nie są rynkowe. Ale też samochód elektryczny jest znacznie mniej skomplikowany niż auto spalinowe. Silnik elektryczny jest bardzo prostą i w gruncie rzeczy starą technologią. Sercem „elektryka" jest bateria i to ona jest najbardziej problematycznym elementem, ale Chińczycy ogromnie rozbudowują moce produkcyjne w tym zakresie. Na Węgrzech budowana jest właśnie gigantyczna fabryka koncernu CATL, czołowego światowego producenta baterii, za ponad 7 mld euro. Jeśli w związku z tym nadal będzie trwało zbijanie kosztu produkcji baterii, to auta elektryczne będą coraz tańsze.

Czy w kontekście aut elektrycznych z ChRL Bruksela wyciągnęła lekcję z tego, co się stało z europejskim sektorem fotowoltaicznym?

Fotowoltaika tanieje, ponieważ Chińczycy inwestują w nią od dawna. Dekadę temu Europa oddała ten sektor niemal bez walki. Przypomnijmy, że w 2013 r. w UE nastroje wobec chińskiej fotowoltaiki były mniej więcej takie, jak dziś wobec aut elektrycznych. Pojawił się wtedy projekt nałożenia wysokich ceł. Wówczas jednak Angela Merkel nie pozwoliła na to, mając na uwadze ogromne zyski niemieckich koncernów motoryzacyjnych na rynku chińskim.

> **Europa widzi, że koszty produkcji aut elektrycznych w Chinach są zupełnie nieporównywalne**

W imię sprzedaży aut poświęcono więc europejski przemysł fotowoltaiczny. Dziś ta branża jest kompletnie zdominowana przez chiński biznes i Europa niemal się tu nie liczy. Dla wielu osób jest to przestroga w kontekście przyszłości europejskiej motoryzacji. Skoro Europa przegrała w rozwoju kluczowej zielonej technologii, którą jest fotowoltaika, to dlaczego nie miałaby ponieść klęski również na polu produkcji aut elektrycznych?

W UE stworzyliśmy bardzo ambitną agendę elektryfikacji mobilności, której jednak nie towarzyszył wystarczający wysiłek po stronie przemysłowej. Europa chce się jak najszybciej przesiadać na „elektryki", tymczasem wobec problemów po stronie europejskich producentów wszystko wskazuje na to, że będą to „elektryki" chińskie.

Elon Musk, szef Tesli, w styczniu mówił, że bez barier handlowych chińscy producenci aut elektrycznych „zdemolują" zagranicznych rywali. To realna groźba?

Jeżeli spojrzeć na to, jakie marki aut elektrycznych produkowanych w Chinach dopływają dziś do Europy, to okazuje się, że Tesla ma w tym ogromny udział. Sam Musk korzysta więc z tego, że działając w chińskim „ekosystemie", może zbijać koszty. Sądzę, że jego uwaga odnosi się do czegoś innego. Zarówno Musk, jak i inni

eprasa.pl bcaf610a37

producenci aut nie zakładali, że Chińczycy będą w stanie tak szybko rozwijać się pod względem technologicznym. Uważali, że skoro Chińczykom nie udało się zbudować własnych wielkich marek samochodowych, to podobnie będzie w przypadku aut elektrycznych. Analiza chińskich strategii gospodarczych pokazuje, że już na samym początku XXI w. elektromobilność była dla Pekinu priorytetem. Światowi giganci, w tym Musk, nie docenili Chińczyków. Co ciekawe, Niemcy tak bardzo zaspali, że dziś muszą sięgać do Chin jako do źródła technologii!

Jak można było to przespać? Przecież to wielki sektor, a nie jedno ukryte laboratorium.

A jednak. Na początku Chińczycy zapraszali zagranicznych producentów, by lokowali w ich kraju produkcję np. baterii. Chińczycy zaczęli się uczyć tych technologii, czasem poprzez imitację, a czasem poprzez innowację. Pekin stosował też protekcjonizm, popychając swój własny ogromny rynek w stronę elektromobilności. Kto odwiedza metropolie na wybrzeżu ChRL, ten widzi bardzo dużo „elektryków". Wynika to z tego, że kupując auto elektryczne, od razu dostajemy tablice rejestracyjne, a po kupnie samochodu spalinowego trzeba na nie czekać wiele miesięcy. I dlatego dziś w Chinach udział „elektryków" jest o wiele większy niż na innych rozwiniętych rynkach.

Czy podniesienie ceł w wyniku dochodzenia KE nie będzie oznaczało automatycznych – i bardzo bolesnych – retorsji ze strony Pekinu?

To bardzo gorący temat w Brukseli, a także w kilku innych europejskich stolicach. Koszty i zyski z tej polityki różnie się bowiem rozkładają w Europie. Przykładowo: duże koncerny niemieckie uważają, że zawsze będzie popyt na ich drogie samochody. Niemcy wychodzą z założenia, że Chińczycy nie będą w stanie z nimi konkurować na tym polu. Kilka miesięcy temu byłem w Berlinie i rozmawiałem z przedstawicielami największego zrzeszenia producentów samochodów. Starałem się im uzmysłowić, że 15 lat temu telefony Huawei były prawie w ogóle nieznane… Dziś rzeczywiście nie ma luksusowych chińskich marek elektrycznych, ale to się szybko może zmienić. W niejednej branży tego typu lekceważenie kończyło się przesypianiem decydujących momentów, gdy pojawiała się bardzo dynamicznie działająca konkurencja...

Stany Zjednoczone są dużo lepiej przygotowane do konkurowania z Chinami niż Europa

O ile Niemcy czują się tu w miarę pewnie, o tyle inni europejscy producenci boją się głównie konkurencji ze strony tanich modeli chińskich aut elektrycznych. Myślę tu przede wszystkim o wielkim biznesie francuskim i włoskim, który w jakiejś mierze stoi za otwarciem wspomnianego postępowania przeciw Chinom.

Niemcy nie za bardzo boją się chińskiej konkurencji, ale za to bardzo się obawiają chińskich retorsji. Nie tylko podwyższenia ceł, lecz także zablokowania eksportu kluczowych komponentów i surowców.

Te obawy było widać w trakcie niedawnej wizyty kanclerza Niemiec Olafa Scholza w Chinach?

Groźba retorsji na niemieckim przemyśle wisi w powietrzu i sądzę, że myśl o tym towarzyszyła też Scholzowi w Chinach. Ale tym razem Chińczycy skupili się na marchewkach: przede wszystkim dostępie do chińskich technologii. Największe niemieckie marki samochodów – których przedstawiciele gremialnie polecieli z kanclerzem do Pekinu – podpisują z chińskimi partnerami licencje na kluczowe komponenty do produkcji „elektryków", podpisano też wstępne porozumienia dotyczące samochodów autonomicznych. Tu również Niemcy pozostają w tyle. Wydaje się więc, że niemiecki biznes wychodzi z następującego założenia: jeśli nie można z Chinami wygrać, to należy się do nich przyłączyć. Ale to perspektywa wielkich koncernów – małe i średnie niemieckie firmy, często rodzinne, mają inną perspektywę. Tak samo jak część elit politycznych. Niemcy pozostają podzielone w sprawie Chin, ale widzimy, kto dyktuje politykę.

Czy Chińczycy powinni z niepokojem czekać na kontrakcję Brukseli? UE wprowadzi wyższe bariery dla chińskich „elektryków"?

Patrząc na to dochodzenie od strony czysto technicznej, nie ma możliwości, żeby UE nie nałożyła wyższych ceł. Chińskie dotacje są bowiem rzeczą bezdyskusyjną. Jedynym znakiem zapytania jest tu polityka. Dochodzenie jest „dzieckiem" Ursuli von der Leyen. Pytanie, czyje racje przeważą w grze o cła. Zresztą, jak już wspomniałem, w samych Niemczech sytuacja jest pod tym względem bardzo niejednoznaczna i część tamtejszych polityków i biznesu domaga się powstrzymania chińskiej ekspansji.

Czy za kolejne 10 lat powtórzy się sytuacja z branży fotowoltaicznej i Chińczycy będą światowym dominatorem w dziedzinie produkcji „elektryków"?

Raczej nie, ponieważ w innych regionach świata Chińczycy mają większe problemy ze swoją ekspansją. USA są dużo lepiej przygotowane do konkurowania z Chinami niż Europa. Tak samo Japonia i Korea Południowa. Amerykanie wprowadzili w 2022 r. tzw. Inflation Reduction Act (Ustawa o redukcji inflacji), w której „zaszyto" narzędzia chroniące amerykański przemysł. Jeżeli Amerykanin chce dostać rządową – całkiem pokaźną – dotację na zakup samochodu elektrycznego, to w jego łańcuchu dostaw nie może być chińskich komponentów. Amerykanie zaczynają w ten sposób promować własne rozwiązania technologiczne. Krótko mówiąc, USA mają lepsze narzędzia ochrony swojego rynku przed chińskimi „elektrykami" niż Europejczycy.

W ciągu najbliższych dwóch–trzech lat będziemy widzieli w UE dużo więcej chińskich aut elektrycznych. I sądzę, że ta sytuacja zostanie z nami na dłużej. Moim zdaniem pytanie brzmi raczej, czy zdołamy się ochronić przed importowaniem aut z ChRL, ponieważ wówczas cała wartość dodana zostaje w Chinach. Polska też powinna optować za wiązaniem chińskich producentów „elektryków" z europejskim „ekosystemem", skoro w naszym kraju działa bardzo wiele firm z branży automotive.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Doktor Jakub Jakóbowski jest wicedyrektorem Ośrodka Studiów Wschodnich, kierownikiem Zespołu Chińskiego OSW.

eprasa.pl bcaf610a37

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

A co na to wiceprezes PiS?

To jest, trzeba przyznać, przełomowa decyzja. Prezes PiS, Jarosław Kaczyński, zapowiedział bowiem, że „każdy, kto będzie kandydował z tej listy [listy PiS do europarlamentu – przyp. P.G.], będzie musiał podpisać pewną liczbę punktów", dodając, że na razie ścierają się koncepcje, czy punktów tych ma być 12 czy pięć.

Tak czy owak, czyli niezależnie od tego, czy deklaracja PiS zawierać będzie punktów 12 czy pięć, chodzić ma w niej o to samo. Jak się wyraził prezes PiS: „Żadnych zmian w traktatach, żadnych Zielonych Ładów, żadnych działań, które niszczą gospodarkę, niszczą Polskę, degradują Europę i żadnych ograniczeń wolności, które wynikają z penalizacji tego wszystkiego, co wynika z tzw. poprawności politycznej". Deklaracja nie pozostawia więc cienia wątpliwości w sprawie oczekiwanego przez prezesa PiS stosunku wszystkich kandydatów PiS na europosłów do wszystkiego, co może rujnować Polskę. Nie może być mowy o zaakceptowaniu przez nich Zielonego Ładu, a więc „Fit for 55" czy „Fit for 90". Dalej, jeśli nie może być mowy o popieraniu przez nich zmian w traktatach UE, to tym bardziej nie może być mowy o popieraniu w UE jakichkolwiek zmian pozatraktatowych – takich jak wprowadzone niedawno za zgodą rządu PiS przy okazji przyjmowania KPO, czyli Krajowego Planu Odbudowy. A sprowadzających się do wyrażenia przez rząd PiS zgody na – po pierwsze – nakładanie przez Komisję Europejską podatków na obywateli państw UE, w tym Polski; po drugie – na zaciąganie przez KE długów na poczet budżetów państw UE; i wreszcie, po trzecie – na stosowanie zasad warunkowości w wypłacaniu pieniędzy należnych państwom UE, np. zasady „pieniądze za praworządność", której KE użyła później przeciw rządowi PiS.

Wszelako – jak wynika z szykowanej przez PiS deklaracji dla kandydatów na europosłów – obowiązywać ma ich także zasada niezgody dla jakichkolwiek działań, „które niszczą gospodarkę, niszczą Polskę". A jeśli przyjrzeć się ostatnim danym dotyczącym ogromnej liczby zamykanych dziś w Polsce firm – małych i dużych, polskich i zagranicznych – to naprawdę nietrudno powiązać to z wprowadzonymi przez rząd PiS Polskim Ładem i serią zabójczo wysokich podwyżek płacy minimalnej. Zatem kandydaci PiS na europosłów musieliby zapewne zadeklarować, że również takim działaniom będą się po objęciu mandatów twardo sprzeciwiać.

Niestety, na razie nie wiadomo, co na to wszystko wiceprezes PiS i były premier z PiS Mateusz Morawiecki – architekt Polskiego Ładu, który zaaplikował Polsce także kamienie milowe Zielonego Ładu (w tym „Fit for 55") i przystał na wprowadzenie w UE zmian pozatraktatowych. Czy jest za? ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Kogo rozczaruje Magyar

9 czerwca na Węgrzech odbędą się jednocześnie wybory do Parlamentu Europejskiego oraz samorządowe. Nagle w tym kontekście o „braciach" Węgrach przypomniał sobie Mateusz Morawiecki. Chodząc kilkanaście dni temu po Budapeszcie, natykałem się na plakaty reklamujące wydanie tygodnika „Mandiner", z panem byłym premierem na okładce i tytułem: „Brüsszel veszélyt jelent az Európai demokráciára" („Bruksela jest zagrożeniem dla europejskiej demokracji"). Zadziwiające, jak szybko pan Morawiecki zapomniał, jak wieszał na Viktorze Orbánie psy za jego niezależną linię w sprawie Ukrainy. W lipcu 2022 r. ogłaszał stanowczo: „Drogi Polski i Węgier się rozeszły!".

Pan Morawiecki szybko zapomniał, jak wieszał na Orbánie psy za linię w sprawie Ukrainy

Z kolei obecna polska władza liczy, że w czerwcowych wyborach Fidesz dostanie łupnia ze strony nowego lidera węgierskiej opozycji, Pétera Magyara, byłego męża byłej minister sprawiedliwości Judit Vargi. Okazuje się jednak, że z Magyarem, który bynajmniej nie odżegnuje się od swoich konserwatywnych korzeni, zwolennicy twardego proukraińskiego kursu mogą mieć problem. W rozmowie z Jędrzejem Bieleckim z „Rzeczpospolitej" Magyar musiał ich rozczarować – i samego redaktora Bieleckiego.

Nie tylko nie odpowiedział twierdząco na pytanie redaktora Bieleckiego: „Czy w skrajnym przypadku reżim Orbána mógłby pana zabić?", lecz także okazał się mało entuzjastyczny wobec Kijowa. „Rosjanie powinni wycofać się z Krymu, Donbasu. Ale czy za cenę dalszej wojny? To oznaczałoby setki tysięcy kolejnych ofiar. Ameryka, Europa, Chiny, Turcja powinny znaleźć z Rosją jakieś rozwiązanie. Podejście Orbána jest tu zupełnie inne od pozostałych państw Unii. Ale w pewnym sensie ma rację, bo to nie Węgry zdecydują o kształcie pokoju" – mówił Magyar dziennikarzowi „Rzeczpospolitej". I dalej: „A w 1956 r. ktoś przyszedł nam na odsiecz, pomógł nam w jakiś sposób? Zostaliśmy sami wobec Rosjan. Czemu więc teraz mielibyśmy ryzykować naszą niepodległość, aby walczyć za Ukrainę? Nigdy w historii nikt nam nie pomagał! Uratowaliśmy monarchię habsburską, chrześcijańską Europę wiele razy, przez setki lat. Ukraińskie miasta są niszczone, a mimo to Kijów ma czas, aby ograniczać prawa węgierskiej mniejszości! Jak to możliwe?".

Jak widać, nawet w tak skrajnie podzielonym politycznie kraju jak Węgry istnieją fundamenty narodowego interesu wspólne dla wszystkich. ©℗

eprasa.pl bcaf610a37

SEAT ARONA FR

FOT. JAP

SUV-y podbiły serca polskich kierowców. Ma je więc w ofercie większość producentów samochodów, a kupujący mają tylko jeden problem: który model wybrać.

Testowany Seat Arona FR to crossover z segmentu B, który łączy w sobie atrakcyjną sylwetkę (ostre linie nadwozia wyglądają szczególnie dobrze przy połączeniu lakieru Desired Red z dachem Midnight Black oraz 18-calowymi felgami), praktyczność (auto ma 4 m długości, a kufer o pojemności od 400 l – z możliwością powiększenia do 1280 l – nie tylko wystarcza na zakupy, lecz także pozwala załadować walizki na długi weekend) oraz ekonomiczność. Średnie spalanie w cyklu mieszanym – miasto, droga krajowa, ekspresówka, autostrada – wyniosło podczas majowego testu 5,7 l/100 km. Oszczędnie jadąc na trasie krajowej poza miastem, bez trudu można obniżyć spalanie nawet poniżej 5 l/100 km.

Gdy akurat z punktu A do punktu B trzeba się przemieścić nie tylko oszczędnie, lecz także szybko, Seat Arona również potrafi pokazać swój hiszpański temperament. Auto od zera do setki rozpędza się w 8,2 s. Niby szału nie ma, ale w praktyce Arona pozwala na dość dynamiczną jazdę nie tylko po mieście, lecz także na trasach szybkiego ruchu.

Szkoda, że Arona nie występuje w ofercie w opcji z napędem na cztery koła. Jednak „miejska terenówka" podczas wiosennego testu zarówno sprawnie pokonywała wysokie krawężniki, jak i dobrze radziła sobie na nieutwardzonych drogach (pomagał w tym prześwit wynoszący 19 cm).

Stylizowana na sportową testowa Arona w wersji FR (Formula Racing) ma kilka przykuwających wzrok dodatków, jak choćby czerwone zaciski tarcz hamulcowych, czerwone przeszycia w kabinie, czerwone ramki nawiewów klimatyzacji (dodatkowo podświetlane w nocy) czy tętniący gorącą hiszpańską krwią czerwony napis „ENGINE START STOP".

W centralnym punkcie deski rozdzielczej umieszczony jest kolorowy ekran o przekątnej 9,2 cala. Kierowca ma też do dyspozycji wirtualny kokpit, który łatwo można dostosować do osobistych preferencji. Klimatyzacją steruje się tu tradycyjnymi pokrętłami, dzięki czemu podczas dynamicznej jazdy nie trzeba niepotrzebnie grzebać w ustawieniach na ekranie.

Samochód jest też naszpikowany systemami zwiększającymi bezpieczeństwo i komfort jazdy – od systemu utrzymania na pasie ruchu poprzez aktywny tempomat do asystenta świateł drogowych (automatycznie przełączającego długie na krótkie i odwrotnie).

Seata Aronę z ręczną skrzynią biegów i silnikiem 1,0 TSI o mocy 95 KM można kupić już za 85,9 tys. zł. Za auto z tym samym silnikiem i automatyczną siedmiobiegową skrzynią DSG trzeba zapłacić 98,8 tys. zł. Cena testowanej, najmocniejszej wersji, w której siedmiobiegowa skrzynia DSG połączona jest z 1,5-litrowym silnikiem o mocy 150 KM, zaczyna się od 126,7 tys. zł. Za testowy egzemplarz z 18-calowymi felgami, atrakcyjnym lakierem etc. trzeba zapłacić ponad 140 tys. zł. ©℗

TELEWIZOR SAMSUNG THE FRAME QE55LS03DA

Świetny design, częstotliwość odświeżania 120 Hz, dobra jakość obrazu w rozdzielczości 4K z naturalnymi kolorami, niemal niewidoczny kabel oraz wymienne ramki – to największe zalety najnowszego wariantu popularnego lifetyle'owego telewizora południowokoreańskiego producenta, którego konstrukcja przypomina obraz.

Model The Frame odróżnia się od konkurentów już na pierwszy rzut oka. Powieszony w salonie ma bowiem przypominać obraz. Jest to więc rozwiązanie dla osób, które cenią estetykę wnętrz i nie chcą, aby telewizor odgrywał w salonie zawsze pierwszoplanową rolę.

Trzeba przyznać, że inżynierowie Samsunga jeszcze bardziej dopracowali Frame'a oferowanego w 2024 r. The Frame może się też pochwalić lepszą powłoką antyrefleksyjną, dzięki czemu można śmiało go powiesić nawet w nasłonecznionym salonie. Odblaski nadal będą, ale są one mocno ograniczone przestrzennie i nie zakłócają zbytnio przyjemności odbioru treści. Usługa Art Store Streaming ułatwia zaś dostęp do obrazów, dzięki czemu w domowej galerii można codziennie podziwiać tradycyjne dzieła Klimta, van Gogha czy Degasa, wzory kwiatowe Unikko czy grafiki z kolekcji fińskiego domu projektowego Marimekko. Paleta barw w technologii QLED robi wrażenie. Podobnie jak częstotliwość odświeżania obrazu na poziomie 120 Hz. Telewizory The Frame z tegorocznej edycji mają już certyfikat Pantone Artful Color, co jest dowodem na to, że dzieła sztuki wyświetlane na telewizorze są rzeczywiście bardzo zbliżone do bezcennych oryginałów z największych muzeów świata. Aby nie zaburzać wrażenia obrazu wiszącego na ścianie, Samsung wyposaża telewizory z serii The Frame w Moduł One Connect z cienkim, niemal niewidocznym przewodem o długości 5 m. Brzydkie, grube kable można zaś ukryć gdzieś w szafce.

Model z 2024 r. został wyposażony w nowszy procesor, który obsługuje uaktualniony system Smart TV Tizen. Nowy model jest też oszczędniejszy – przy oglądaniu sztuki częstotliwość odświeżania spada bowiem do 60 Hz, co może być widoczne w rachunkach za prąd.

Wady? Kąty widzenia mogłyby być lepsze. Trzeba też zaznaczyć, że osoby szukające telewizora o perfekcyjnej jakości obrazu powinny rozejrzeć się za droższymi modelami. Jednak dla tych, którzy chcą mieć jednocześnie dobrą jakość obrazu, świetny design i przyzwoitą cenę, The Frame z 2024 r. może się okazać strzałem w dziesiątkę. Cena: 6799 zł. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl bcaf610a37

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Turecka straż grobowa pod Radomyślem

RYS. MART

JACEK KOMUDA

Radomyśl nad Sanem założony przez Jakuba Sienieńskiego w 1556 r. znany jest z unikalnej tradycji z czasów I Rzeczypospolitej. Otóż w mieście i pobliskiej Woli Rzeczyckiej straż Grobu Pańskiego odtwarzana jest przez ochotników w strojach tureckich. Sam obyczaj budowania grobu nie jest nowy – przyszedł do nas pod koniec średniowiecza. Prawdopodobnie upowszechnił go Zakon Kanoników Regularnych Stróżów Grobu Chrystusowego, zwany miechowitami lub bożogrobcami – od pierwszej siedziby zakonnej w Miechowie. Sprowadzony został do Polski ok. 1163 r. przez Jaksę z Miechowa, uczestnika II krucjaty. Ciekawe zaś, że w dawnych czasach zakonnicy owi czcili jako święto kościelne także zdobycie Jerozolimy 15 lipca 1099 r., które później zmienili w tradycję obchodzenia bitwy pod Grunwaldem.

To właśnie miechowici, jak podaje Roman Niwerski, wprowadzili obyczaj straży grobowej – tylko że zamiast drewnianych figur strażników zaczęli stawiać żywych ludzi przebranych, dla uczczenia krucjat, w stroje orientalne. Później doszło do tego strzelanie z armat, muszkietów i pistoletów. Do tego celu zresztą zwykle zatrudniano artylerzystów (firemanów), którzy dawali ognia, jak jeszcze do niedawna w Rozwadowie.

We wspomnianym Radomyślu zwyczaj ustawiania strażników poprzebieranych za Turków jest historycznie związany z wydarzeniami z czasów Jana III Sobieskiego, a konkretnie – powrotem zwycięskich wojsk króla spod Wiednia w 1684 r. Wielu okolicznych szlachciców, chłopów i mieszczan walczyło w szeregach armii, która ruszyła wówczas z odsieczą. Wśród nich sam chorąży bracławski Nikodem Żaboklicki, właściciel Radomyśla. W 1683 r. był porucznikiem husarskiej chorągwi hetmana polnego Mikołaja Sieniawskiego i rotmistrzem innej chorągwi pancernej zaciągniętej na terenie województwa sandomierskiego. Brał udział zarówno w powitaniu ks. Karola Lotaryńskiego przez króla Jana III Sobieskiego pod Hollabrunn, w sławnej szarży jazdy polskiej 12 września, jak i obu bitwach pod Parkanami – 7 i 9 października, gdzie okazał się tak waleczny, że król nadał mu dwie wsie w ziemi lwowskiej. Innym sławnym uczestnikiem kampanii 1683 r. był Marcin Zamoyski, ordynat i właściciel ordynacji, której włości sąsiadowały z Radomyślem. Był on rotmistrzem chorągwi husarskiej i dodatkowo chorągwi pancernej, utrzymywał także regiment piechoty. Zamoyski osobiście brał udział w szarży na obóz turecki pod Wiedniem 12 września, a potem dowodził częścią wojska w pierwszej bitwie pod Parkanami 7 października. Jak pisze Roman Niwierski, w okolicach Radomyśla znajdowały się także włości kościelne, gdzie można było zaciągać chłopów do wojska. Wielu z nich służyło zatem w oddziałach zaciężnych cudzoziemskiego autoramentu lub powoływano ich do piechoty łanowej. Wiadomo też, że Żaboklicki sam zwerbował w okolicach wielu własnych poddanych – kowali, ślusarzy, bednarzy, kołodziejów, szewców, krawców, cieśli itd. – do służby w taborach albo oddziałach pomocniczych ciągnącej na wojnę armii.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Według tradycji wszyscy oni wrócili z wyprawy wiedeńskiej dopiero w 1684 r., w okolicach Świąt Wielkanocnych, ponieważ zaś w obozie Kara Mustafy zebrali znaczne łupy, przyszli do kościołów przebrani w tureckie stroje i uzbrojeni w orientalne szable, pancerze, szyszaki i łuki, po czym zaciągnęli straż przed Grobami Pańskimi. Tak właśnie narodziła się tradycja kontynuowana także w następnych stuleciach. Jest ona jak najbardziej historyczna, bo poświadczona w źródłach – także zachowanymi zabytkami. Pod Radomyślem znaleziono bowiem dwa moździerze z XVII w. Z kolei dowódcę straży grobowej nazywano z turecka „baszą", kwatermistrza – „dordą", a strażnicy uzbrojeni byli często w berdysze – broń zarówno piechoty polskiej z drugiej połowy XVII w., jak i formacji tureckich.

Według dawnych przekazów powracający z wojny żołnierze i słudzy przyprowadzili także wielu jeńców tureckich i tatarskich, którzy zostali osadzeni na roli w okolicy Radomyśla. Pozostały po nich obco brzmiące nazwiska, jak: Chaj, Saja, Chałaj, Turek, Cech, Sech, Sałek, Celebi, Betlej. Do dzisiejszych czasów jednak ludność owa zlała się z miejscową, polską. ©℗

eprasa.pl bcaf610a37

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Sezon na grilla

Dobrodziejstwo wiosennej pogody niesie ze sobą liczne atrakcje na świeżym powietrzu. Wspólne posiłki na łonie natury są bardzo przyjemne, a także zdrowe. Spacerując, jeżdżąc na rowerze, możemy zbierać świeże zioła. Młode listki pokrzywy zawierają o wiele więcej wartości prozdrowotnych niż susz, zawierają witaminę C, która wspiera odporność organizmu, reguluje metabolizm, co wspomaga odchudzanie. Pokrzywa wykazuje również właściwości przeciwbólowe w schorzeniach reumatoidalnych. Herbatka z młodych pędów jest doskonała na ciepło i na zimno. We wspieraniu detoksu organizmu doskonale sprawdzą się młode liście brzozy, zebrane teraz i zaparzone wspomogą pracę nerek, zadziałają napotnie w razie przeziębienia, poprawią przemianę materii i odtrują nasz układ krwionośny.

Po każdym spacerze, wysiłku fizycznym nie zapominajmy o naładowaniu baterii. Nawet najwięksi zwolennicy wiosennego odchudzania nie powinni pomijać posiłków. Grillowanie na świeżym powietrzu to doskonały posiłek dla wszystkich wegetarian i mięsożerców, bo grillować możemy prawie wszystko – wystarczy grill elektryczny w domu, jeśli nie mamy innej możliwości, albo tradycyjny na zewnątrz.

Samo grillowanie to nie tylko przyrządzanie posiłków, lecz także sposób na spędzenie czasu, wspólną rozmowę. To, co chcemy grillować, powinniśmy najpierw zamarynować, aby przyprawy dobrze przeszły potrawy. Warto używać ziół również świeżych. Marynując mięso czy warzywa, nie zapominajmy o oliwie dobrej jakości, która połączy wszystkie składniki marynaty. Możemy dodać również musztardę i ketchup oraz sok z cytryny lub pomarańczy. Z warzywami jest podobnie – wystarczą oliwa, przyprawy i trochę czasu.

Grillować możemy na tackach albo zawijać w folię aluminiową. My bardzo lubimy grillować, to jest nasz wspólny czas. Smakuje nam wszystko – mięso, sery i warzywa, ale szczególnie lubimy kaszankę. Najlepsza jest z cebulką. Do tego zawsze podajemy sos na bazie jogurtu i czosnku.

Kaszanka z grilla z cebulą, kiszoną kapustą i jabłkiem

• 6 sztuk kaszanki • cebule • 30 dag kapusty kiszonej • 2 średnie jabłka • suszony majeranek, pieprz, sól • folia aluminiowa

Kapustę szatkujemy i mieszamy z pokrojonym jabłkiem i cebulą, doprawiamy majerankiem, pieprzem i solą. Na kawałku folii układamy kaszankę i z każdej ze stron kapustę, zawijamy szczelnie, skręcamy z każdej strony. Pieczemy ok. 20–25 min na rozgrzanym grillu. Podajemy z pieczonymi ziemniaczkami i sosem czosnkowym (jogurt naturalny gęsty, sól, pieprz, rozgnieciony ząbek czosnku, łyżka majonezu). ©℗

FOT. ADOBE STOCK

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Owsianka dziadersów

Crunchy, porridge, corn flakes, muesli – oto wielojęzyczna oferta zdrowych śniadanek made international food industry. Płatków owsianych górskich brak. – Pani poszuka tam na dole, obok bułki tartej powinny być – objaśniła sympatyczna Ukrainka w Biedronce w Lidzbarku.

Nie było. Widocznie płatki owsiane wyszły albo w ogóle nie weszły. Bo kto by dzisiaj jadał jakąś owsiankę, pokarm dziadersów? No, chyba że młodzi fanatycy zdrowego żywienia, ale nimi nie należy się przejmować. Margines.

Sprawia wrażenie, że śniadanie z owsianką zostało w naszym obszarze zastąpione wyżej wymienionymi produktami. Łączą je wesoły kształt, kolorki, pseudoowocowe smaki, wysoka zawartość cukru i długa lista konserwantów. Ich główny magnes to niespożywcza zawartość pudełka. Mikroskopijny gadżecik: samochodzik, ludzik, koparka albo kolekcjonerski kuponik. Przeszłam to z naszymi dziećmi, gdy parę lat mieszkaliśmy poza Polską. Nie pomogły tłumaczenia, rozsądek u naszych synów doznawał nagłego zaniku na widok pudełka, w którym odnajduje się zabaweczkę wielkości naparstka. Wiadomo było, że za pół godziny utonie ona w morzu zabawek dziecinnego pokoju.

To wszystko przypomniało mi się, gdy wśród nowości Netflixa wyskoczył nam film „Bez lukru", reklamowany przez samego Jerry'ego Seinfelda. Kto go zna, zrozumie. Bo jak oprzeć się Jerry'emu, komikowi wszech czasów? Ze względu na niego właśnie postanowiliśmy sprawdzić, co to takiego.

Już przy 10. minucie wiadomo było, że nie da się oglądać tego dłużej. Seinfeld nie pomógł szmirze teoretycznie mającej opowiedzieć o historii marki Kellogg's, jej walce z konkurencją i genialnych pomysłach marketingowych. Nakręconej w dodatku w konwencji filmu dla dzieci: slapstickowe sytuacje, kolory z Disneya. Co to jest i po co?

Przyznaję, pomysł gadżecików dołączanych do płatków mógłby zdobyć marketingowego Nobla, gdyby takowy istniał. Miliony dzieci na świecie udało się przywiązać do marki i wpędzić w pierwsze uzależnienie. Nie chciały na śniadanie nic innego, jak tylko Smacks, coco pops, granolę, crunchy nut itp. Babcia z owsianką byłaby wyrzucona przez okno razem z talerzem.

Ale żeby zaraz film? „Chicago Sun-Times": „Seinfeld powinien w połowie zamknąć cały projekt, podziękować i przeprosić".

A już zbrodnią było obsadzenie w tym potworku Hugh Granta, wprawdzie już nie tak uwodzicielskiego jak w „Czterech weselach...", ale w końcu to przecież nie byle kto, to Hugh Grant.

Nie zbliżać się do tego filmu, do płatków crunchy także. ©℗

eprasa.pl bcaf610a37

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Putin popiera CPK

W mediach społecznościowych pojawił się temat tak absurdalny, że nawet w czasach pogardy dla rozumu i tak wydaje się dziwacznym kuriozum. Okazało się, że większość wpisów z hashtagiem #TakDlaCPK, gdzie uwili swoje gniazda obrońcy CPK, pochodzi z… serwerów rosyjskich. Nawet załączono mapkę tego zagłębia z okolic Pskowa, skąd ponoć – tu trzeba uwierzyć na słowo, ale niech fakty nie stają nam na drodze do pięknej opowieści – wrzucane są tysiące wpisów dziennie.

Widać tu desperację w argumentacji po polskiej stronie przeciwników CPK. Reductio at Putinum to ostatnio ostateczny, rozpaczliwy argument, kiedy inne poległy albo ich w ogóle nie ma. Oto Putin ma wspierać budowę kluczowego przedsięwzięcia infrastrukturalnego polepszającego strategiczną sytuację Polski, o militarnych korzyściach CPK dla NATO nie wspominając. I Putin wpiera tych, którzy tego chcą, cwaniak. A więc wszyscy cepekowcy to putinowcy. Przypomina mi to pewną rozmowę, którą odbyłem z przedstawicielem dziś już uśmiechniętej Polski, który jeszcze za rządów PiS przekonywał już tylko mnie, bo co do reszty, to mówił do przekonanych, kiedy to na jednym oddechu stwierdził, że Kaczyński jest proputinowski i jednocześnie wysyła niepotrzebnie dużo czołgów na Ukrainę (wyszło, że przeciwko swemu ulubieńcowi).

I tu też to mamy. Putin staje się uniwersalnym kluczem zamykającym jakąkolwiek dyskusję, obelgą i znacznikiem, który ma automatycznie stawiać oponentów do kąta. A czynią to niegdysiejsi zwolennicy ułożenia sobie stosunków „z Rosją taką, jaka ona jest". Ale jest i wytłumaczenie tego CPK-owskiego onucyzmu. Odkryłem je, bo mi to przeciwnicy CPK wyjaśnili. Otóż plan jest chytry. Putin wspiera CPK, bo wie, że to projekt katastroficzny, który swą realizacją właśnie osłabi Polskę.

Sprawa jest w rzeczywistości prosta jak droga w IKEA do kasy. Rosjanie często tak robią, jak chcą zaszkodzić jakiemuś profilowi. Armie ich botów wpisują się na atakowany profil. Z zewnątrz wygląda to na sztuczne podbijanie ruchu, a więc taki Twitter ochronnie, widząc nagły skok, stosuje tzw. shadow banning, czyli wycina taki profil z zasięgów. Tym samym zaatakowany profil staje się mniej widoczny, gamonie zaś – mam nadzieję, że nieświadomie – biorą to za ruskie pompowanie popularności, podczas gdy jest dokładnie odwrotnie. To atak, w tym wypadku nie tylko zasięgowo skuteczny, lecz także, jak widać, powodujący stymulowaną podnietę u politycznych wrogów projektu.

Czyli wychodzi, że tropiciele onucyzmu idą na smyczy Putina. Nie mówcie im o tym – nie uwierzą i tak. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Dobra atmosfera

Zamknięcie przez Komisję Europejską procedury przewidzianej w art. 7 i wyznanie Ursuli von der Leyen uzasadniającej stanowisko KE, że to „wynik silnej pracy" (nowego rządu) i „głęboko zakrojonych reform", pokazują, iż ważne było nie tylko cofnięcie zmian w sądownictwie.

W innym miejscu uzasadnień o wycofaniu art. 7, mimo braku zmian stanu prawnego, pojawia się informacja, że obok „Action Plan" ministra Bodnara rząd potrafił również stworzyć „dobrą atmosferę wokół Polski".

Nie lekceważąc innych czynników (zbliżające się wybory do PE i ucieczka do przodu przed zbliżającą się węgierską prezydencją), tym, co tworzy „dobrą atmosferę, jest instytucjonalizacja globalnej (anty)kulturowej rewolucji. Przykłady? Procedowanie aż czterech projektów aborcyjnych, deklaracja ministra Śmiszka dotycząca uznania przez Polskę rodzicielstwa osób tej samej płci pochodzących z innych krajów, ideologiczne zmiany programów w edukacji i zapowiedź regulacji zwalczających „mowę nienawiści". To właśnie te sygnały tworzyć będą „dobrą atmosferę" na kluczowym unijnym spotkaniu 21 maja, które będzie ostatnim posiedzeniem Rady do spraw Ogólnych. To wtedy ministrowie z krajów członkowskich mają się zająć wycofaniem wniosku z art. 7 wobec Polski. Czyli obok konkretów przedstawionych w planie Bodnara – którymi są zmiany m.in. ustawy o Krajowej Radzie Sądownictwa, projekty o Trybunale Konstytucyjnym (które są już po pierwszym czytaniu w Sejmie), zapowiedzi zmiany przepisów w sprawie Sądu Najwyższego, ustroju sądów powszechnych i rozdzielenia urzędu ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego – nie bez znaczenia będą sygnały, że nad Wisłą w kwestiach obyczajowych i tożsamościowych idzie nowe.

Tym, co nieco pokrzyżowało plany budowania „dobrej atmosfery" wokół Polski, były wyniki wyborów samorządowych i Narodowy Marsz Życia pod hasłem „Niech żyje Polska" (niemal 50 tys. uczestników). Wprawdzie wybory samorządowe można było zinterpretować (zwycięstwo w dużych miastach) jako kolejny sukces Tuska, jednak imponującą frekwencję na Marszu należało kompletnie zignorować. Obrońcy rodziny, obrońcy życia, w takiej liczbie na ulicach Warszawy krzyczący „Niech żyje Polska", nie tworzą „dobrej atmosfery". Pisząc tekst, nie wiem jeszcze, czy manifestacja Solidarności zapowiedziana na 10 maja komisarzom w Brukseli popsuje atmosferę. Wiem natomiast, że skazanie Rafała A. Ziemkiewicza w procesie wytoczonym przez aktywistę Staszewskiego dotyczącym znanej w Brukseli sprawy „Stref wolnych od LGBT" atmosferę wydatnie poprawi. ©℗

eprasa.pl bcaf610a37

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Echa pogłosu

Nie milkną echa pogłosu. Stop. Wybitny aktor Adam Ferency, który sam się określa jako czynny alkoholik z wieloletnim stażem i doświadczeniem, po obejrzeniu wystąpienia ministra Kierwińskiego w Dniu Strażaka zawyrokował, że minister był owego dnia trzeźwy. Stop. Za to wybitny były wicewojewoda Jacek Protasiewicz, który nie określił się jako alkoholik czynny czy nieczynny, ale jako bywalec imprez politycznych, zazwyczaj z zakąską, zawyrokował, że minister w czasie wystąpienia był „napruty jak messerschmitt". Stop. Pluralizm autorytetów, jak widzimy, jest w polskiej debacie zachowany, ale zauważyć należy, że minister Kierwiński lojalnie ostrzegł, iż każdy, kto będzie sugerował, że przemówienie miał promilowe, zostanie pozwany przed oblicze sądu. Stop. Jest więc co najmniej jeden powód, dla którego wierzę Kierwińskiemu.

Nie będzie CPK, ale za to nie będzie elektrowni jądrowej. Stop. To znaczy: będą, ale nie takie jak początkowo miały być, i nie wtedy, kiedy miały być, tylko tak ogólnie będą, lecz trzeba się namyśleć, zastanowić i co nagle, to po diable. Stop. Uśmiech fajnopolaków z Jagodna coraz bardziej przypomina twarz u dentysty. Stop.

Sejm i Senat przegłosowały, że jest coś takiego jak język śląski i że jest to język regionalny. Stop. Jest ustawa do podpisania przez prezydenta, której ten prawdopodobnie nie podpisze. Stop. Tymczasem jeden z najwybitniejszych polskich językoznawców, Jan Miodek, mówi wprost, że żadnego języka śląskiego nie ma, że jest to odmiana dialektalna, i podaje dowody. Stop. No, obywatelu Miodek, posiedzisz sobie trochę (nad zagadnieniem), to i może zmienisz tę swoją mało polityczną opinię...

Farmaceuci głupi nie są, nie chcą narażać się na pozwy sądowe i branie odpowiedzialności za przepisywanie recept dzieciom. Stop. Minister zdrowia Leszczyna ogłosiła, że tabletkę „dzień po" będą mogli wypisywać farmaceuci, którzy zgłoszą się do tego karkołomnego programu. Stop. Karkołomnego, bo według prawników naruszającego prawa rodziców. Stop. Jak podają media, do programu dziecięco-tabletkowego w Warszawie na 600 aptek zgłosiło się sześć. Stop. Jednoprocentowy sukces rządowy. Stop. Oklaski i fanfary.

Sędzia Tomasz Szmydt, do którego nikt się teraz przyznać nie chce, a z którym w różnych okresach współpracowały różne ugrupowania, nawiał na Białoruś z wiedzą i pewnie tajnymi dokumentami. Stop. Prześwietlanie zdrajcy wyłącznie pod kątem: „On wam służył, a nieprawda, bo wam" pokazuje wyraźnie, że w Polsce nie istnieje coś takiego jak racja stanu, istnieje za to racja partii. Stop. I to, proszę państwa, śmieszne nie jest. ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Bezrozumni na Białoruś

Niezwykle rygorystyczna, dworska wręcz etykieta zaczyna regulować stosunki w najbliższym otoczeniu prezydenta Andrzeja Dudy. Nie są to jeszcze obyczaje rodem z cesarskiego dworu Japonii, jednak z upływem czasu osiągną zapewne podobny poziom wyrafinowania. Niedawno dał temu wyraz szef prezydenckiego Biura Bezpieczeństwa Narodowego, Jacek Siewiera. Spytany przez dziennikarza o zachowanie i stan zdrowia ministra Kierwińskiego prezydencki minister uznał dziennikarskie pytanie za „niestosowne". „Tak że wydaje mi się, że to nie jest temat do analizy. Zwłaszcza w dniu Święta Strażaka, gdy to na nich powinna skupić się ta uwaga, największy szacunek i podziw" – oświadczył biegły w obyczajowych niuansach urzędnik. Niestety, nie wyjaśnił on jeszcze, czy tylko w Dniu Strażaka dziennikarzy obowiązywać będą szczególne, wynikające z szacunku dla straży pożarnej reguły. W kolejce czekają jeszcze Dzień Górnika (4 grudnia), Dzień Kolejarza (25 listopada), Dzień Nauczyciela (14 października), Pocztowca (18 października), Położnej (12 maja) i wiele innych podobnych uroczystości. Jeśli Jacek Siewiera podzieli się z publicznością zestawem reguł, do których przestrzegania zobowiązani są pracownicy mediów przy każdej z wymienionych okoliczności, będzie to z pewnością pomocne. Przykłady „niestosownych" w takich okolicznościach pytań oszczędzą dziennikarzom zbędnego wstydu i trudu.

Innym arbitrem elegancji nabierającym szlifów przy Krakowskim Przedmieściu jest prezydencki doradca Stanisław Żaryn. Na wieść o ucieczce sędziego Tomasza Szmydta na Białoruś i złożeniu przez niego wniosku o azyl polityczny prezydencki doradca nazwał uciekiniera „kanalią i zdrajcą". „Nikt przy zdrowych zmysłach nie ucieka na Białoruś" – skomentował eskapadę sędziego Stanisław Żaryn. Czy urzędnicy Pałacu Prezydenckiego mogliby przedstawić listę państw, do których uciekać zdrajcom, bez odsądzenia od zmysłów, wypada? Logika podpowiada, że szpiedzy białoruscy uciekać będą na Białoruś, chińscy do Chin, a niemieccy do Niemiec. Kwestia zdrowych zmysłów nie ma tu nic do rzeczy. Gdyby prezydencki doradca zasugerował rozsądne i prestiżowe kierunki ucieczek, dygnitarze na bakier z prawem wiedzieliby, gdzie pryskać. Ucieczka do Brukseli wydaje się na razie uniwersalnym i najpopularniejszym rozwiązaniem.

Reguły japońskiego ceremoniału dworskiego współtworzyli tamtejsi kapłani, zwani swojsko „bonzami". Trudno nie ulec wrażeniu, że i dzisiejsze pałace odnoszą się do bonzów z nadzwyczajnym szacunkiem. ©℗

eprasa.pl bcaf610a37

KRYSTIAN KRATIUK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Kim jest Mufasa?

Disney zaprezentował zwiastun „Mufasy" – nowego filmu z uniwersum „Króla Lwa". W ciągu tygodnia trailer obejrzało 10 mln osób. Wiem, że nie należy oceniać książki po okładce, a filmu po zwiastunie, ale jednak po coś produkuje się trailery, a sceny i słowa w nich użyte nigdy nie są dobierane przypadkiem. Obejrzałem i ja – i boję się, że idąca coraz częściej z absurdalnym duchem czasu wytwórnia zabije Mufasę z jeszcze większym wyrachowaniem, niż zrobił to jego Skaza.

Oto w pięknym wizualnie i obrazującym rozmach produkcji trailerze padają przedziwne słowa: „Wszystko zaczęło się daleko za górami i krainą cieni, po drugiej stronie światła. Urodził się tam lew bez kropli szlachetnej krwi w żyłach. Ale to właśnie on na zawsze odmienił nasze życie". Pada też imię Mufasy.

Co w tym takiego dziwnego? Zanim odpowiem na to pytanie, kilka zdań wyjaśnienia dla starszych ode mnie czytelników.

Pokolenia konserwatystów traktowały powieści takie jak „Władca Pierścieni" czy „Opowieści z Narnii" jako książki formacyjne. Otóż informuję państwa, że wieku średniego doczekało już całe pokolenie trwającej już przecież w latach 90. cywilizacji obrazkowej. Niemała część z nas, prócz sympatii dla wspomnianych tytułów, uformowała się także na „Królu Lwie". I jesteśmy pewni, że ten, kto nie płakał przy śmierci Mufasy, ma gnojówkę zamiast serca.

Tak, należę do pokolenia, które mógłbym śmiało nazwać pokoleniem „Króla Lwa". Historii, która była i pozostaje czymś znacznie więcej niż filmem dla dzieci. Jest opowieścią uczącą o odpowiedzialności i przeznaczeniu. O obowiązkach stanu i konieczności wyrzeczenia. O tradycji i szacunku dla przodków. O porządku i hierarchii. O monarchii i jej pięknie. O tym, że z bezkrólewia cieszą się tylko hieny.

To na wskroś chrześcijańska historia, w której do głównego bohatera przemawia ojciec, który jest w niebie i w którego imię należy zmieniać się na lepsze. W której bohater na wzór kapłana namaszcza świętymi olejami nowo narodzonego następcę tronu, a okazanie go poddanym, swoista dobra nowina sawanny, wywołuje euforię, zachwyt, podziw, jakby ten dzień był oczekiwany od dawien dawna. W którym młodzieniec, zakosztowawszy hipisowskiego życia na zasadzie hakuna matata, decyduje się na zerwanie z przyjemnościami w imię trudnego obowiązku – dla dobra innych.

Tyle część pierwsza filmu. Wróćmy jednak do zapowiadanego prequelu. Dlaczego zaniepokoił mnie wspomniany niepozorny fragment o lwie bez kropli szlachetnej krwi? Otóż dlatego, że jest nieprawdziwy.

Nie może być bowiem prawdą, że Mufasa nie pochodzi ze szlachetnego rodu, że jego przodkowie nie byli władcami Lwiej Ziemi. To bowiem negowałoby historię, którą znamy. Skaza wspomina przecież, że przegrał rywalizację o koronę ze starszym bratem, musiała więc to być korona dziedziczna. Jedna z najpiękniejszych scen w filmie z 1994 r. (w poruszający sposób budująca wzorzec ojcostwa) to ta, w której wściekły na syna Mufasa wybacza mu i zaczyna bawić się z nim, w pewnym momencie jednak tłumacząc mu to, co jemu wcześniej powiedział jego ojciec – o odpowiedzialności wobec poddanych oraz poprzednich pokoleń królów. Którzy patrzą na nich z nieba. Sam Simba dziedziczy, jak śpiewa bliska mu lwica, „królewski ton i gest"!

Zdaję sobie sprawę, jak bardzo postępowy jest dziś Disney. Obserwuję także falę wokeizmu i cancel culture w dziełach popkultury, a w Polsce także tendencję do przepisywania dziejów i dzieł kultury w duchu „historii ludowej" czy wręcz rabacyjnej. Mam więc wielką nadzieję, że nie okaże się, że Mufasa w nowym filmie dochodzi do władzy poprzez jakiś „zryw ludowy", że nie obala prawowitej monarchii albo że Disney nie wymyśli czegoś jeszcze głupszego. Mam nadzieję, że słowa z trailera umyślnie wprowadzają mnie w błąd i w grudniu w kinie będę mógł oklaskiwać nowy film na stojąco.

W najważniejszym momencie „Króla Lwa" Mufasa, z nieba, mówi do syna: „Pamiętaj, kim jesteś, Simba". Oby wbrew moim złym przeczuciom okazało się, że Disney wciąż pamięta, kim jest Mufasa. ©℗

Otóż informuję państwa, że wieku średniego doczekało już całe pokolenie trwającej już przecież w latach 90. cywilizacji obrazkowej

eprasa.pl bcaf610a37

RADZIO

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Ja uważam, że prezydentem i premierem Polski jest obecnie jedna osoba – Radek Sikorski. Sprawujący wymienione urzędy to figuranci. Duda i Tusk mogą sami o tym nie wiedzieć, ale to Radek nimi zarządza. Nie podejmują własnych działań – w sprawach istotnych Radek podejmuje. Duperele w rodzaju, komu przypiąć niskiej rangi order, zostawia Dudzie, ale w sprawach ważnych dla światowego systemu rządzi Radek.

Pozycja szarej eminencji polega na tym, żeby władca myślał, że ma władzę, a szara eminencja rządziła władcą. Radek coś podsuwa, Duda reaguje i wydaje mu się, że to jego własna akcja. Reakcja nigdy nie jest własna, skoro jest RE-AKCJĄ, a nie po prostu akcją. Nie zrobiłbyś tego, gdyby ktoś wcześniej nie zrobił czegoś innego – na tym polega re-akcja. Czyli Duda w ogóle by nie podjął jakiegoś działania lub nie zainteresowałby się jakąś sprawą, gdyby wcześniej nie został ZMUSZONY do… ZAREAGOWANIA w wyniku tego, co zrobił lub powiedział Radek.

Radek robi ruch, Duda reaguje na ten ruch. Radek robi ruch, Tusk popiera ten ruch. Za każdym razem mamy do czynienia z efektem działania Radka, a nie z inicjatywą własną Dudy czy Tuska.

***

Szara eminencja.

Najpierw był w rządzie Jana Olszewskiego, czyli w najbardziej antykomunistycznym i narodowym, jaki mieliśmy po roku 1989; tym, który próbował zrobić lustrację i odsunąć od władzy komunistów, ubeków i służby specjalne PRL. Potem Radek był w rządzie Jerzego Buzka, powiedzmy „solidarnościowym", czyli z radykalnej partii Olszewskiego przeszedł płynnie do proeuropejskiej, następnie równie płynnie przeszedł do PiS i był ważną postacią w rządzie premiera J. Kaczyńskiego, a w roku 2007 wywołał konflikt z Macierewiczem i w wyniku tego konfliktu podał się do dymisji. Pół roku później wszedł płynnie w szeregi Platformy Obywatelskiej i zaczął rządzić Tuskiem i Komorowskim.

Rządy w Polsce się zmieniają, a Radek zawsze u władzy. Był nawet u mnie na Zlocie Ciemnogrodu (festiwal dla fanów audycji „WC Kwadrans"). Wtedy spotkałem go po raz pierwszy. Miał za sobą welon bojownika z Afganistanu – był na tamtej wojnie i podobno AKTYWNIE walczył z Sowietami jako biały mudżahedin. Na moje pytanie, czy zabijał Ruskich, odpowiedział niechętnie, wstydliwie, ale… zaufaliśmy, że bił Ruskich na śmierć! Zrobiłem mu specjalną rampę, aby mógł wjechać na scenę motocyklem, którym jeździł na wojnie z Ruskimi. Wjechał, zabłysnął, publiczność wiwatowała i skandowała: PRECZ Z KOMUNĄ.

Kilka lat potem występowaliśmy po sobie w tej samej audycji w TV Puls. Ukłoniłem mu się, gdy ja wychodziłem ze studia, a on wchodził, ale mnie już wtedy nie poznał. Ja byłem w moich poglądach nadal tam, gdzie jestem teraz, on właśnie dystansował się od poprzedniej partii po to, by się zapisać do kolejnej.

***

Radek Sikorski – gdy wpisać to hasło w Google, na stronie głównej wyskakuje kilka zdjęć. To nie są ładne zdjęcia nawet w lewicowych, proeuropejskich i globalistycznych googlach, które powinny go lubić. Pierwsze dwie fotografie przypominają Hitlera i nie piszę o tym, by się pastwić. Radek po prostu nie ma szczęścia do własnej grzywki, a dodatkowo nigdy go nie widziałem wesołego – ma zacięty wyraz twarzy, a gdy się uśmiecha, widać wysiłek zmuszania własnej twarzy do czegoś, czego ta twarz absolutnie nie chce robić. Inni ministrowie Tuska potrafią się nawet upić i bełkotać radośnie do Straży POżarnej, a Radek zawsze zacięty. Brak radości to znamię szatana – tyle Państwu powiem jako katolik.

Czy Radek jest diabłem naszej polityki?

Mogę się mylić, ale oceniając po owocach… JEST.

Radek jest najpotężniejszą osobą w polskiej polityce. I Radek kreuje ZŁO. Kto uważa inaczej, niech wymieni przykłady rzeczy DOBRYCH, które Radek zrobił dla Polski.

***

Polityka Radka jest zawsze samodzielna – on się nie ogląda na zdanie partyjnych kolegów. Wychodzi przed szereg, a potem szereg równa do Radka. Czemu? Czy szereg w postaci Donalda Tuska boi się Radka? A może szereg po prostu wie, że gdy Radek coś robi lub mówi, to należy słuchać bez zadawania pytań?

Sikorski w BBC World pytany, czy Polska wysłałaby wojska na Ukrainę, odpowiedział twierdząco. Jego odpowiedź jest tematem rozmów polityków światowych, ale do tej grupy NIE należą ani Duda, ani Tusk – żaden nie stwierdził publicznie, że pan minister wyszedł przed szereg i że nikt go nie upoważniał do tego typu deklaracji.

Biennale sztuki w Wenecji – Polska ma pawilon razem z Ukrainą. Tę imprezę koordynuje MSZ, czyli minister Radek. Kto zdecydował o unii RP z Ukrainą? Ukraina jest większa od Polski i silniejsza zarówno gospodarczo, jak i militarnie. Jakiekolwiek unie Polski z Ukrainą oznaczają, że Polska stanie się ukraińską prowincją zachodnią.

***

Gdy ktoś (do dziś nie wiemy oficjalnie kto) wysadził ruską rurę Nord Stream 2, Radek podziękował PUBLICZNIE Amerykanom. Z jednej strony ich wkopał, bo Amerykanie wprawdzie grozili, że to zrobią, ale nigdy się oficjalnie nie przyznali. Z drugiej strony pokazał, że jest dobrze poinformowany, czyli UMOCOWANY w jakimś układzie poza Polską i Ameryką – w tym światowym układzie Szwaba, Davos, niewiadomokogo. Politycy pokroju Tuska BOJĄ się takich osób.

A w sieci piszą o Radku tak (cytat za „Daniel Senderek"):

Radzio to NAJWAŻNIEJSZY osobnik Systemu w Polsce... Jeśli System zechce, to będzie przyszłym prezydentem Polski, premierem, ministrem obrony – co tylko Panowie Systemu zapragną.

Radzio wysłał Dudę z Tuskiem do Waszyngtonu. Sikorski to wymyślił i koordynował. A potem… Niespełna pięć minut audiencji u 81-letniego zombie z Białego Domu, by wcisnąć Polsce dwumiliardową pożyczkę. ©℗

eprasa.pl bcaf610a37

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

Uwaga: nowe ceny!

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA DO RZECZY

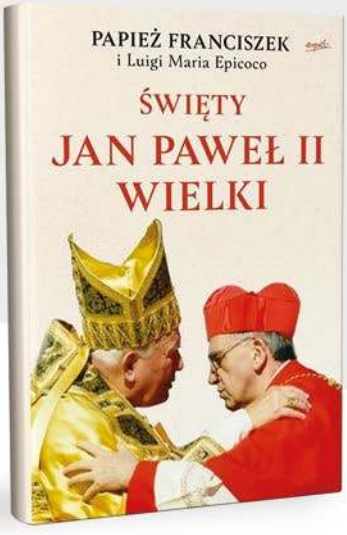

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

PAPIEŻ FRANCISZEK I KS. LUIGI MARIA EPICOCO:
„ŚWIĘTY JAN PAWEŁ II WIELKI"
ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

489 ZŁ

234,00 ZŁ
OSZCZĘDNOŚĆ 255 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl bcaf610a37

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

DRAMAT POLSKICH ZWYCIĘZCÓW

Niemiecka twierdza – Zacięta obrona południa Włoch dawała III Rzeszy nadzieję na wygraną w wojnie

Droga śmierci pod Monte Cassino – Wstrząsające wspomnienia weterana 2. Korpusu Polskiego

Tajemnica ostatniej uczty – Nic nie mogło wskazywać na to, że uroczysta biesiada zakończy się dla Kazimierza Sprawiedliwego tragicznie

Tragedia w Mayerlingu – Dramatyczna śmierć austriackiego następcy tronu i jego kochanki do dzisiaj inspiruje historyków, dziennikarzy, pisarzy i kompozytorów

Eunuch niszczycielem imperium – Przebiegły kastrat Zhao Gao unicestwił cały dorobek pierwszej cesarskiej dynastii Państwa Środka

Konungahela w słowiańskim ogniu – Zablokowany na lądzie Bolesław Krzywousty zorganizował wyprawę morską na największe miasto na Półwyspie Skandynawskim

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl bcaf610a37